

GDY TRACISZ NADZIEJĘ, GDY MYŚLISZ,  
ŻE JUŻ NIC DOBREGO CIĘ NIE CZEKA,  
ONA POJAWIA SIĘ JAK...

*Gwiazdka z nieba*




KATARZYNA  
**MICHALAK**

GDY TRACISZ NADZIEJĘ, GDY MYŚLISZ,  
ŻE JUŻ NIC DOBREGO CIĘ NIE CZEKA,  
ONA POJAWIA SIĘ JAK...

*Gwiazdka z nieba*



KATARZYNA  
**MICHALAK**



Katarzyna Michalak

*Gwiazdka z nieba*

**znak** *litera  
nova*  
KRAKÓW 2017



## PROLOG

**B**etlejemka – piękna stara chata stojąca na rozległej polanie w samym sercu gór – w ten wigilijny wieczór była cicha i pusta. Tego właśnie potrzebował: ciszy. Pustkę przyniósł ze sobą w sercu...

Kilka minut wcześniej skończył czytać list, który wstrząsnął nim do głębi i roztrzaskał jego mały, w miarę uporządkowany wszechświat.

Narzucił na ramiona kurtkę i ruszył do drzwi schroniska, w którym dziewczęta szykowały wigilijną kolację.

– Wychodzisz? – Jedna z nich, pszenicznowłosa piękność, która przez cały dzień zerkąła na niego spod firany długich rzęs, odezwała się w momencie, gdy otwierał drzwi. – Masz dyżur?

Pokręcił głową. Dyżur jako ratownik TOPR zaczynał jutro z rana.

– Chcę pobyć sam ze sobą.

– Coś się stało? – zaniepokoiła się.

Ponownie zaprzeczył. Próbował uśmiechnąć się uspokajająco.

– Czasem tak mam: potrzebuję samotności.

Skinęła ze zrozumieniem głową. Ludzie gór są inni niż reszta świata, ale...

– Wrócisz na Wigilię? W ten jeden jedyny wieczór nikt nie powinien być sam...

– Nie wiem, kiedy wrócę. – Raz jeszcze posłał jej przeproszający uśmiech i dodał: – Nie czekajcie na mnie z wieczszą.

Kiwnęła głową i już miała wrócić do koleżanek, gdy... zarzuciła mu rękę

na szyję, ucałowała w szorstki policzek, wyszeptała: „Wszystkiego najlepszego, bądź szczęśliwy”, i już jej nie było.

Ten miły gest powinien rozkruszyć lód w jego sercu, a przynajmniej go stopić, ale list, który miał w dłoni wbitej w kieszeń, mroził je na powrót.

Wyszedł w bezgwiezdą grudniową noc...

Do Betlejemki miał niedaleko. Widział stąd jasno oświetlone okna schroniska. Chwilę patrzył w nie, czując smutek i tęsknotę za życiem, które nigdy nie będzie już takie samo, po czym wszedł do środka.

Wciągnął do płuc miły, znajomy zapach drewna. Włączył światło, bo zmierzch zapadał szybciej, niż można się było spodziewać. Znad szczytów gór wiatr pędził ciemne chmury.

W momencie, w którym zdejmował kurtkę i podchodził do kominka, by w nim rozpalić, pierwszy podmuch zamieci załomotał w okna.

„Dobrze, że to Wigilia” – pomyślał. „Szlaki są zamknięte. Góry nie odbiorą dziś daniny z życia”.

Zagotował wodę. Bez pośpiechu zalał herbatę wrzątkiem. Usiadł przy stole z kubkiem w dłoniach i zapatrzył się w okno. Zamieć przybierała na sile, dokładnie tak jak burza uczuć w jego sercu.

List, który wyjął z kieszeni i rzucił na stół, przyciągał spojrzenie. Domagał się ponownego przeczytania. Ale jeszcze nie teraz, nie w tej cichej godzinie. Jeszcze można było udawać, że wszystko jest tak, jak było, zanim wyruszył w góry...

Jak długo trwał zatopiony we wspomnieniach? Nie wiedział. Nie patrzył na zegar. W kominku płomienie skakały po bierwionach. Za oknem szalała zamieć, tutaj słychać było tylko trzask ognia. On zastygł z czołem wspartym na splecionych dłoniach, ni to w modlitwie, ni w zamy-

śleniu.

Wreszcie uniósł głowę. „Weź się w garść!” – nakazał sobie i spojrzął w okno. Może wrócić do schroniska? Dziewczyny na pewno czekają z wieczerzą, mimo że... zamarł nagle, wzrok mu się wyostrzył jak u jastrzębia. Za oknem... Zbliżył twarz do szyby. I poderwał się na równe nogi.

– Cholera – rzucił, chwytając kurtkę.

W biegu nałożył ją, zapiał suwak i już szarpał się z drzwiami, w które wściekle łomotała śnieżycą. Nikłe światełko, które wypatrzył przed chwilą, zgasło. Mogło to być złudzenie – na pewno było! Nie widział w tej chwili własnej dłoni, tak gęsty sypał śnieg! – ale też ktoś mógł potrzebować pomocy. A on był ratownikiem! Bez namysłu ruszył w tamtym kierunku. Światło zamigotało ponownie. Tak! Jednak ktoś przedziera się przez zamieć! Przyspieszył, chociaż marsz przez śniegowe zasy, z wichrem siekącym po twarzy, wdzierającym się pod kaptur i kołnierz, doprawdy nie był łatwy. Ale góry nie są łatwe. Za to je właśnie kochał: za ich majestat, niedostępność, surowość. On był młody, śmiały i ambitny, kochał zdobywać szczyty. Tatry zaś lubiły takich jak on. Lubiły ich wabić. I łamać.

Dopał skulonego kształtu. Szarpnięciem poderwał w górę. Chłopak, młody, najwyżej osiemnastoletni... Oczami wybałuszonymi z przerażenia, półprzytomnymi z szoku wpatrywał się w twarz ratownika.

– Możesz iść?! – krzyknął do niego. – Chata jest blisko, dasz radę?!

Tamten przytaknął. Chwycił go w pól, rękę chłopaka zarzucił sobie na ramiona i ruszyli, krok za krokiem, torując sobie drogę przez sypki, głęboki śnieg. Dotarli do chaty.

– Dzi... dzi... – próbował wykrztusić uratowany wędrowiec, ale on przerwał mu sucho:

– Podziękujesz później. Pij. – Wetknął mu w drżące dłonie kubek

z gorącą herbatą.

– Dziewczyna! – wyrzucił chłopak. – Tam, na szlaku została dziewczyna!

Zmartwił po raz drugi. W Wigilię?! W taką zamieć?! Ktoś jeszcze w górach?! Poszalały te dzieciaki?!

– Czekaj tutaj – rzucił do chłopaka. – Dorzucaj polan do kominka. Wróć z nią.

„Albo nie wróć” – dodał w myślach, zapinając kurtkę szczelniej, nasuwając kaptur na głowę ciasniej, podwijając kołnierz wyżej, by zasłonił twarz.

Zanim wyszedł w ciemną, mroźną, smaganą wichrem i śniegiem noc, wezwał pomoc. Może jej potrzebować.

Ostre igły lodu, bo to nie był już śnieg, a marznąca mżawka, siekły go po twarzy. Nie widział dalej niż na wyciągnięcie ręki. Światła Betlejemki zgasły niemal natychmiast. Jak odnajdzie zaginioną dziewczynę? Nie miał pojęcia. Wiedział tylko, że nie może odejść zbyt daleko od chaty, bo sam się pogubi. Szlak był oznaczony – owszem – starymi tyczkami maźniętymi łuszczącą się farbą. Może w słoneczny dzień byłby widoczny, ale nie teraz. Musiał zdać się na samego siebie, na instynkt człowieka gór.

Brnął przez zamieć, jakimś cudem trafiając na kolejne oznaczenia. Może przy którymś z nich kuli się zagubiona dziewczyna? Może na nią trafi?

Po długich dwóch kwadransach, cały czas na szlaku, mignęło mu w ciemnościach nikłe światełko. I czerwona kurtka, która zaśniła dwoma odblaskami w strumieniu jego latarki. Przyspieszył, chociaż marsz przez zapadający się pod nogami śnieg był mordercą. Dopadł skulonego kształtu. Dziewczyna podniosła na niego półprzytomne oczy. Sine usta ułożyły się w jakiś wyraz, ale nie zdołała nic powiedzieć.

On też bez słowa, bo przez wycie wiatru i tak nie słyszeliby siebie

nawzajem, postawił ją na nogi. W tym momencie poleciała bezwładnie w śnieg. Zemdlała. Pochwycił ją na ręce. Nie miał wyboru, musiał zanieść dziewczynę do chaty.

Brnął przez śnieg i zawieję, niosąc na rękach gasnące życie. Musiał zdążyć. Musiał donieść dziewczynę tam, gdzie będzie bezpieczna, zanim płomień, który tlił się w niej ostatkiem sił, zgaśnie całkiem. Z trudem stawiając kolejne kroki, dotarł do skalnego załomu. Tu mógł złapać oddech. Tu wichur nie wwiercał się w mózg, zamieć nie miotła w twarz miriadów igieł.

Złożył dziewczynę na śniegu, objął ją mocno, przytulił do piersi, pragnąc oddać jej trochę swojego ciepła. Uniosła powieki, spojrzała mu w oczy, znów próbując coś powiedzieć.

– Będzie dobrze, wytrzymaj. – W jego głosie zabrzmiała prośba, tak, ale i nakaz. – Musisz się trzymać. Jestem przy tobie.

Kiwnęła głową. Powieki opadły. Dotknęła policzkiem jego policzka.

„Mógłbym tak zostać” – przemknęło mu przez coraz bardziej zmęczony umysł. „Z nieznaną dziewczyną w ramionach...”

Poderwał głowę, potarł twarz dłonią. O mało co by nie zasnął! A to znaczyło śmierć i dla niego, i dla niej.

– Chodź, musimy iść dalej. – Potrząsnął nią. Głowa opadła jej bezwładnie. W panice poklepał ją po policzku. – Nie możesz umrzeć! Otwórz oczy, słyszysz?!

Uniosła powieki może na milimetr. Odetchnął z ulgą. Żyła. Jego wysiłek nie szedł na marne. Podniósł się i ruszył dalej, krok po kroku, coraz bardziej przygniatany ciężarem dziewczyny. Nawet przez sekundę nie pomyślał, że może ją zostawić, ratować samego siebie...

Światła w oknach chaty przywitał jak najpiękniejszy bożonarodzeniowy prezent. Jakby dostał od losu drugie życie. Chłopak, który doszedł już widać



do siebie, otworzył drzwi w momencie, gdy przed nimi stanął. Chwytał dziewczynę z jego mdlejących rąk. Poniósł do środka.

Mógł odpocząć. Mógł opaść na krzesło, oprzeć głowę na ramionach i...

Zamknął oczy tylko na chwilę.

– Proszę pana, panie ratowniku! – Głos chłopaka wyrwał go ze stanu półomdlenia. – Ona mówi, że tam jest ktoś jeszcze! Jej chłopak został na szlaku!

Zacisnął powieki. To nie może być prawda... nie dziś, na miłość boską, nie teraz!...

Wstał i ledwo poruszając nogami, podszedł do łóżka, gdzie nakryta kołdrą i kocem leżała blada jak śmierć, wstrząsana dreszczami dziewczyna.

– Proszę... proszę... on tam został... mój chłopak... – zaszepotała, widząc pochylającą się ku niej twarz ratownika. – Musisz po niego wrócić... musisz go uratować... – Chwyła go za rękę. Jej oczy, lśniące w blasku ognia, a może od łez, błagały bez słów.

„Musisz go uratować...”

Bez słowa, tak jak poprzednio, zawrócił do drzwi. Chłopak, blady z przestachu, podał mu kubek herbaty. Parząc sobie usta, wypił ją niemal jednym haustem i czując przypływ sił, zapiał suwak kurtki, wysoko, naciągnął kaptur na mokre włosy, raz jeszcze połączył się z bazą, zarzucił na ramiona plecak, dokładnie dopinając jego sprzączki, i wyszedł, po raz trzeci, wprost w lodowate objęcia wichru.

Znów szedł niemal na oślep, wypatrując oznaczeń szlaku. Krok za krokiem. Tylko żelazna siła woli i to, do czego został powołany: nieść pomoc zagrożonym istnieniom, zmuszały go do stawiania kolejnych.

Minął skalny załom, gdzie odpoczywał z dziewczyną, i szedł dalej. Minął miejsce, gdzie prawdopodobnie ją znalazł, i szedł dalej. Jeszcze kwadrans i będzie musiał za-

wrócić...

W tym momencie, gdy dotarło doń, że trzeba będzie się poddać, parę metrów przed sobą ujrzał skulony pod skalnym nawisem ludzki kształt, który poruszył się, wyprostował.

– Hej! Tu jestem! – Zaginiony pomachał do niego ręką.

Odetchnął. Z chłopakiem nie było źle. Jeszcze tylko zabrać go ze sobą do Betlejemki i...

I wtedy dobiegło go urywane wołanie.

– Ratunku! Rat...

Zatrzymał się w pół kroku. Zwrócił twarz w tamtym kierunku, nasłuchując.

Naprawdę ktoś krzyczy czy to wycie wiatru? Zmęczony mózg potrafił tworzyć takie omamy...

– Pomocy! Ratunku! – dobiegło ponownie.

Bez namysłu skręcił w stronę wołania. Zrobił krok, drugi, trzeci i nagle... poczuł, jak śnieg usuwa mu się spod nóg.

Czy los – w tę noc, w Wigilię Bożego Narodzenia – może karać za dobre uczynki, za odruch serca?

Może.

Młody mężczyzna krzyknął. I runął w przepaść.

## ROZDZIAŁ I

**N**iektórzy ludzie, choćby mieli wszystko, nigdy nie będą szczęśliwi. Inni nie mają nic, a potrafią cieszyć się życiem. Nataniel Domoradzki należał do tych drugich.

Właśnie stracił dom: piękne, chociaż niewielkie mieszkanie w starej, zdobionej stiukami kamienicy, gdzie babcia Nataniela mieszkała od czasów powojennych, jego mama tu się urodziła, a on sam spędził w owych trzech słonecznych pokojach wspaniałe, wypełnione przygodami dzieciństwo. Dziś musiał pożegnać się z domem rodzinnym, do którego jednak po śmierci mamy stracił serce.

Spakowanie ciuchów, sprzętu i pamiątek zajęło mu zaledwie godzinę. Domoradzcy nigdy nie byli bogaci, nie dorobili się precjozów ani cennych antyków. Skromny majątek odziedziczony po babci pochłonęła rehabilitacja Nataniela, bo Anna, jego mama, ze wszystkich sił walczyła o zdrowie syna. Dzisiaj oprócz kilku kartonów zapakowanych do wysłużonego opla nie miał więc nic.

„Nie!” – pomyślał, siadając za kierownicą. „Właśnie dostałem coś bezcennego: wolność! Nic mnie w tym miejscu nie trzyma. Przede mną reszta życia i cały świat. Wyświadczyłeś mi, gangsterze, przysługę!” – to padło pod adresem kamienicznika. Było wiadome wszem wobec, jakimi metodami facet pozbył się lokatorów z innych budynków.

Nataniel po raz ostatni spojrzął w okna swego domu. Przez chwilę wydawało mu się, że w jednym z nich stoi mama i posyła mu buziaka, jak co dzień, gdy szedł do szkoły. Ale ulotne wrażenie rozwiało się jak sen. Mama nie żyła.

Nataniel zatrzasnął drzwi samochodu. Przekręcił kluczyk w stacyjce.

– No, opelku – klepnął kierownicę – nie zawieźdź mnie. Musimy znaleźć jakieś przytulisko.

Dwie i pół godziny później, nigdzie się nie spiesząc – nie miał przecież do czego – minął Myszyniec, a zaraz potem granicę dwóch województw. Rozciągała się przed nim Kraina Tysiąca Jezior.

Nataniel zatrzymał się na leśnym parkingu, pustym i cichym w ten wiosenny czwartkowy dzień, niemal się zachłysnął powietrzem pachnącym żywicą, świeżo skoszoną trawą i ciepłym deszczem. Mazury szeroko i gościnnie otwierały przed młodym mężczyzną swe wierzeje. Nagle zrozumiał, że tak miało być. Zawsze pragnął tu przyjechać. I zostać.

Posiedział parę chwil na ławce zbitej z surowych bali. Z przymkniętymi oczami słuchał szeptu wiatru, świergotu ptaków, szelestu liści... Byłby szczęśliwy, gdyby nie smutek spowijający duszę niczym gęsta mgła.

Mama...

– Bardzo za tobą tęsknię – wyszeptał, czując łzy pod powiekami. – Mogłaś żyć. Gdyby nie ci bandyci, mogłaś żyć...

Potarł oczy wierzchem dłoni, nie pozwalając łzom spłynąć po policzkach. Babcia Stasia zaraz by go za nie obsobaczyła. „Musisz być twardy, a nie miętki!” – powiedziałyby surowo. „Bóg się nad tobą zlituje, ludzie – nigdy”.

Ech, babciu... Ani Bóg, ani ludzie...

Opuszczając mieszkanie, poddając się po kilkumiesięcznej nierównej walce, czuł, że zawodzi mamę. Zdradza sprawę, o którą walczyła. Czyż jednak miał wybór? Zamiast wyboru dostał ultimatum. Ech... Poddał się. Nie walczył dłużej. Zdradził pamięć mamy. Babci Stasi też. Chociaż to ta ostatnia, ciężko doświadczona przez los, która podczas wojny straciła zdrowie, a po wojnie męża, powtarzała w zamyśleniu: „Tylko ten, kto nie ma

kogo kochać i do czego się przywiązywać, jest prawdziwie wolny. Nie ma nic do stracenia, nikt mu nie może niczego odebrać oprócz życia, a to dla jednych bardzo dużo, dla drugich mniej niż wypalenie papierosa”.

Mordercom jej męża tyle właśnie zabrało wydanie wyroku i wykonanie go: zdążyli zapalić papierosa, a potem zgasić go na stygnących zwłokach. Nataniel słuchał tej opowieści, gdy dorósł do tego, by poznać prawdę, ze ściśniętym sercem i niedowierzaniem. Jak to możliwe? Zabić człowieka, ot tak? Jak wypalić papierosa? A przyszłość tego człowieka, marzenia, rodzina, którą nie zdążył się nacieszyć – to również nic nie znaczyło?

Babcia uśmiechała się tylko smutno i kręciła głową: „Wtedy to nic nie znaczyło”.

Jak mało warte było dla bandytów ludzkie życie, Nataniel przekonał się kilka lat później, po śmierci babci. Jego mama... Nie. Nie mógł myśleć teraz o mamie. Wspomni ją później, gdy odnajdzie kąpiel, który będzie mógł nazwać swoim kąpiel. Gdy znów będzie mógł spojrzeć w lustro, po tym jak ją zawiódł. Odzyska szacunek do samego siebie.

Wstał i wszedł do samochodu, czując nieznośny ciężar w sercu.

Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, ciepłe światło kładło coraz dłuższe cienie na drodze, w którą Nataniel skręcił. Ból i samotność stały się tak dotkliwe, że nie zawrócił na szosę, a podążył leśnym duktem, który zdawał się nie mieć końca. Tego właśnie potrzebował w najczarniejszej godzinie swojego życia: drogi donikąd.

A jednak dokądś wiodła...

Wiła się między drzewami, wznosiła lekko, by znów opadać. Naraz sosny ustąpiły miejsca brzozom, pojaśniało i oto przed oczami Nataniela, oczami pełnymi łez, ukazało się wzniesienie okolone wiekowymi świerkami, a potem dom stojący na jego zboczu: poczerniała ze starości chata z bali, w stylu

bacówki. Stała cicha, zanurzona w promieniach zachodzącego słońca, samotna tak jak on, Nataniel.

Droga biegła dalej, ale chłopak zatrzymał auto i wysiadł. Ból w sercu nieco zelżał. Zastąpiło go znużenie, po prostu znużenie. Nataniel oddałby pół życia za kubek gorącej herbaty – bo kwietniowe popołudnie, mimo iż słoneczne, nie rozpieszczało ciepłem – i grubą pajdę chleba, smarowaną świeżutkim, pachnącym masłem i posypaną cukrem. To był niezawodny sposób babci Stasi na wszystkie smutki. Tym właśnie – kromką chleba z masłem i cukrem – traktowała ona rozpacz Nataniela z powodu złej oceny w szkole, tak zapewne koła smutki jego mamy, gdy ta wracała z nieudanej randki. Chłopak uśmiechnął się lekko.

Podszedł do drzwi starego domostwa. Zapukał, ale nikt nie odpowiedział. Nikt nie zaprosił do środka zdżozzonego wędrowca. Wewnątrz panowała głucha cisza. Chata była opustoszała. Obejście, chociaż to zbyt duże słowo na określenie niewielkiej obórki, czy też chlewika, i przytulonej do niej psiej budy, również.

Nataniel westchnął z głębi serca. Żegnaj, gorąca herbato. Żegnaj, cichy pokoiku z łóżkiem o mosiężnych ramach, miękkim sienniku, poduszce z pierza i ciężkiej, puchowej kołdrze, pod którą tylko się zwinąć i zasnąć ukołysanym szepem wiatru...

Obszedł chatę, mimo wszystko szukając żywej duszy, i nagle aż wstrzymał oddech z zachwytu. U stóp wzgórza, na którym stał stary dom, rozpościerało się lśniące w blasku zachodzącego słońca jezioro. Jego gładka powierzchnia, bo też wieczór był cichy i bezwietrzny, odbijała złocisty błękit nieba i zieleń drzew rosnących dookoła. Tu, od strony chaty, jezioro było wąskie, ale ciągnęło się w nieskończoność. Nie widział drugiego brzegu. To dzikie piękno, hojną ręką rzucone mu do stóp przez Boga, mimo wszystko, mimo smutku moszczącego sobie miejsce w sercu, wydobyło z piersi



młodego mężczyzny pełne zachwyty westchnienie.

Wrócił do samochodu, wyciągnął z plecaka blok rysunkowy, z którym nigdy się nie rozstawał, przysiadł na kamiennym schodku i oto, zupełnie się zatraciwszy, usiłował pochwycić i przenieść na kartę papieru czar tej chwili i tego miejsca.

Nie miał pojęcia, ile czasu mu to zajęło. Mrok zaczął zagarniać i polanę, i dom, gdy Nataniel w końcu postawił ostatnią kreskę. Uśmiechnął się, nieco pocieszony, i...

– Piękne – padło tak raptownie, że aż drgnął. – Chata na końcu świata jak żywa.

Poderwał się na równe nogi.

– Przepraszam, nie chciałam pana przestraszyć – dodała ta, która wypowiedziała przed chwilą pełne uznania słowa.

Kobieta, nie młoda, ale też nie stara, sporo młodsza od matki Nataniela, uśmiechała się doń łagodnie niczym do spłoszonego zwierzęcia. On zaś, dokładnie jak dzikie zwierzę złapane w sidła, gotów był do walki. Albo ucieczki.

– To ja powinienem przeprosić. Pukałem do drzwi, ale nikt nie otwierał. Będę się zbierał. Jeszcze raz przepraszam za najście – wyrzucił z siebie potok urywanych słów i już miał uciec do samochodu tak szybko, jak pozwalała na to jego kaleka noga, ale kobieta przytrzymała go za ramię.

– Proszę spokojnie dokończyć. Brakuje tu czegoś.

„Niczego nie brakuje!” – już miał odrzec, ale czy mógł być niegrzeczny dla kogoś, kto okazywał mu życzliwość?

– Skończyłem ten szkic – mruknął zamiast tego.

– A pies? – Kobieta obejrzała się przez ramię. – No tak. Pies znikł. Przez dobrą godzinę przyglądał się pana pracy razem ze mną, ale gdy przyszło co

do czego, oczywiście dał drapaka.

– Nie widziałem żadnego psa – rzekł Nataniel. – A, proszę mi wierzyć, zwracam uwagę na szczegóły.

– Potrafi być niewidoczny. – Kobieta machnęła ręką. – Pan przejazdem czy...?

– Przejazdem. Skręciłem nieco bezmyślnie z głównej drogi w las i dotarłem aż tutaj.

Skinęła głową, przyglądając się mu lekko zmrużonymi oczami. Miała ładną, pociągłą twarz okoloną włosami barwy kasztana, splecionymi w warkocz, długą suknię w drobne kwiatki i narzucony na ramiona gruby, ciepły kardigan. Tym, co przyciągało wzrok, były jej oczy: duże, złocistobrązowe, patrzące życzliwie i pogodnie.

– Mam na imię Nataniel. Nataniel Domoradzki. – Nie wiedział, czy wypada wyciągnąć dłoń do starszej od siebie kobiety, czy też nie. Wybawiła go ze zmieszania, podając mu swoją.

– Marta Kraszewska – przedstawiła się i uśmiechnęła ponownie tak pięknym, dobrym uśmiechem, aż mrok dookoła pojaśniał. – A skoro już się znamy, zapraszam na filiżankę herbaty. Dobrej herbaty! – dodała z naciskiem.

O tym właśnie – aromatycznym naparze, nie za słodkim, ale i nie gorzkim – Nataniel marzył.

– Nie mam nic do tej herbaty – zastrzegł.

Kobieta znów machnęła ręką.

– Wystarczy mi towarzystwo utalentowanego artysty.

Tak o nim mówiła babcia. Nie wahał się ni chwili dłużej.

– Z przyjemnością przyjmę zaproszenie, tylko proszę zwracać się do mnie po imieniu.

Kiwnęła głową.

– Chodźmy, zanim się ściemni.

Ruszył za nią, mocno utykając. Gdy był zmęczony – a teraz był – noga dawała mu się we znaki. Miał nadzieję, że tam, gdzie czeka nań herbata, prawdziwa!, nie jest daleko. W przeciwnym razie będzie kuśtykał za Martą do jutra. Obejrzała się przez ramię. Uśmiechnęła się do Nataniela.

– Zmęczyły mnie te spacerunki, a do domu dobry kilometr. Może podjedziemy samochodem?

– Oczywiście! Bardzo proszę! – Pospieszył, by otworzyć drzwiczki opla od strony pasażera.

Domyślał się, że nowa znajoma spokojnie doszłaby do domu i jeszcze wróciła, lecz litując się nad kalectwem Nataniela, w ten delikatny sposób wybawiła go od długiej wędrówki. Był jej za to wdzięczny, odetchnąwszy z ulgą, usiadł za kierownicą. Ulice miasta nie były tak męczące jak leśne ostępy.

Droga zajęła im kilka minut. Prowadziła w las, tam skąd przyjechał Nataniel, ale w pewnym momencie skręcała w prawo, w kierunku wsi, której światła zamajaczyły daleko przed nimi.

– To Senna. Tak nazywa się nasza wieś. Ja mieszkam na kolonii – wyjaśniła Marta. – Najbliższych sąsiadów mam daleko w lesie, skąd przyjechałeś. Cenimy sobie odosobnienie. Wieś ma swoje plotki, miasto pogoń za karierą, my: spokój.

– Lubi pani ciszę? – raczej stwierdził, niż zapytał. Nie potrafił do kobiety w wieku mamy mówić per „ty”, ona uznała to widać za zrozumiałe, bo nie poprawiała go.

– Och, kiedyś nie wyobrażałam sobie życia na wsi, byłam typową warszawianką. – Uśmiechnęła się w zamyśleniu. – Goniałam za pieniędzmi,

goniłam za awansem, nie zauważyłam, że w tej pogoni tracę coś dużo cenniejszego niż nowe ciuchy, lepszy samochód i droższe kafelki do mieszkania. Kiedy świat mi się rozsypał, rzuciłam wszystko i... To tutaj. Zapraszam do mojej samotni.

To miejsce było równie czarowne jak chata nad jeziorem. Niewielki dworek z gankiem wspartym na kolumnkach, oknami w szpros i dachówką z łupka sprawiał wrażenie przeniesionego wprost z dawnych kresowych opowieści. Nataniel, zdążając w kierunku drzwi wysypaną żwirem ścieżką, był niemal pewien, że za chwilę stanie w nich panna w białej sukni, z jasnym warkoczem przerzuconym przez ramię. Ale dom był pusty. Czekał na swoją właścicielkę, która dużym mosiężnym kluczem otwierała zamek.

– Zapraszam, rozgość się.

Wnętrze było jasne i przestronne. Przytulne. Pachnące drewnem z kominka i ziołami suszonymi się przy kominku.

– Przeniosłam go z Podlasia. – Marta rozejrzała się po swoim domostwie z dumą i miłością. – Gdy ujrzałam go po raz pierwszy, był w strasznym stanie. Zdewastowany, rozbierany krokiew po krokwi przez miejscowych, chylący się ku ziemi, lecz mimo to coś w sobie miał. Nieuchwytny czar, szlachetność. Zakochałam się w tym starodawnym pięknie, i za wszelką cenę postanowiłam je ocalić. To dzięki niemu – w tym momencie pogłaskała framugę drzwi – uciekłam z Warszawy. Sprzedałam mieszkanie, żeby uratować ten dom, a on uratował mnie. Jest nieduży, ale bardzo wygodny. Dla mnie stanowczo wystarcza. Przejdźmy do kuchni. Zrobię herbatę i usiądziemy na ganku. Jesteś głodny?

Był, jak wilk, co ośmielił się powiedzieć.

Martę najwyraźniej to ucieszyło.

– To dobrze! Przygotuję jajecznicę z wiejskich jaj. Sama zadowolilibym się kanapkami, ale dzięki tobie zjem coś na gorąco.

Zakrzętnęła się przy kuchni, zamiatając podłogę długą spódnicą.

Nataniel usiadł za stołem z burzą uczuć w sercu. Był onieśmielony, jak zawsze gdy poznawał nową osobę, lecz jednocześnie czuł się jak u siebie w domu. W kuchni mamy, która tak samo krzątała się, przygotowując jedynakowi posiłek. Tak jak za dawnych czasów proponował pomoc, ale Marta, jak mama, oganiała się od niego, powtarzając:

- Nie ma nic do pomagania. Ty sobie siedź, ja wszystko przygotuję.
- Ale pozwoli mi pani zmyć naczynia po kolacji?
- Z przyjemnością. Nie cierpię tego zajęcia.

Tak samo odpowiadała mama. Nataniel uśmiechnął się do wspomnień...

W kuchni smakowicie zapachniało podsmażanym boczkiem, a potem świeżą jajecznicą. Na stół wjechał koszycek z kromkami wiejskiego chleba i miseczka ze świeżym masłem. Zapowiadała się wspaniała uczta!

Po kolacji wyszli na ganek. Usiedli w wygodnych, wyściełanych poduchami wiklinowych fotelach.

Herbata rzeczywiście smakowała tak, jak pachniała: pysznie. Nataniel aż oczy mrużył z przyjemności, popijając małymi łykami gorący napar. Czuł w sercu spokój i tęsknotę. Gdyby tak mógł w swoim domu siedzieć na ganku, otoczony granatowym aksamitem nocy, patrzeć na srebrzystą ścieżkę księżycy biegnącą przez tafle jeziora, słuchać szeptu fal, popijać pyszną herbatę i milczeć. Po prostu milczeć w miłym towarzystwie. Oboje z Martą nie wydawali się zbyt rozmowni.

– Dokąd więc zmierzasz, Nat? – Ona postanowiła pierwsza przerwać ciszę.

– Prawdę mówiąc, nie wiem – odparł. – Przed siebie. Dziś rano musiałem opuścić mieszkanie, w którym mieszkałem od urodzenia, i... nie mam planów, co dalej. Gdzie się zatrzymać. Bo czym się będę zajmował, to wiem.

Przechyliła głowę z zaciekawieniem, słuchając uważnie jego słów.

– Jestem ilustratorem – mówił zatem dalej. – Ilustruję książeczki dla dzieci. Z tego bym się jednak nie utrzymał, bo zapotrzebowanie jest niewielkie, projektuję więc również strony internetowe. Robię grafiki dla firm reklamowych, okładki książek. Takie tam... Ale ja to lubię. Lubię pracę z kreską i obrazem.

– Fajna sprawa – przytaknęła. – Nie ma nic lepszego, niż robić w życiu to, co się lubi.

– A pani? – zapytał nieśmiało.

– Zawsze – odparła stanowczo. – Nie potrafiłabym całymi latami zajmować się czymś, czego nie znoszę. Jestem krawcową.

Uniósł brwi w mimowolnym zdziwieniu. Tego się po tej kobiecie nie spodziewał. Nie to, żeby miał coś przeciwno...

– Wiem, to zaskakujące – roześmiała się. – Ludzie inaczej wyobrażają sobie kogoś wykonującego tak przestarzały zawód. Krawcowa... Kto dzisiaj zleca szycie ubrań!? Od tego są sieciówki! Mimo to mam co robić. Kiedyś zajmowałam się czymś całkiem innym, ale... to opowieść nie na dziś. Lecisz z nóg.

Wyprostował się gwałtownie. Jej miły dla ucha głos, brzmiący miękko niczym kołysanka matki, rzeczywiście usypiał.

– Przepraszam. Będę się zbierał.

– A dokąd?

Dobre pytanie. Nie miał pojęcia, gdzie jest, jak wrócić na szosę. Nie wiedział, gdzie znajdzie najbliższą kwaterę.

Marta pospieszyła z pomocą:

– Na poddaszu są dwa pokoje gościnne. Mam nadzieję, że któryś z nich przypadnie ci do gustu.



Prawdę mówiąc, nie wzgardziłby wiązką siana w stajni, czy jednak wypada, by nocował pod dachem obcej kobiety?

Ta, zupełnie jakby czytała w jego myślach, pokręciła głową i uniosła kącik ust w uśmiechu.

– Nat, błagam, bez głupich skojarzeń. Oferuję ci nocleg, tak jak zaoferowałabym każdemu, kto na tym odludziu trafia ciemną nocą pod mój dach. Przypominam, że mógłbyś być moim synem...

Zaczerwienił się mimowolnie.

– To raczej... Ja odjadę, pani tutaj zostanie... Nie chciałbym, żeby miejscowi...

– Możesz się tym nie martwić. – Machnęła ręką. – I tak za plecami mówią o mnie „wiedźma”. Gorszej reputacji mieć nie mogę. Ale przynajmniej dają mi spokój. Jeżeli więc przyjmiesz gościnę u wiedźmy...

– Będę wdzięczny.

– No i dobrze. Schodami w górę, po prawej stronie jest łazienka, tam znajdziesz świeże ręczniki. Pokój sobie wybierz. Pościel leży na łóżku. Mam powlec?

– Nie, nie. To naprawdę zbyt wiele. Poradzę sobie. Bardzo, bardzo dziękuję i przepraszam za najście.

– Bogiem a prawdą to żadne najście – odparła pogodnie. – Sama cię zaprosiłam.

– Nie boi się pani gościć nieznajomych? – wymknęło mu się.

Uniosła kącik ust w uśmiechu.

– Jesteś pierwszym, od kiedy tu mieszkam. Będę mogła odpowiedzieć na to pytanie po twoim wyjeździe. Jeśli masz zamiar mnie okraść...

– Nie mam!

– ...to niewiele znajdziesz cennych rzeczy. Jeśli próbowałbyś zrobić mi

krzywdę...

– Nie!!!

– ...uprzedzam, że będę walczyć o życie. Na serio.

Nie wiedział, jak ją zapewnić, że jest uczciwym człowiekiem, a rzucił tym głupim pytaniem z troski o nią. Była w wieku jego mamy. Nawet do niej podobna. Tak samo łagodna, uśmiechnięta i serdeczna. Nie mógł zapobiec temu, co zrobili jego mamie, chciał chociaż ustrzec przed złymi ludźmi tę kobietę. Głupio zapytał, naprawdę...

– Nataniel, świat jest pełen zła, to prawda, ale większość ludzi jest dobra. Zło tylko głośniej wrzeszczy i brutalnie rozpycha się łokciami – powiedziała cicho.

Przytaknął.

– Przepraszam. Nie chciałem, żeby to zabrzmiało...

Machnęła ręką.

– Nie ma o czym mówić. Musisz być zmęczony. Spokojnych snów ci życzę.

Już miał wejść do środka, gdy obejrzał się na kobietę. Siedziała nieporuszona w swoim głębokim wiklinowym fotelu.

– Ja jeszcze trochę tu zostanę – odpowiedziała na niezadane pytanie. – Późno chodzę spać. I późno wstaję. Rano częstuj się wszystkim, co znajdziesz w lodówce. Nie czekaj na mnie ze śniadaniem.

– Nie śmiałybym szarogęsić się w pani kuchni!

– Daj spokój, chłopcze. Czyjaś obecność w pustym domu dobrze mi zrobi. Od czasu do czasu. – W jej głosie rozbrzmiała samotność tak przemożna, jaką Nataniel nosił w sercu od śmierci mamy. Pożegnał się cicho i zniknął na schodach.

Pół godziny później, gdy po wspaniałej gorącej kąpieli, owinięty pachnącym łąką ręcznikiem przysiadł na łóżku i wyjrzał przez mansardowe okienko, Marta nadal siedziała na ganku, nieruchoma niczym posąg strzegący tego domu, i patrzyła przed siebie. Może na jezioro, a może jeszcze dalej... Oczy błyszczały jej lekko w półmroku. Od łez? Nataniel tego nie wiedział i nie chciał wiedzieć. Jak mógłby pomóc tej kobiecie, skoro nie potrafił pomóc samemu sobie?

Oboje byli samotni pod tym rozgwieżdżonym skrawkiem nieba i oboje nie liczyli, że owo niebo ześle im anioła do towarzystwa. A jednak... Los odbiera, lecz czasem hojnie obdarowuje. Trzeba tylko cierpliwie czekać na jego kaprys.

## ROZDZIAŁ II

Nataniel obudził się wczesnym rankiem. Przez chwilę leżał wpatrzony w belki na suficie, pozwalając myślom płynąć niespiesznie przez rozleniwiony umysł. Dawno nie spał tak dobrze jak tej nocy. Łóżko było rozkosznie wygodne, poduszka sama prosiła się, by przytulić do niej policzki, kołdra miękko otulała zmęczone po przeżyciach ostatnich dni ciało. Długie chwile cieszył się tą niespodziewaną błogą wolnością.

Był jednak człowiekiem czynu, nie potrafił leniuchować zbyt długo. Wstał, otulając się kocem, bo ranek był chłodny, i podszedł do okna. Widok jeziora skąpanego w promieniach wczesnego słońca zaparł mu dech w piersiach. Kochał wodę pod każdą postacią: morze, rzeki, jeziora... Teraz miał lśniąca złotem, srebrem i błękitem tafle tuż przed sobą, na wyciągnięcie ręki. Zbiegłby na dół, zeskoczył z ganku, przemknął przez ogród, drogę, piaszczysty brzeg i już zanurzałby się w lodowato zimnej, przejrzystej wodzie. Gdyby mógł biegać, oczywiście.

Spojrzał z odrazą na nagą, okaleczoną kończynę, która nie raz doprowadziła go do łez, a nie dwa do szewskiej pasji. Cóż jednak mógł poradzić na własną ułomność? Choćby nie wiem jak ją klął, choćby nie wiem jak się wściekał i rozpaczał, noga – prosta i zdrowa – mu od tego nie odrośnie. Nic poza pogodną rezygnacją mu nie pozostało.

Poklepał się po kolanie.

– Nie będziesz dzisiaj bolała, co? Nie zepsujesz mi dobrego humoru?

Mógł jedynie żywić taką nadzieję.

Wziął szybki prysznic, włożył dzinsy i podkoszulek, narzucił bluzę od dresu i gotów był na spotkanie nowego dnia.

Nie chciał budzić gospodyni brzękaniem naczyń, chociaż był głodny, jak to u młodych ludzi bywa, wymknął się więc na zewnątrz, przegarnął dłonią lekko wilgotne, jasne włosy, wciągnął do płuc powietrze, rześkie, pachnące żywicznym lasem i bryzą od jeziora. Poczł się szczęśliwy. Choć przez chwilę.

O łydkę otarł mu się duży, pręgowany kot. Nataniel schylił się i podrapał go za uchem, szepcząc słowa powitania, po czym ruszył ku wodzie z nowym znajomym drepczącym za nim krok w krok.

Jezioro było krystalicznie czyste, tak jak to sobie wyobraził, stojąc w oknie i patrząc na jego chłodną taflę. Gdzieś z oddali dobiegało szczekanie psów. Woda niosła je od strony wsi, której nie było stąd widać. Warkot traktora, czyjeś nawoływanie, tęskne muczenie krów prowadzonych na pastwiska. A wszędzie wokół szczebiot wróbli i dalej, za domem, nawoływanie zięb i sikorek. Ani śladu zwykłego gwaru, który otaczał Nataniela w wielkim mieście ze wszystkich stron. Tutaj panowała cisza, rozśpiewana, pełna odległych szeptów cisza. Cudowna. Jedyna w swoim rodzaju. Tylko się w niej zanurzyć i zapomnieć.

Obejrzał się na dom, ale nic nie wskazywało na to, żeby gospodyni już wstała. Ruszył więc niespiesznie drogą, czy raczej wąską ścieżką, biegnącą wśród nadbrzeżnych szuwarów. Był pewien, że dojdzie nią do „swojej” chaty. Tej samej, której rysunek zostawił Marcie jeszcze wczoraj wieczorem na stole. Pragnął chociaż w ten sposób okazać wdzięczność za jej serdeczność i gościnę.

Szedł powoli, bo ani się nigdzie nie spieszył – zadziwiające uczucie po latach gonienia ze szkoły do domu, z domu na uczelnię, z uczelni do pracy – ani nie chciał przeciążać chorej kończyny. Całkiem niedawno rana wreszcie się zasklepiła po ostatniej operacji. Naprawdę nie marzył o ponownym łamaniu kości i cierpieniu, jakie ze sobą niosło...

Po paru kwadransach szuwary ustąpiły miejsca niewielkiej piaszczystej plaży z pomostem zbitym byle jak z poczerńniętych desek. Plaża wznosiła się łagodnie, przechodząc w bujną, jasnozieloną łąkę okalającą od strony jeziora wzniesienie, na którym stała chata. Nataniel uśmiechnął się na jej widok. W blasku wstającego dnia była jeszcze nędzniejsza, niż kiedy słońce gasło za jeziorem, chłopakowi wydała się jednak... może nie piękna, lecz fajna. Tak właśnie. Nawet więcej niż fajna: super!

Bale, z których była zbudowana, łączone na pióro i wpust, były tak ciemne, że niemal czarne. Ile mogły mieć lat drzewa, z których je wyciosano? Ile lat miał sam dom? Nataniel nie próbował nawet zgadywać. Zresztą nie musiał: gdy podszedł bliżej, zauważył, że na nadprożu wyryta była data: 1778. Coś wspaniałego! Mama byłaby zachwycona, bo kochała wszystko, co z duszą! Spadzisty dach kryty był łupkiem, kiedyś pewnie grafitowym, teraz pozieleniałym od mchu. Nataniel pomyślał, że taki, zielony, bardziej mu się podoba od wymuskaniej dachówki, jaką kryto teraz podwarszawskie wille. Może styl góralski, a w takim zbudowano chatę, nie komponował się idealnie z mazurskim krajobrazem, ale i specjalnie się z nim nie gryzł. Okna, które kiedyś – dałby sobie rękę uciąć – miały pięknie rzeźbione okiennice, teraz zabito na głucho krzywymi dechami. Ktoś nie dbał o ten dom ani o jego piękno. Ktoś go wyraźnie nie znoślił.

Nataniel polubiłby chatę, może nawet pokochał. Był tego pewien. Zamiast tego pożegna się z nią zaraz w myślach, odwróci i nigdy więcej jej nie zobaczy. Po co do tęsknoty za rodziną dokładać tęsknotę za miejscem, które mogłoby być jego, gdyby...

– Gdyby stać cię było choćby na psią budę z tego obejścia – podpowiedział sobie uprzejmie, obchodząc dom tym razem z drugiej strony, od podwórza.



Nagły brzęk rozległ się w ciszy jak wystrzał. Nataniel drgnął mimowolnie, zwracając głowę w kierunku czegoś, co właśnie szamotało się w pułapce ze starej sieci. Czarno-płowy kłęb kłaków strącił oparte o ścianę domu grabie, te pociągnęły za sobą plecionkę i z nią właśnie walczył, popiskując rozpaczliwie, niewielki, wystraszony psiak.

– Piesku, piesku, poczekaj, zaraz ci pomogę! – Nataniel pospieszył ku zwierzęciu.

Słyszając jego głos i zbliżające się kroki, w pierwszym momencie zastygł bez ruchu, w następnym przypadło do ziemi, kuląc pod sobą ogon i zawodząc cicho, błagalnie, aż serce się krajało. Oczy wyszłyby mu ze strachu na wierzch..., wyszłyby, gdyby je miało. Zamiast dwóch błyszczących źrenic w czaszce zwierzęcia ziały źle zrosnięte dziury. Natanielowi na ten widok gardło zacisnęło się boleśnie. Kochał zwierzęta, były mu bliższe niż ludzie, ich cierpienie odczuwał jak własne.

– Piesku, nie bój się – zaczął łagodnie – nie zrobię ci krzywdy. Zdejmę tę sieć, tak właśnie, tylko się nie ruszaj, a potem...

Nie zdążył powiedzieć, co potem, bo uwolnione zwierzę wyprysnęło do przodu, obilo się o ścianę chaty, zawróciło i potrząsając głową, nieco zamroczone, pobiegło chwiejnym krokiem przed siebie. Chwilę później zniknęło w lesie.

Nataniel patrzył za nim bezradnie. Mógł dogonić psiaka – chociaż z chorą nogą było to wątpliwe – ale co potem? Przerażone stworzenie nie pozwoliłoby się zbliżyć, o wzięciu na ręce nie było nawet mowy. Smyczy ze sobą nie woził, nawet kawałka sznurka nie miał. Trudno. Psiak musi radzić sobie sam. I pewnie to robił. Nie od dziś.

Wzrok chłopaka spoczął w tym momencie na błyszczącym przedmiocie, który musiał spaść z parapetu. Może ukryty był pod doniczką, którą strąciło

zwierzę? Klucz. Bez wątpienia klucz do drzwi. Zapewne do tych drzwi. Nataniel, nie namyślając się długo, wsunął go w zamek, przekręcił i... wierzeje, poskrzypując, uchylły się nieco.

Wejść czy nie wejść? Oto jest pytanie...

Nie zdążył sobie odpowiedzieć, bo nagły krzyk: „Ej, złodzieju taka twoja mać, pódziesz wont, bo psem poszczuję!” – sprawił, że Nataniel odskoczył od drzwi.

Drogą od strony lasu nadchodził uzbrojony w kij, czerwony na twarzy mężczyzna. Drugą rękę zaciskał na obroży potężnego brytana.

Nataniel cofnął się w panice jeszcze dwa kroki, unosząc dłonie w geście poddania, potknął się o chorą nogę i upadł nieporadnie na plecy.

– Nie jestem złodziejem! Jestem gościem Marty Kraszewskiej! Tylko tędy przechodziłem! Podziwiałem pana dom!

– A jużci... – Tamten podszedł blisko, może na trzy kroki od leżącego na ziemi, pobladłego chłopaka, po czym... roześmiał się. – Alem ci stracha napędził, co chłopcze? No już, wstawaj. Ani ja nie taki groźny, ani Reksio. On tylko straszy wyglądem. No wstawaj, wstawaj. – Mężczyzna wyciągnął do Nataniela wielką, szorstką, czerwoną od ciężkiej roboty dłoń. Chłopak z ociąganiem chwycił ją i jednym szarpnięciem stanął na nogach.

– Potknąłem się – mruknął na usprawiedliwienie.

– Taa, wiem. Potrafimy z Reksiem stracha napędzić.

– Nie bałem się!

– A jużci. Fiknąłeś jak panna w zboże.

Nataniela zatkało z oburzenia, ale patrząc na okrągłą jak patelnia, uśmiechniętą twarz mężczyzny, nie mógł się nie roześmiać.

– Ma pan rację. Już myślałem, że puści pan na mnie tego brytana, a potem jeszcze lagą przyłoży.

– Kalek nie bijam – odparł pogodnie tamten. – Nie obrażaj się, choć jesteś pewno o to drażliwy, ale widziałem, jak kuśtykasz, żeby Trusi pomóc.

– Trusi?

– Ta bida, co się w sieć zaplątała. Psina. Żarełko jej przyniesłem. Nie moja ona, ale co zwierzaka głodem morzyć. To przyniesłem. – Wyciągnął z kieszeni kufajki, którą miał na grzbiecie, owinięte w szary papier pętko kaszanki. Bryś, czy też Reksio, który przez cały ten czas drapał się niespiesznie za uchem, teraz uniósł łeb i zaciągnął się z rozkoszą pięknym aromatem. Nataniel nagle poczuł, jak bardzo jest głodny.

– Może ty masz chęć? – Mężczyzna skinął w jego stronę. – Wyglądasz na nie mniej zabiedzonego niż Trusia. Chociaż... nawet bardziej. O tamtą bidę z Martą dbamy. Częstuj się. Domowa.

Wcisnął chłopakowi pakunek do ręki. Nataniel uniósł brwi. Kaszanka była jeszcze ciepła. Pachniała nieziemsko. Reksio miał nieomal łzy w oczach, gdy na nią patrzył.

– Z chęcią bym skosztował, naprawdę – zaczął chłopak, przełykając ślinę – ale nie chcę psa objadać.

– Przyniesie jej coś innego, spokojna głowa. Wygląda na to, że Marta gości głodzi. Jedz, chłopcze, jak ci tam, nie żałuj sobie.

– Nataniel Domoradzki.

– Piknie. A ja Mateusz. Mateusz Józwik. Usiądź se, chłopcze, na schodku i pałaszuj. Ja bez ten czas dom obejde.

Nataniel zrobił to, co mu kazano, i odprowadzając Mateusza Józwika zdumionym wzrokiem, zatopił zęby w pysznej, rozpływającej się w ustach kaszance. Reksio spojrzał nań z niemym wyrzutem, wiedząc, że nic mu z kawałka szarego papieru nie skapnie, i pobiegł za swoim panem. Chłopak mógł rozkoszować się niespodziewanym posiłkiem w samotności. Prawdę

mówiąc, nie przepadał za kaszanką. W Warszawie do ust by czegoś takiego nie wziął. Teraz jednak był głodny jak wilk, a podarunek okazał się po prostu pyszny. Świeży, pachnący, no pyszny!

Nagle uniósł wzrok. Zza obórki, czy chlewika, wychylił się psi łeb zakończony wężącą intensywnie, czarną kulką nosa. Psina, głodna zapewne nie mniej niż Nataniel, przypadła do ziemi i z cichym skomleniem zaczęła pełznąć w stronę młodego mężczyzny, który znieruchomiał, żeby jej nie spłoszyć.

Zastygła w bezruchu, nadal popiskując, może trzy kroki od niego i mimo łagodnych zachęt bała się podejść bliżej. Rzucił jej kawałek kaszanki. On celował dobrze, wprost do jej pyska, psina była jednak niewidoma, kąsek odbił się jej od nosa i upadł na piach. Nataniel pokręcił głową na własną głupotę, sunia chwyciła kaszankę i pochłonęła jednym kłapnięciem. Następny kawałek podjechał jej pod nos na wyciągniętej ręce. W pierwszym momencie chciała się cofnąć, cała drżąc ze strachu, w następnym ujęła delikatnie kąsek, tak by nie zranić zębami ręki człowieka, i przełknęła pośpiesznie.

– Dobrze, piesku, masz jeszcze – odezwał się łagodnie Nataniel, znów czując bolesny skurcz w gardle. Stworzenie nie było chude, najwidoczniej Marta z Mateuszem karmili tę bidę, ale sierść miało skołtunioną i brudną, cuchnęło straszliwie, a źle zabliznione dziury po oczach łamały serce.

– O, widzę, że się poznałomiliście z Trusią – rozległ się tubalny głos Mateusza.

Suczka zaskomlała ni to ze strachem, ni z radością, machając koniuszkiem ogona podwiniętym do brzucha. Pogłaskać się jednakże nie pozwoliła. Człowiek, nawet tak dobry jak Mateusz Józwik, który co dzień przynosił jej jedzenie, przerażał śmiertelnie. Odskoczyła od wyciągniętej ręki. Wpadła na Reksia. Zaskowyczała i uciekła.

Nataniel podniósł się gwałtownie z kolan, gotów biec, czy raczej kuśtykać, za psem, ale mężczyzna powstrzymał go machnięciem ręki.

– Wróci. Niby gdzie ma się podziać...

– Kto ją oślepił? – W głosie chłopaka zabrzmiał gniew.

– Przejezdni. Pewnie z miasta. Pies się znudził, to do lasu z nim. A żeby nie mógł wrócić, to po oczach go. Ludzie... – Mężczyzna westchnął, podrapał się po karku i dodał gwoli sprawiedliwości: – Tylko oślepił, a przecież mogli zabić.

– I tak jest bardziej humanitarnie! Porzucać oślepione zwierzę w lesie! Żeby padło z głodu! Nie, to nie ludzie, to bestie!

– Może być bestie. Ale inni zdechnąć bożemu stworzeniu nie dali. Równowaga w przyrodzie musi być. – Zwrócił swą pocziwą twarz ku Natanielowi. – Coś Trusia w serce ci zapadła, chłopcze. To niedobrze mieć na tym świecie miętkie serce i kulawą nogę. Pewnie boli.

– Noga czy serce? – odwarknął Nataniel.

Nie podobała mu się taka bezceremonialność. W Warszawie mało kto zwracał uwagę na jego kalectwo, a jeśli już zwracał, to w nieco bardziej oględny sposób. Nie tak... dosłownie.

– Co ci się właściwie stało? – Mężczyzna, mając najwidoczniej dużo czasu, a i ciekaw obcego, rozsiadł się na schodku i poklepał miejsce obok. Nataniel, chcąc nie chcąc, usiadł.

– Wypadek – mruknął wymijająco.

– Za szybko się na motorku pomykało? – zapytał tamten domyślnie, wyjmując z drugiej kieszeni owiniętą w celofan kanapkę.

– Nie. Mama by mnie zabiła, gdybym wsiadł na motor. Po prostu wypadek.

Mężczyzna podzielił kanapkę na pół i, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie, podał Natanielowi. Ten wziął poczęstunek zaskoczony.

– Dziękuję – wyjąkał.

– Na zdrowie. Opowiadaj, co z tym wypadkiem. – Mateusz oparł się o framugę drzwi i zatopił zęby w pachnącym chlebie.

– Niewiele jest do opowiadania. – Nataniel wbił wzrok w piach podwórza. Skłamał, bo historia kalekiej nogi na pewno by się mężczyźnie spodobała, ale... nie chciał wracać do tamtych chwil. Może... kiedyś... gdy bardziej się z tym dobrodusznym dryblasem zaprzyjaźni... Zaprzyjaźni? Trudno przyjaźnić się z kimś, kto przemknie przez twoje życie i zniknie za jego zakrętem. – Szedłem w góry. Pogoda się załamała. Nic nie było widać. Spadłem w przepaść. Ledwo mnie odratowali – wyrzucił z siebie kilka urywanych zdań.

Mężczyzna pokiwał głową.

– Niezły był z ciebie niegdyś chojrak, co? Mnie nigdy w góry nie ciągnęło. Za poważna sprawa.

– Nie zgrywałem chojraka – zaperzył się Nataniel. – Nigdy głupio nie ryzykowałem. Mama... Nie zrobiłbym nic, co zraniłoby moją mamę.

– A jednak. Bo chyba rozpaczała po tym... wypadku?

– Była szczęśliwa, że przeżyłem – uciął Nataniel.

– A ty?

– Co ja?

– No, czy ty byłeś szczęśliwy?

Młody mężczyzna spojrzał na starszego ze złością. I zdumieniem. To się rozumie przecież samo przez się!

Czy aby na pewno?

Ile razy błagał Boga o nagłą śmierć, gdy łamali mu źle zrosniętą nogę i próbowali nastawiać od początku? Ile razy klął Najwyższego, że nie pozwolił mu umrzeć, łagodnie, z wychłodzenia i szoku, wtedy, w skalnej

rozpadlinie? Gdyby jeszcze miał pewność, że całe to cierpienie nie poszło na marne... że jego ból miał jakiś sens... Gdyby dostał od losu znak, najmniejszy znak, że tamta...

– Byłam pewna, że tu znajdę zbiega! – Głos Marty przerwał te niewesołe rozmyślenia.

– A gdzie ma być? – zdziwił się Mateusz. – Jak chce kupić te chałupę, musi ją pierwiej obejrzeć.

Tym razem Nataniel spojrział na swego towarzysza z niebotycznym zdziwieniem. To było o nim? Niby on, który opuścił rodzinny dom w przysłowiowej jednej koszuli, miał kupić chatę nad jeziorem?

– Ja... – zaczął zmieszany, lecz Marta przerwała mu zdecydowanie:

– O twoich planach porozmawiamy po śniadaniu. Musisz być głodny jak wilk!

– Nakarmiłem chłopaka kaszanką Trusi – wtrącił Mateusz, ale Marta stanowczo skinęła na Nataniela dłonią.

Wstał. Mateusz podniósł się również.

– Zobacz, polubiła cię. – Wskazał młodemu mężczyźnie sunię, która nieśmiało, bardzo nieśmiało wystawiła łepkę z nory, jaką wykopała pod węglem chaty, i skierowała swe puste oczodoły w kierunku Nataniela, poruszając przy tym czarnym nosem.

– Nie tyle mnie, co kaszankę – zaśmiał się chłopak.

– Mylisz się. Do nikogo innego z dziury nie wychodzi. Tylko do mnie i Marty. Teraz i ciebie lubi ta szelma. Ładna psina, co nie?

– Mateusz chce przehandlować ci psa razem z domem. – Marta uśmiechnęła się domyślnie.

– Żeby to było takie proste – westchnął mężczyzna.

– Rzeczywiście ten dom jest na sprzedaż? – odważył się zapytać Nataniel,

choć nie powinien robić sobie nadziei. Nie stać go było nawet na wynajęcie skromnej kawalerki. Poza tym... musi najpierw zrobić porządek z samym sobą. Poważnie pomyśleć, dokąd chce się udać i co robić.

Marta przyglądała się zmianie uczuć na twarzy chłopaka. Nadziei, która zalsniła przez chwilę w szarych źrenicach, nie przeoczyła. Smutku, który nastąpił zaraz potem, także nie.

– Śniadanie! – przypomniała.

Gdyby w tej chwili pozwoliła młodemu mężczyźnie na rozmyślanie, mógłby podjąć złe decyzje. Smutek i głód nie są dobrymi doradcami.

– Wracam do chałupy, robota czeka. – Mateusz gwizdnął na psa.

Jego potężny czworonożny przyjaciel przybiegł w podskokach z patykiem w pysku. Mężczyzna pokręcił głową, jakby mówił: „Ach te dzieci!”, po czym ujął drugi koniec patyka i siłując się z Reksiem, odszedł ścieżką prowadzącą w głąb lasu.

– Zabawny ten nasz domorosły leśniczy – uśmiechnęła się Marta, odprowadzając go wzrokiem.

– Domorosły?

– Wieki temu kupił od Lasów Państwowych zrujnowaną leśniczówkę, daleko od ludzkich siedzib, wyremontował ją, przeprowadził się z Olsztyna i zaczął strzec lasów niczym leśniczy z prawdziwego zdarzenia. Tylko strzelby mu brak. Dodam, że kiedyś wypowiadał się jak człowiek, człowiek cywilizowany – zdziwiłbyś się, kim był w „poprzednim wcieleniu” – ale w którymś momencie stwierdził, że do lasu bardziej pasuje gwara, nieważne jaka, i teraz wysławia się nieco dziwnie. Ale gdy się zapomni, mówi po ludzku!

Nataniel roześmiał się serdecznie. Już uwielbiał Martę, teraz zaczął szczerze lubić ekscentrycznego – i domorosłego! – leśnika.

Zgodnie, ramię w ramię, ruszyli z Martą ścieżką przy jeziorze.



– Ta psina, Trusia, tu zostanie? – Nataniel obejrzał się na psiaka, który stał samotnie pod drzwiami chałupy, cichym popiskiwanym odprowadzając odchodzących ludzi. Przyjaciół.

– Wzięłabym ją do siebie, naprawdę – zapewniła gorąco Marta – ale Trusia nie ufa mi aż tak, by za mną pójść. Mateuszowi także nie. Nikomu. Karmimy ją, nie myśl sobie, mimo to nie chce opuścić pustego obejścia.

– Chata! Zostawiłem otwarte drzwi! – Nataniel chciał zawrócić, ale Marta przytrzymała go za ramię.

– Nie ukradną jej. Zamkniesz następnym razem.

– Mogą wynieść coś ze środka!

– Nie ma co wynieść. Dom jest pusty i wszyscy w okolicy o tym wiedzą.

– W okolicy. Ktoś obcy...

– Obcy też wiedzą, że do chaty na wzgórzu się ot tak nie wchodzi.

Nataniel zatrzymał się w pół kroku i spojrzał na kobietę.

– Dlaczego nie? Jest nawiedzona? Chyba nie wierzy pani w duchy?

– W co wierzę, nie ma najmniejszego znaczenia – odparła z nagłym chłodem. – Przynajmniej nie w tym wypadku. Chata nie jest nawiedzona, ale jest przeklęta. Tak twierdzą miejscowi i to uratowało ją przed rozszabrowaniem.

– Przeklęta... – powtórzył półgłosem Nataniel. – Kto ją przeklął i za co?

– Och, nie zaprzataj sobie tym teraz głowy. – Marta, która znów była sobą, pogodną i serdeczną, machnęła ręką. – Gdy przyjdzie czas, wszystko ci opowiem. Jak na spowiedzi. Obiecuję.

Nataniel, zajęty tą jakże ciekawą rozmową, nawet nie zauważył, że szuwary rozstały się i dotarli do dworku Marty. W potokach porannego słońca, w cichym oczekiwaniu na swą właścicielkę wyglądał jeszcze piękniej niż wczorajszego wieczoru.

Nataniel wszedł do środka oczarowany.

– Zapomniałem wczoraj pozmywać naczynia – zaczął ze skruchą.

– Miałeś prawo – odparła niefrasobliwie Marta – byłeś niemiłosiernie zmęczony. Musiałeś przebyć długą drogę – dodała, wskazując mu krzesło za stołem.

– Dwieście kilometrów. Z hakiem.

– Nie mówię o kilometrach – rzuciła przez ramię, zajęta krojeniem chleba.

– Czy mógłbym pomóc choć dzisiaj? W przygotowaniu śniadania? – Poderwał się, gotów do pomocy, ale kobieta pchnęła go lekko z powrotem na krzesło.

– Dopóki jesteś gościem, nie ma mowy. Gdy staniesz się domownikiem, z chęcią przyjmę pomoc.

– Bardzo chciałbym zostać domownikiem pod tamtym dachem... – odezwał się Nataniel półgłosem, patrząc w okno, za którym, ukryta za ścianą lasu, stała stara chata.

– Uważaj, o czym marzysz! Zwykle los nie słucha, ale gdy się rozdokazuje... Spełni wszystkie marzenia, nawet te, o których nie zdążyłeś pomyśleć.

Uśmiechnął się tylko. Jemu najwidoczniej trafił się los ślepy i do tego głuchy.

– Mieszka tu pani zupełnie sama? – zapytał, gdy postawiła przed nim koszyczek z chlebem, maselniczkę i talerz z wędliną. – Powiedziała pani wczoraj, że jestem pierwszym nieznanym, który zawitał w te progi.

– Nieznanym pierwszym, to prawda, ale mam też przyjaciół. Niewielu ich, bo i ja zbyt wylewna, jeśli chodzi o uczucia, nie jestem i pierwszego lepszego przyjaźnią nie obdarzam, ale za to drogich memu sercu. Mam też córkę.

Nataniel, biorąc do ust kolejny plasterek szynki tak pysznej, że nie mógł się powstrzymać, spojrzał na kobietę z ciekawością, ale ona zamiast mówić dalej, zaczęła smarować masłem kromkę chleba w takim skupieniu i z takim zaangażowaniem, jak gdyby to była najważniejsza czynność w jej życiu. Nataniel domyślił się, że Marta temat córki zakończyła. Pewnie została przez nią zraniona...

### ROZDZIAŁ III

**Z**dradź mi, co porabia młody chłopak, sam, na polskich ścieżkach? Bo na turystę nie wyglądasz... – Marta wprawdzie na swój temat mówić nie chciała, ale historii Nataniela była ciekawa. Może dopytywała się nie tak obcesowo i prostolinijnie jak „leśniczy” Mateusz, ale usłyszeć pragnęła więcej.

Nataniel odstawił kubek z herbatą. Nie bardzo kwapił się do opowieści o sobie. Zmuszała do przywołania wspomnień, a te były bolesne.

– Miałem normalne dzieciństwo, normalny dom. Dobrze się uczyłem, zdałem maturę, skończyłem studia. Potem praca... Co tu dużo opowiadać.

Umilkł ze wzrokiem wbitym w blat stołu.

– No tak. Twoje CV zawiera chyba więcej informacji, niż mi tutaj zapodałeś. Wczoraj wyrwało ci się, że musiałeś opuścić mieszkanie należące do twojej babci. Rodzicom podpadłeś, że wskazali ci drzwi?

Pokręcił głową.

– Ojca nie znam. Mama zmarła nagle cztery miesiące temu. – Starał się, naprawdę się starał, by powiedzieć te słowa obojętnym tonem, ale nie potrafił. Głos mu się załamał. Teraz musiał zwalczyć łzy napływające do oczu.

Marta położyła dłoń na jego rękę i uścisnęła ją mocno, serdecznie.

– Przepraszam. Gdybym wiedziała, że ta czarna bluza to żałoba po matce, ugryzłabym się w język, ale dziś młodzież lubi czerń, myślałam więc...

On powinien z nonszalancją machnąć ręką, zapewnić, że nic się nie stało, ale nie mógł. Ból, który od wczorajszego wieczoru nieco zmalął, uderzył w tej chwili ze zdwojoną siłą. Do Nataniela dotarło, jak bardzo jest samotny,

jak nikogo nie obchodzi, co się z nim stanie. Mógłby zniknąć, utonąć w jeziorze, zabłądzić w mazurskich lasach i umrzeć na odludziu z głodu i wychłodzenia, a nikt, zupełnie nikt by się tym nie przejął, nikt nie zgłosiłby jego zaginięcia, nikt by go nie szukał i nie odnalazł. Poczul łyzy w oczach. Otarł je gniewnym gestem. Nie chciał się rozklejać przy tej kobiecie, ale sprawiła mu ból głupim dopytywaniem.

– Pójdę już. Dziękuję za gościnę i pyszne śniadanie – odezwał się, wstając od stołu.

Marta spojrzała na niego ze smutkiem.

– Nie zatrzymam cię chociaż na kilka dni ani prośbą, ani groźbą?

– Przepraszam, ale... – I co teraz? Skłamiesz, że spieszo ci dokądkolwiek? Ta kobieta zasługiwała na prawdę. – Muszę sam się z tym wszystkim uporać – dokończył.

– Łatwiej bywa we dwoje. Z przyjacielem – zauważyła łagodnie.

– Ja nie mam przyjaciół – odparł z goryczą.

Kiedyś miał. O tak. W szkole, później w liceum był bardzo lubiany. Lecz po wypadku wszystko się zmieniło. On się zmienił.

Marta nie skomentowała tego ani słowem. Mogła rzucić zdawkowe: „Jeszcze ich znajdziesz, wystarczy się postarać, wyjść do ludzi”, ale tylko skinęła głową, po czym podeszła do kredensu, wyjęła puzderko z masy perłowej, a z niego prostokątny kartonik ze szkicem dworku i kaligrafowanymi napisami.

– Weź, bardzo cię proszę, moją wizytówkę. Gdy dotrzesz... tam, dokąd pragniesz dotrzeć, zadzwoń. Albo chociaż kartkę wyślij. Nie będę mogła spać spokojnie, wiedząc, że błądasz się gdzieś sam. Ach, i pamiętaj, że zawsze jesteś mile widziany pod tym dachem. Mateusz też chętnie cię ugości. Spora jest ta jego chałupa. Stoi wystarczająco daleko od ludzi i cywilizacji, żeby się tam zaszyć, przemyśleć to, co się ma do przemyślenia, po czym wrócić do

świata. Jesteś za młody, Natanielku, by się poddawać.

Pogłaskała go po ramieniu, a on, wzruszony tym gestem, dobrocią i serdecznymi słowami kobiety, o której istnieniu jeszcze wczoraj nic nie wiedział, ujął jej dłoń i ucałował z szacunkiem i wdzięcznością.

Nic więcej nie zostało do powiedzenia. Utykając mocniej niż jeszcze godzinę temu, ruszył do samochodu.

Marta zatrzymała się na ganku i odprowadziła go spojrzeniem.

Usiadł za kierownicą, podniósł dłoń w pożegnalnym geście, przekręcił kluczyk w stacyjce, samochód kaszlnął i... nic. Nacisnął parę razy sprzęgło, ponowił próbę i... opel ani zipnął.

– Co jest z tobą? – mruknął, jeszcze raz próbując odpalić auto. Bez powodzenia.

Wysiadł zmieszany, spojrzał nic nierozumiejącym wzrokiem na Martę.

– Nie chce zapalić. Czasem mu się to przytrafia. Będę próbował dalej...

– Zalejesz silnik – odparła. – Może wróc do domu, zmyj naczynia, tak jak obiecałeś, a ja zadzwonię po Mateusza? Zna się na samochodach.

Raczej nie miał wyboru, musiał zdać się na Martę.

– Nie wiem, co się stało temu rzęchowi. Zwykle sprawuje się bez zarzutu...

– Hej, chłopcze drogi, nie tłumacz się! Przecież to nie twoja wina. Nie chciałeś tu zostać, celowo go nie uszkodziłeś, ale stało się. Nie chce odpalić. Masz teraz wybór: możesz czekać, aż Mateusz doprowadzi go do stanu używalności, ruszyć w dalszą drogę na piechotę albo wezwać taksówkę i pojechać tam, dokąd pragniesz, za ciężkie pieniądze. Zaczynij lepiej zmywać te gary.

Mimo iż nie było mu do śmiechu – naprawdę nie rozumiał, dlaczego los się na niego tak wziął – ruszył do

kuchni.

– Nie mam pieniędzy na taksówkę i nie wiem, dokąd miałyby mnie zawieźć.

– No właśnie – zgodziła się Marta, biorąc do ręki telefon.

W paru słowach streściła Mateuszowi sytuację.

– Będzie za jakiś czas – zwróciła się do Nataniela po zakończeniu rozmowy. – Przy czym u niego „jakiś czas” waha się od kilku minut do kilku dni.

– Nie mogę zostać tu tak długo! – przeraził się młody mężczyzna. – To naprawdę nie wypada!

– Skoro ty tak twierdzisz... Gdybyś płacił za nocleg jak w pensjonacie, coś by to zmieniło?

– Ja... nie wiem. – Spojrzał na Martę bezradnie.

– Cóż... w takim razie musimy ci uwić tymczasowe gniazdko w chacie!

– W chacie? Tej na wzgórzu? – W głosie Nataniela zabrzmiało niedowierzanie.

Nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo, od pierwszej chwili, spodobał mu się tamten dom. Jak pragnął przekroczyć jego próg, obejść pokoje, zajrzeć na strych i do piwnicy, wreszcie rozpalić w piecu, bo na pewno stary kafłowy piec stał w kuchni albo w którejś z izb, po czym zwinąć się pod kocem na fotelu – czy był tam również fotel?, wątpliwe, ale w marzeniach Nataniela był – i... zostać tak. Po prostu tak zostać. Nie błąkać się dłużej po nieznanym drogach i obcych domach. Nie szukać mitycznego miejsca na ziemi. Znaleźć je w chacie nad jeziorem. Tak po prostu.

– Chciałbyś? – rzuciła Marta od niechcienia.

– Bardzo!

Nie musiał tego mówić. Przygaszone do tej pory oczy rozbliły na samą

myśl, że wejdzie do środka. Nie jak złodziej, ukradkowo, oglądając się przez ramię, a jak...

– Może stać by mnie było na jej wynajęcie? – zapytał z nadzieją.

Marta natychmiast ją rozwiąła, odpowiadając stanowczo:

– Ona nie jest na wynajem. Jest na sprzedaż. Możesz w niej mieszkać przez jakiś czas, mam klucze, ale gdy trafi się kupiec, będziesz musiał ruszyć swoją drogą.

Okrutne były to słowa, oczywiście niezamierzenie okrutne: odbierać dom komuś, kto był bezdomny, ale Nataniel powinien się już przyzwyczaić, że nie jest ulubieńcem losu. Ludzi także nie.

– Nie martw się tym, na co nie masz wpływu. Rób to, co od ciebie zależy – poradziła mu Marta, wychodząc z kuchni.

Wróciła z wiadrem, szczotką i kilkoma ścierkami i wszystko to wręczyła Natanielowi, mówiąc:

– Możesz przejść się do chaty. Dawno nie zaglądałam do środka, jestem pewna, że przyda się tam porządne sprzątanie. Tobie zleci czas, ja trochę popracuję nad swoimi wyszywankami. Mam nadzieję, że umiesz machać szczotką i ścierką.

– Umiem. Oczywiście, że umiem – odparł żarliwie, gotów natychmiast biec na wzgórze i brać się do pracy.

– Znając dzisiejszą młodzież, przyzwyczajoną, że „samo się” sprząta, pierze i gotuje, nie jest to dla mnie takie oczywiste – mruknęła Marta, ale Nataniel już jej nie słyszał.

Zdązał tak szybko, jak pozwalała mu na to kaleka noga, w kierunku domu, który – był tego coraz bardziej pewien – kiedyś stanie się jego domem. Jego własnym.



Nie skręca się z szosy ot tak, przypadkowo, znajdując na końcu drogi opuszczoną chatę. Samochód nie psuje się akurat wtedy, gdy miało się odjechać i nigdy nie wrócić. Prawda, że nie?

Marta, odprowadzająca młodego mężczyznę wzrokiem, uśmiechnęła się do siebie. Ona mogłaby co nieco powiedzieć na temat szmatki wetkniętej do rury wydechowej, lecz Nataniel nie musiał tego wiedzieć. On miał wierzyć w przeznaczenie, które – co do tego nie było wątpliwości – przywiodło go właśnie tutaj. Do Sennej. Gdzie czekał nań opuszczony dom, przyjaciele, może ktoś jeszcze? Nawet psiak, którego trzeba było od nowa uczyć zaufania do człowieka, za co gotów był odwdzięczyć się bezgraniczną miłością, on też potrzebował Nataniela Domoradzkiego...

## ROZDZIAŁ IV

**B**ól trochę zaczął mu dokuczać, gdy więc dotarł na miejsce, nie wszedł od razu do środka przez uchylone drzwi, tylko usiadł na progu, podwinął nogawkę dżinsów i zaczął masować miejsce, gdzie kość nie chciała się zrosnąć, jak należy.

Z nory wysunął się czarny nos, węsząc badawczo w kierunku Nataniela.

– Zapomniałem, bido, o tobie – odezwał się łagodnie do nieufnej suczki. – Przepraszam. Za dużo się ostatnio dzieje w moim życiu. Nie jestem na to wszystko, co mnie spotyka, gotowy... – Urwał, bo jego wzrok padł na wiadro, które z poświęceniem tutaj przydźwigał.

Oprócz płynów ze spryskiwaczami – Nataniel mógł się tylko domyślić, że jeden jest do szyb, inny może do drewna – Marta włożyła do środka tajemniczy pakunek owinięty w folię. Jeżeli ta dobra kobieta pomyślała o drugim śniadaniu dla Nataniela, będzie mógł się nim podzielić z suczką!

Marta pomyślała i o nim, i o psiaku. Na Nataniela rzeczywiście czekała kanapkowa uczta ze świeżego chleba, sałaty z ogródka i pysznej wędliny, którą pewnie wędził Mateusz w swojej samotni, zaś na Trusię, zapakowane osobno, smakowite kąski z obiadu.

Chłopak od razu poczęstował nimi psinę. Nie podeszła do wyciągniętej ręki, co to, to nie, ale też nie umknęła czym prędzej do nory, gdy tylko wstał, żeby wrzucić przygotowane dla niej jedzenie do zdezelowanej aluminiowej miski. Odskoczyła na bezpieczną odległość, lecz nie uciekła w popłochu. Wyczuła szóstym zmysłem, że Nataniel ze swoją chorą nogą nie stanowi dla niej takiego zagrożenia jak całkiem zdrowy człowiek.

Dopiero teraz, nakarmiwszy psa, Nataniel zdecydował się wejść do

domu.

Nie było co zwiedzać. Ot, spora sień, spiżarka po lewej, potem całkiem spora kuchnia i przylegający do niej dwukrotnie mniejszy pokój. To wszystko. O łazience budowniczy zapomniał. Za potrzebą szło się do wychodka dostawionego do budynków gospodarczych. Do kąpieli miał chłopak całe jezioro – teraz. Zimą trzeba będzie użyć miski...

– Zimą? Ależ ty masz pomysły, człowieku! – prychnął zły na siebie. – Słyszałeś, co powiedziała Marta: znajdzie się kupiec, będziesz musiał opuścić chatę. A tak piękne miejsce nie będzie stało bezpańskie zbyt długo... Weź się do roboty, wysprzątaj dom na błysk, żeby chociaż w ten sposób okazać wdzięczność tym, co cię ugościli, i ciesz się każdą chwilą pod jego dachem.

Jeszcze wszedł po stromych schodkach na strych pełen rupieci, zajrzał też do ciemnej, ponurej piwnicy, na szczęście całkiem pustej, po czym wyszedł na zewnątrz, by poszukać czegoś do zdjęcia dech zasłaniających okna.

W jednym z pomieszczeń gospodarczych znalazł zardzewiałą tępą siekierę. Zabrał ją ze sobą i po paru kwadransach walki z opornymi gwoździemi dechy odpadły jedna po drugiej. Dom od razu pojaśniał. Kuchnia okazała się jeszcze większa niż w spowijającym ją mroku. Pośrodku królował masywny stół z litego drewna, w rogu kuchnia węglowa z fajerkami, a jakże!, i kobiałką pełną pokrytych kurzem szczapek. Pod oknem stała wersalka nakryta wzorzystą kapą, zaś pod ścianą kredens, kiedyś zapewne biały, w którym jakimś cudem uchowały się szklanki musztardówki i parę talerzy. Albo dom był rzeczywiście nawiedzony, albo dzisiejsi złodzieje takimi „skarbami” szczerze pogardzali...

Pokój również był większy, niż Natanielowi wydało się za pierwszym razem. Szczególnie duże okna, wychodzące na jezioro, dodawały wnętrzu uroku. Było zaniedbane, tak, gdzie spojrzeć, unosiły się drobiny kurzu, ale młody mężczyzna wiedział, że z kurzem można sobie poradzić, tapczan

porządnie wytrześć, lepiącą się do podeszew podłogę wypolerować, okna umyć na błysk. Jeżeli ma się zapał do pracy, dwie zdrowe ręce i niewygórowane oczekiwania – a Nataniel naprawdę wiele do szczęścia nie potrzebował, tylko dachu nad głową, łóżka i stołu, przy którym można zjeść posiłek – wszystko można. Nie namyślając się wiele, podwinął rękawy i zabrał się do roboty.

Gdy Marta przyniosła mu obiad w uroczym niedzisiejszym kankach, zdążył doprowadzić do porządku sieni i kuchnię.

– No, człowieku, zaimponowałeś mi! – Pokręciła z uznaniem głową, wchodząc do pachnącego konwaliowym płynem pomieszczenia. – Nie było tu tak czysto od czasów sołtysowej!

– Mieszkał tu sołtys?

– Nie. Sołtysowa. Uciekła od drania i w tym domu gospodarzyła przez jakiś czas, na złość mężowi sprowadzając coraz to nowych absztyfikantów, lecz szybko się jej to samotne gospodarzenie znudziło i gdy tylko drań spokorniał, wróciła do wygodnego murowańca w środku wsi. Od czasu do czasu drań ją tłucze, potem kaja się, przeprasza, zabiera ją na zakupy, ona trochę się poboczy, popłacze sąsiadkom w rękaw, ale, jak wszystkie we wsi, godzi się na taki los. Ponoć to lepsze niż życie w pojedynkę. Ja tam bym polemi-

zowała.

Nataniel musiał się z nią zgodzić.

– To sołtysowa zaczęła rozpowiadać, że ten dom jest przeklęty – dodała Marta. – Ponoć każdy, kto tu zamieszka, traci to, co kocha najbardziej. Co takiego utraciła sołtysowa, nie mam pojęcia – dla podkreślenia tego faktu Marta rozłożyła ręce i śmiesznie zmarszczyła nos – dla niej samej też pozostaje to zagadką. Cnoty stracić nie mogła, bo na pierwszej w życiu dyskotece ją postradała, a to nie odrasta, oj, nie odrasta...

W tym momencie Nataniel parsknął śmiechem. Marta przekomicznie opowiadała o tym wszystkim.

– Serca też nie, bo zakochana jest jedynie w swoim synu... Może zapodziała gdzieś paczkę papierosów? Odpala jednego od drugiego i życia sobie bez nich nie wyobraża. Któż to wie... Ja osobiście myślę, że te opowieści to straszak na szabrowników. Skuteczny. Nikt, nawet pospolity złodziej, nie chce stracić tego, co kocha. – Zaśmiała się razem z chłopakiem. – Wiem, jestem złośliwa, ale nie mam z tego powodu zbyt wielu wyrzutów sumienia. – Spoważniała. – Tutejsi potrafią być nie tylko wredni, ale i okrutni, zupełnie bez powodu, dla czystej satysfakcji. Bronimy się, jak możemy...

– To jej dom? Sołtysowej?

– Jego. Po rodzicach. Porządni byli z nich ludzie, wierz mi. Znałam ich krótko, bo wtedy mój dworek stał jeszcze na Podlasiu, ja przyjeżdżałam tu tylko... z córką... na wakacje, ale od razu polubiliśmy się nawzajem. Dobrzy ludzie... starej daty... prawi, że tak to określe. Skąd im się taki Wiesiek trafił...? – Pokręciła głową. – Zresztą... możemy mieć swoje zasady, wpajając je dzieciom, a one i tak, gdy tylko wyfruną z domu, przejmą to, co dla nich nowe, ciekawe czy po prostu wygodne.

Umilkła, jakby za dużo powiedziała.

Nataniel milczał także. Domyślał się, że kobieta mówi o swojej córce, i najlepsze, co mógł zrobić, to pomilczeć zgodnie parę chwil, po czym zająć się pracą. Marta wyszła na zewnątrz umyć pod studnią talerze. Gdy wróciła, stół lśnił jak nowy.

– Nie myśl, proszę, że skarżę się na moją córkę – odezwała się nieco drżącym głosem. – To dobre dziecko. Naprawdę. W dzieciństwie, potem w szkole i liceum nie sprawiała najmniejszych kłopotów. Kochana, uczynna, pilna... Kiedy inne matki opowiadały o okresie buntu, słuchałam tego jak

bajek o żelaznym wilku i z wyższością odpowiadałam, że mnie i mojej córki to nie dotyczy. Bóg ukarał moją pychę...

Umilkła na moment z pochyloną głową, jakby się modliła, ale Marta wracała myślami do tamtej chwili.

– Pewnego dnia zmieniło się wszystko. Na wycieczkę wyjechała moja kochana jedynaczka, wrócił... obcy człowiek, nienawidzący mnie z całego serca, odrzucający wszystko, co ze mną związane. Nie rozumiałam tego wtedy, nie rozumiem do dziś. Gdybym mogła coś zmienić... Gdybym wiedziała chociaż, dlaczego moje dziecko mnie skreśliło...

Nie uniosła głowy, nie widać było twarzy udręczonej kobiety. Walczyła długą chwilę ze łzami, potem odezwała się spokojnym, nienaturalnie spokojnym głosem:

– To ja... Tak, pewnie z mojej winy wszystko się skończyło. Może kiedyś wrócimy do tego. Może coś mi poradzisz. Jesteś w jej wieku. Lepiej zrozumiesz i ją, i mnie.

– Ja nigdy się nie buntowałem – odparł cicho. – Miałem babcię, która przeżyła piekło, prawdziwe piekło, i mamę harującą na nas oboje, po prostu nie wypadało przysparzać im kłopotów i zmartwień. Przed kolegami zgrywałem twardziela, opowiadałem niestworzone historie, jak to matce wchodzę na głowę, ale tak naprawdę zrobiłbym dla niej wszystko. Wszystko... – Głos mu się załamał.

To prawda, starał się być dobrym synem i wnukiem. Dobrym człowiekiem, cokolwiek to dzisiaj znaczy. A jednak zranił matkę, nieumyślnie, to prawda, lecz sprawił, że cierpiała przez niego. Jej cichy płacz w poduszkę, gdy myślała, że Nataniel śpi, był dla niego większą torturą, niż ból trzykrotnie łamanej nogi. Jednak nic już nie mógł zrobić. Nie mógł cofnąć czasu, odwrócić przeszłości. Zresztą... dzisiaj postąpiłby tak samo jak tamtego dnia. Tak. Uczyniłby to, co uczynił. Za to, co zrobił, zapłacił wysoką

cenę i płaci ją do dziś, mimo to po raz drugi postąpiłby tak samo.

– Postaram się pomóc – odezwał się już normalnym tonem. – Zasługuje pani na wszystko, co najlepsze. Na miłość córki także. Postaram się pomóc i pani, i jej.

Na razie jednak Marta pomagała jemu. Podobnie jak Nataniel zakasała rękawy, chwyciła szczotkę, owinęła ją mokrą szmatą i zabrała się do porządków w pokoju. Dobiegało późne popołudnie, cienie wyciągnęły się leniwie na piasku plaży. Przedwieczorny chłód przemknął przez kuchnię, pokój i sieni, przynosząc zapach lasu i wody.

Ostatnie machnięcie ścierką, ostatnie przetarcie błyszczących w blasku zachodzącego słońca szyb. Wreszcie oboje opadli na krzesła po obu stronach dębowego stołu, który jeszcze dziś rano stał smętnie zakurzony w ciemnej izbie, teraz zaś lśnił czystością i pachniał woskiem do drewna. Rozejrzeli się po kuchni i uśmiechnęli się do siebie, zmęczeni, ale dumni z dobrze wykonanej roboty.

– Nie myślałam, że jeszcze kiedyś nacieszę oczy takim widokiem – odezwała się Marta. – Będzie ci tutaj dobrze, Natanielku.

On zapatrzył się w okno wychodzące na srebrzystą toń jeziora.

– Jak tu cicho i spokojnie – zaczął półgłosem. – Całe życie mieszkałem w Warszawie, uganiałem się nie wiadomo za czym, nie mając pojęcia, że cisza może być piękniejsza niż miejski gwar, powietrze może pachnieć czym innym niż spalinami, a czas niekoniecznie trzeba gonić, można się przyglądać, jak przecieka przez palce...

– Nie chciałabym nic sugerować, ale nie spoczywaj na laurach. Tu, na wsi, życie może płynąć spokojniej, ale też trzeba zarabiać na chleb. Nie spędzaj więc za dużo czasu na wgapieniu się w zegar i kontemplowaniu

chwili, tylko znajdź sobie jakąś pracę, dobrze?

Słowa były żartobliwe, ale Marta patrzyła na młodego mężczyznę całkiem poważnie.

– Tutaj? Przecież nie pomieszkam tu długo. Znajdzie się kupiec i będę musiał wyjechać. Nie szkoda zachodu na poszukiwanie pracy we wsi lub okolicy?

– Z tego, co mówiłeś, jesteś grafikiem i ilustratorem – zauważyła Marta. – Możesz chyba pracować, gdzie tylko zechcesz.

Nataniel pokręcił głową.

– Muszę mieć dostęp do internetu, szybkie łącze. Muszę mieć warunki...

– Przede wszystkim nie możesz szukać wymówek – wpadła mu w słowo. – Rozumiem, co chcesz mi powiedzieć między wierszami: stawiasz sobie, bo przecież nie mnie, ultimatum. Albo znajdziesz swoje miejsce na ziemi, weźmiesz się do pracy i wyjdiesz na ludzi, albo będziesz się tułał dotąd, aż skończą się benzyna i pieniądze na życie, po czym stoczysz się na dno...

– Nie przyszło mi to do głowy! – zachnął się.

– Więc nic, doprawdy, nie powstrzymuje cię od podjęcia pracy. Dach nad głową masz, całkiem przyzwoity, szybkie łącze znajdziesz u mnie albo w najbliższej bibliotece. Stół do pracy jest na miejscu. – Poklepała dębowy blat.

– Pani nigdy nie odpuszcza?

– Och, czasem odpuszczam. Jeśli nie zależy ci na własnym życiu, nie możesz oczekiwać, że komu innemu będzie na twoim życiu zależało bardziej niż tobie. To chyba jasne. Ale ty, Natanielku, po prostu się zagubiłeś, wyrzucono cię – jeszcze nie wiem z jakiego powodu, ale się dowiem – z rodzinnego domu. Ile właściwie masz lat?

– Dwadzieścia sześć.



– Dwadzieścia sześć... i straciłeś już nie tylko dom, ale i matkę. Na temat ojca słowem się nie zająknąłeś, domyślam się, że innej rodziny nie masz. W wieku dwudziestu sześciu lat zostałeś zupełnie sam. Można się załamać. Ale, widzisz, Bóg stworzył innych ludzi nie tylko po to, by cię krzywdzili, lecz przede wszystkim po to, by ci pomogli. Byli przy tobie w takiej chwili jak ta. Pustej i samotnej. Więc owszem, w twoim przypadku nie mam zamiaru odpuścić. – Poklepała go po ręce, żeby złagodzić nieco szorstkie słowa. – Mam nadzieję, że pozwolisz zaprosić się na kolację?

– Chciałbym nocować tutaj, w chacie...

– Oczywiście! Ale lodówkę masz nie tyle pustą, co w ogóle jej nie masz...

Parsknął śmiechem.

– ...siłą rzeczy kolacji też nie będzie, jeśli nie pofatygujesz się do mojego dworku.

– Pani Marto... Ma pani niewiarygodny dar przekonywania. Z przyjemnością po raz kolejny ogołocę pani spiżarnię, ale na noc wrócę tu, do chaty.

– Przed tym nie będę cię powstrzymywać. Harowaliśmy cały dzień między innymi po to, byś mógł zasypiać pod własnym dachem.

– Użyczonym, nie własnym – sprostował.

– Niech ci będzie: użyczonym.

Wstali, pozamykali okna i wyszli na zewnątrz. Chata wydawała się rozczarowana, że znów ją opuszczają. Nataniel, gdyby był sam, poklepałby framugę drzwi, obiecując, że wróci niedługo, ale przy Marcie nie mógł pozwolić sobie na takie gesty. Do niej to pasowało, owszem, ale do mężczyzny? *Come on!*

## ROZDZIAŁ V

**N**a podwórzu przed dworem czekał na nich Mateusz Józwik, od niechcienia żując źdźbło trawy. Widząc nadchodzących Martę z Natanielem, wstał, żeby się przywitać.

– Obejrzałem twojego rzęcha – wskazał opla. – Trochę roboty trza w niego włożyć.

Chłopakowi pozostało tylko przytaknąć.

– Wezmę go jutro z samego rana na hol, przewiozę do siebie, żeby nie biegać w tę i we w tę...

– Muszę wiedzieć, ile naprawa może kosztować – wpadł mu w słowo Nataniel. – Nie mam zbyt dużo pieniędzy. Muszę najpierw zarobić.

– Słusznie prawisz – zgodził się z nim „leśniczy”. – Ale my tutaj, na wsi, często wymieniamy się przysługami. Umiesz coś więcej niż...? Właściwie nie wiem, co umiesz.

– Znam się tylko na komputerach.

– O, to z nieba mi spadłeś! – ucieszył się Mateusz. – Mój zdechł na dobre, stary z niego grat, jak to twoje auto. Jeśli naprawiłbyś mi go...

– Nie ma najmniejszego problemu – zapewnił Nataniel.

Mateusz przechylił głowę i zmierzył chłopaka przymrużonymi oczami.

– Wiesz co, przyjacielu, moglibyśmy pohandlować więcej. Mam na oku pewien biznes, niewielka to rzecz, ale znudziło mi się nicnierobienie. Ja, wiesz, człowiek czynu jestem.

Marta z powagą pokiwała głową.

Mateusz mówił dalej:

– Do tego biznesu potrzebna mi strona internetowa. Taka, wiesz... profesjonalna, bo to będzie profesjonalny biznes, nie jakaś partanina.

– Recz jasna – zgodził się Nataniel. – Z przyjemnością zaprojektuję panu taką stronę.

– I nauczysz mnie, jak ją obsługiwać?

– Nauczę.

Mateusz rozpromienił się.

– To będzie prosty biznes, więc i stronka powinna być prosta, wiesz, dla prostego człeka jak ja. Pojętny jestem...

– Nie ma sprawy.

– To ja ci się zrewanżuję, chłopcze, w godny sposób: odpicuję ci twojego opelka na błysk. Tak ci go podrasuję, że nawet w stolicy będą zazdrościć!

– Nie wiem, czy to konieczne...

– Konieczne czy nie, za twoją pracę tak właśnie mogę się zrewanżować. Stoi? – Wyciągnął do chłopaka potężną dłoń. Uścisk miał silny, ale i Nataniel nie należał do „miętkich rączek”.

– Już? Skończyliście interesy? Możemy wejść do środka i usiąść do kolacji? – Marta spojrzała na obu z nieukrywanym zadowoleniem.

Ruszyli za nią. Pozwolili posadzić się za stołem i ugościć.

– Wysprzątaaliśmy chatę – odezwała się, stawiając przed Mateuszem talerz z jajecznicą na boczku. – Nataniel będzie już dziś w niej nocował.

– Bardzom rad. To dobry dom. Porządny. Szkoda byłoby, gdyby rozsypał się z zaniedbania. Pyszności, Marto, ta twoja jajeczniczka. Paluszki lizać, rączki całować.

– Robisz nie gorszą.

– Co prawda, to prawda. Mówisz więc, że nasz młody przyjaciel ostrzy sobie na chatę zęby? – mówiąc to, spojrzał pytająco na Nataniela.

Ten pokręcił głową.

– Bardzo bym chciał, ale wynająć jej nie mogę, a pieniędzy na kupno nie mam.

– Nawet nie pytałeś o cenę!

– Cena nie ma znaczenia. Jestem w trudnej sytuacji finansowej – odparł Nataniel wymijająco.

Prawdę mówiąc, nie stać go było nawet na miesięczny czynsz. Ostatnie pieniądze wydarł mu z gardła kamienicznik. Teraz miał tyle dobytku, co na sobie i w bagażniku opła, konto puste, a jedyną naprawdę wartościową rzeczą, jaką posiadał, był dobry, szybki komputer. Jego nie sprzedaje. Za żadną cenę! Dom kiedyś kupi albo wynajmie, ale do tego czasu musi zarobić na życie. Potrzebował więc komputera. Smartfon, drugą wartościową rzecz, sprzedał jakiś czas temu. Powoli przejadał i te pieniądze, opel palił jak smok.

Nataniel powinien usiąść do komputera już dawno – tak jak mówiła Marta: wziąć się do roboty, zamiast gonić za cieniem na zmianę z użalaniem się nad sobą – ale... śmierć mamy go złamała. Nie mógł myśleć o niczym innym. Dopiero komornik i prawnicy kamienicznika zmusili go, by jednak pomyślał...

– Chciałbyś mieć taki dom? – Mateusz przerwał ciszę, jaka zapadła przy stole.

Nataniel podniósł nań pociemniałe spojrzenie:

– Bardzo.

– No! O to chodziło! Raz, dwa, trzy, czego chcesz, to od losu sobie bierz!

– Poeta – prychnęła Marta.

Nataniel uśmiechnął się tylko. Gdyby to było takie łatwe...

Parę minut później Mateusz wstawał od stołu, dziękując gospodyni za pyszną kolację, Nataniel od razu zabrał się do mycia naczyń, zaś Marta rzuciła:

– Odprowadzę cię kawałek... – Po czym wyszła za starszym mężczyzną. Idąc drogą w stronę lasu i mając pewność, że Nataniel jej nie słyszy i nie widzi z okna kuchni, wyciągnęła dłoń i rzekła:

– Dobra, oddawaj szmatkę.

Mateusz zaśmiał się, po czym sięgnął do kieszeni.

– Masz, cwana bestyjko. Twój fortel powiódł się, jak widzę?

– Oczywiście! Jeśli nie miałyby szans powodzenia, po co w ogóle go stosować? Nie możemy pozwolić, by Wiesiek sprzedał chatę temu niecnocie.

– Ano nie możemy. Dobrze, że Natanielek nie zna się na samochodach. Gdyby znalazł gałgan w rurze wydechowej...

– Nie miałam pojęcia, że unieruchomienie auta jest takie proste!

– ...ciekawe, jak byś się z tego wytłumaczyła.

Marta wzruszyła beztrąsko ramionami.

– Powiedziałabym, że to ktoś ze wsi. Zobaczył obcego w obejściu, postanowił mu dokuczyć... Daleko z prawdą bym się nie minęła. Jeszcze napsują krwi i temu chłopakowi, i nam, zobaczysz.

– Jeśli okaże się użyteczny, będą go hołubić...

– Mam taką nadzieję. Szkoda, żeby przechodził przez takie piekło, jakie tobie i mnie na początku zgotowali. Miejscowi... – prychnęła, kręcąc głową.

– Było, minęło. Ja naprawię sołtysowi od czasu do czasu ten jego złom, ty...

– A właśnie – weszła mu w słowo – jakie masz plany co do opla? Bo bez powodu z odpicowaniem na błysk nie wyskoczyłeś?

Mateusz uśmiechnął się z satysfakcją i nieco złośliwie.

– Zobaczysz. Będzie zabawa...

– Skoro ty tak mówisz... Nie mogę się wprost doczekać! – odparła

równie złośliwie Marta. – No, bywaj, przyjacielu. Mam z powrotem narzędzie zbrodni, mogę więc wracać do domu i spać spokojnie, że Nataniel nie znajdzie szmatki w rurze wydechowej swojego opla.

– Do zobaczenia, Marto. Pamiętasz o suni?

– Oczywiście. Dam Natanielowi jedzenie dla biduli, gdy będzie wracał.

Cmoknął kobietę w policzek i odszedł niespiesznie. Marta odprowadziła go wzrokiem, po czym zawróciła do dworu.

Szła powoli. Zamyślona, patrzyła pod nogi, by nie potknąć się na przygodnym korzeniu. Nie zauważyła ciemnej sylwetki opartej o pień drzewa. Mężczyzna, najwyraźniej czekając, aż Marta będzie wracała do domu sama, zaszedł jej drogę tak gwałtownie, że krzyknęła przestraszona.

– Ciicho bądź! To ja – syknął.

Cofnęła się mimowolnie o krok.

– Czego chcesz? – rzuciła nieprzyjaznym tonem.

– Kto jest u ciebie?

– A co cię to obchodzi?

Wyciągnął rękę, chwycił ją za nadgarstek i uściśnął nieco mocniej, niżby sobie tego życzyła.

– Puszczaj! – Próbowała wyrwać dłoń, ale trzymał mocno. – Puść, bo zacznę krzyczeć!

– Przecież nie zrobię ci krzywdy – mruknął. – Wiesz, że zależy mi na tobie. Wiesz, że się o ciebie martwię. Mieszkasz sama na odludziu, spotykasz się z tym półgłównikiem z lasu, a teraz jeszcze sprowadzasz sobie kogoś do domu... Obcego faceta.

– Naprawdę nie muszę spowiadać się z tego, kogo goszczę w swoim domu. Nie tobie – rzuciła, czując narastającą złość. I strach. – Ale powiem,

bo nie mam nic do ukrycia: syn mojej przyjaciółki przyjechał, by dojsć do siebie po wypadku. Jest niepełnosprawny.

To widać spodobało się tamtemu, bo zwolnił uścisk.

Marta wyrwała dłoń i rozcierając nadgarstek, minęła mężczyznę. Poszedł za nią, nieustępliwy jak cień.

– Niepełnosprawny powiadasz... – mruknął.

No, teraz, Marto Kraszewska, musisz być bardzo ostrożna i sprytna. Od ciebie zależy przyszłość Nataniela. A przynajmniej najbliższe dni. Później albo go z Sennej wygryzą, albo przygarną z otwartymi ramionami...

– Owszem, niepełnosprawny. Nie stanowi zagrożenia dla nikogo. To dzieciak z uszkodzoną nogą. Tylko tyle.

– Przyjrę się temu dzieciakowi jutro. Mogę czuć się zaproszony na śniadanie? Chyba że jadacie w łóżku niczym nowożeńcy? – Ostatnie pytanie miało brzmieć żartobliwie, ale Marta wiedziała, że ten człowiek nie żartuje. Jest o nią wściekle zazdrosny. Zawsze był.

– Użyczyłam Natanielowi, tak ma na imię, chatę sołtysa – odparła spokojnie, mimo że w środku gotowała się ze złości. – Mieszka w niej, nie u mnie. I w twoim interesie jest, by mieszkał jak najdłużej. Gdy strzeli ci do głowy skrzywdzić tego chłopaka... – zawiesiła znacząco głos.

Zagarnął ją znienacka, przycisnął do piersi.

– Co mi zrobisz? – wymruczał, zmuszając kobietę, by spojrzała mu w oczy. Błyszczały w ciemnościach jak u wilka.

– Cóż... wyjadę i nie wrócę. Nigdy mnie nie znajdziesz. A teraz puść. – Wyswobodziła się z jego ramion.

Nie podobała się Marcie ta rozmowa. To, jak on sobie poczyną, także. Ale jeśli chciała zatrzymać dwór i mieszkać w tej wsi, musiała się na te amory od czasu do czasu godzić. Dopóki nie próbował niczego więcej.

Siergiej Sodarow był niebezpieczny, wiedział to każdy od Olsztyna po

granicę z Kaliningradem. Właściwie nikt nie wiedział, czym się zajmuje, nikomu krzywdy nie zrobił, jednak... wystarczyło spojrzeć na chmurną twarz tego czterdziestoosmioletniego mężczyzny, czarne oczy, błyszczące tak jak teraz niewypowiedzianą groźbą, gęste kruczycie włosy, bez śladu siwizny, opadające na czoło jak u dzikusa, i silne, świetnie zbudowane ciało, umięśnione jak u gladiatora, mimo że siłownią zapewne pogardzał...

Tak, Marta miała przed sobą drapieżnika, niebezpiecznego drapieżnika, który upatrzył sobie na ofiarę swoich amorów właśnie ją. Dlaczego ją, skoro mógł mieć młodsze i ładniejsze? Nie miała pojęcia. Zwykle jej pochlebiało, jak wodził za nią wzrokiem, gdy przyjeżdżała do wsi po zakupy, jak otwierał przed nią drzwi do sklepu, próbował nakłonić do rozmowy, zapraszał na potańcówki czy żeglowanie po jeziorach. Tak dawno nie adorował jej żaden mężczyzna... Mimo iż nie była spragniona takich podchodów, sprawiały jej przyjemność jak każdej normalnej kobiecie. Siergiej był przystojny, czuło się bijącą od niego aurę męskości i władzy. Młodszej mógł zawrócić w głowie, dlaczego więc nie Marcie? Wszystko ma jednak swoje granice. Napaść na leśnej ścieżce w środku nocy do przyjemnych nie należała.

– Zejdź mi z drogi, Siergiej! – syknęła.

Ani myślał.

– Co u ciebie robiła ta łajza z lasu? – zapytał tym samym tonem co poprzednio.

– Mówisz o moim przyjacielu? Mateuszu?

– A o kimże innym...

– To bacz na słowa. Nie życzę sobie...

– Co robił u ciebie podrabiany leśniczy?

– Często wałam go kolacją. Twoja zazdrość staje się męcząca. Ośmieszasz



się.

– Nie jestem zazdrosny. Próbuję cię chronić przed włóczęgami i podrabianymi przyjaciółmi. Gdybyś mi pozwoliła...

– Ale nie pozwalam! Sama sobie wybieram przyjaciół. Puścisz mnie w końcu do domu?

Minęła go i ruszyła spiesznie w kierunku jasnych okien dworku.

– Jeśli gram, to po to, żeby wygrać – rzucił za nią.

– To nie jest gra! – odparła ze złością.

Roztrzęsiona wpadła na ganek, zatrzasnęła za sobą drzwi, przekręciła klucz w zamku i oparła się plecami o chłodną ścianę, próbując uspokoić oddech. Jedno trzeba było Siergiejowi przyznać: potrafił wzbudzać emocje.

Nataniel stanął przed nią zaniepokojony.

– Coś się stało?

Pokręciła głową.

– Zmyłem naczynia, mogę wracać do siebie... to znaczy do chaty – poprawił się szybko.

Nie może przywiązywać się do tego miejsca i tych ludzi! Za tydzień, może miesiąc już go tutaj nie będzie. Po co zadawać sobie jeszcze więcej bólu?

– Uważaj na siebie. Zamknij okna i drzwi – odezwała się drżącym nieco głosem.

– Wczoraj mówiła pani, że to bezpieczne miejsce. Nikt się nie włamuje, miejscowi omijają chatę szerokim łukiem...

– Tak mówiłam i powtórzę to jeszcze nie raz, mimo to trzeba być ostrożnym. Psychopatów na tym świecie nie brak.

– Ale... chciałem spać przy otwartym oknie – zaczął nieprzekonany. –

Wymarzyłem sobie...

– Masz zamknąć okiennice i drzwi! – krzyknęła.

Spojrzał na kobietę zdumiony. Oczy błyszcząły jej od gniewu. Czy raczej od łez, które otarła tak szybko, żeby się ich nie domyślił.

– Po prostu bądź ostrożny – dodała łagodniej. – Las nocą jest jak miejska dżungla. Zrobisz głupstwo, wystawisz się bezmyślnie na niebezpieczeństwo i będziesz tego żałował do końca życia. Przy otwartym oknie jeszcze sobie pośpisz. Za jakiś czas. Gdy tutejsi stwierdzą, że... Gdy cię zaakceptują. Na razie nikt cię tu nie zna. Mogliby pomyśleć, że włamałeś się do chaty i... – Wzruszyła wieloznacznie ramionami, a Nataniel poczuł nieprzyjemny dreszcz spływający wzdłuż kręgosłupa.

Marta miała rację. Nie wiedzieć czemu założył, że tutaj, na wsi, nic ani nikt mu nie grozi. A przecież świat jest pełen psychopatów, jak słusznie zauważyła jego nowa przyjaciółka.

– Dobrze. Oczywiście. Zamknę okiennice i drzwi od środka. Nie chciałbym, żeby martwiła się pani jeszcze moją osobą.

„Martwię się osobą Siergieja i nie przestanę, dopóki ten nie znajdzie sobie innego obiektu zainteresowań” – odparła w duchu, a na głos dodała:

– Miej pod ręką włączony telefon. Zasięg w chacie jest całkiem niezły. Jakby coś cię zaniepokoiło, dzwoń do mnie albo od razu pod 112. Ludzie tutaj nie lubią zadzierać z policją. Opuuszczą, słysząc, że wzywasz pomoc.

Nie chciała przerażać chłopaka, naprawdę nie! Zależało jej, by został w Sennej. Dołączył do niewielkiego grona zaufanych przyjaciół. Było to jednak uzależnione od akceptacji miejscowych, życzliwych dla wczasowiczów, nieprzejednanych dla intruzów. O to się właśnie Marta Kraszewska martwiła: dzięki staraniom Siergieja mieszkańcy Sennej mogą obrzydzić życie młodemu człowiekowi, a byli w tym bezkonkurencyjni.

Umieli zmuszać nieproszonych gości do odwrotu. Marta przyjeżdżała do Sennej od lat, poza tym była im potrzebna, Mateusz pochodził z tych okolic, jego rodzice mieszkali po sąsiedzku. Nataniel Domoradzki był jednak obcy.

– Odprowadzę cię do chaty – postanowiła nagle.

– Nie ma mowy! – sprzeciwił się zaskoczony. – To raczej ja powinienem odprowadzać panią, a nie na odwrót!

– Mnie tutaj nic nie grozi. – „Oprócz wilków w ludzkiej skórze”, dodała w myślach.

– Pani Marto, z całym szacunkiem, ale jeśli nie potrafię obronić siebie sam, nic tu po mnie – rzekł powoli i bardzo stanowczo. – Co byłby ze mnie za facet, gdyby odprowadzała mnie nocą kobieta? – Aż głową pokręcił na taką niedorzeczność.

Marta zrozumiała, że jej nadopiekuńczość, spowodowana obawami, być może bezpodstawnymi, wywoła jedynie przeciwny skutek: Nataniel zacznie jej unikać, a gdy będzie miał dość, po prostu ruszy w dalszą drogę. Bez pożegnania.

– Tak. Dobrze. Nie wiem, co mi odbiło – rzekła, pocierając oczy. – Tu naprawdę jest spokojnie. Czasami mąż stłucze żonę, czasem dwóch się po pijanemu za łby weźmie, ale kraść nie kradną, obcych się nie czepiają – skłamała gładko na koniec. – Poczekaj chwilę, dam ci jedzenie dla Trusi...

Zniknęła w kuchni, potem przeszła do sąsiadującego z nią pokoju. Wróciła z paczką smakołyków dla psa i naręczem gładkiej, pachnącej łąką pościeli. Wcisnęła ją wdzięcznemu chłopakowi w objęcia i obróciła się na pięcie.

– Jeszcze momencik!

Pobiegła do drugiego pokoju.

Tym razem miała dla Nataniela prezent.

– Uszyłam ją własnoręcznie z myślą o miłym gościu – powiedziała

z dumą, podając mu pakunek z czymś miękkim w środku. – Rozwiń, gdy będziesz na miejscu. Ach, i zapamiętaj, co ci się śniło. Sen w nowym domu zawsze się spełnia!

Nataniel obiecał, rozśmieszony jej powagą, że nie omieszka zapamiętać.

Gdy dotarł do chaty, skonany po pełnym wrażeń dniu, i rozwinął podarunek Marty, aż westchnął z zachwytu. Na łóżku pyszniła się narzuta z pięknego, miękkiego, ciemnogramatowego aksamitu, wyszywana w złote gwiazdy. Układały się w konstelacje widoczne na nocnym niebie. Gdy zgasił światło, zalśniły jak żywe. Był to naprawdę wspaniały dar. A już niedługo na młodego mężczyznę czeka coś jeszcze wspanialszego! Niech tylko Mateusz dotrzyma słowa i wyremontuje opł, a Marta wysnuje swój misterny plan do końca...

Nataniel naprawdę mógł być szczęśliwy dzięki tym dwojgu dobrym ludziom. Przynajmniej oni mieli taką nadzieję.

Czy los również miał co do Nataniela Domoradzkiego takie plany? Wkrótce się okaże...

## ROZDZIAŁ VI

**W**icher szarpał kurtkę, śnieg smagał po twarzy, mimo to Nataniel parł przed siebie. Nie mógł się zatrzymać! Pamiętał oczy nieznajomej wpatrzone weń błagalnie. Pamiętał sine z zimna usta powtarzające szeptem: „Uratuj go! Proszę, uratuj!”. Nie mógł odmówić. Nawet nie ze względu na nią – sam czułby się w obowiązku zawrócić. Szedł więc naprzód, krok po kroku, zapadając się po pas w sypkim śniegu...

Zamieć przybierała na sile. Ledwo widział oznaczenia szlaku – to jedyne, na co zwracał uwagę, coraz bardziej zmęczony, wyprany z woli i sił, otępiały. Musi znaleźć zaginionego chłopaka! Tylko to pchało go naprzód.

Naraz zamarł bez ruchu.

Z lewej strony dobiegło go odległe wołanie:

– Na pomoc! Ratunku!

Bez namysłu, bo nigdy się nie wahał z niesieniem pomocy, skręcił w kierunku głosu.

Nagle śnieg usunął się mu spod stóp...

Usiadł gwałtownie, drżąc na całym ciele. Oddychał płytko i szybko, serce w piersi waliło tak, jakby chciało zagłuszyć niknące w zamieci wołanie. I jego własny krzyk, gdy spadał w otchłań, rozbijając się o skały.

Rozejrzał się po ciemnym pomieszczeniu. Nie wiedział, gdzie jest. Palce zaciskał na kołdrze w spazmatycznym skurczu, jakby mogły zatrzymać to, co stało się później...

Spojrząwszy w niebo jaśniejące na wschodzie i na gwiazdy odbijające się w spokojnej toni jeziora, opadł na poduszkę z przeciągłym jękiem.

– To był sen – wyszeptał, pocierając twarz dłońmi. – Znow ten koszmary sen.

Wracał do Nataniela za każdym razem, gdy spotykało go coś niezwykłego, coś, co wstrząsało jego życiem, burzyło spokój, wprowadzało zamęt w codzienność. Sen miał młodemu mężczyźnie przypominać, jak ważny jest każdy krok – przynajmniej Natanielowi wydawało się, że o tym właśnie powinien pamiętać.

Jeden gest może zmienić życie, czy na dobre, czy na złe – nie zależało to zupełnie od ciebie. Mogłeś mieć dobre serce, a chęci jeszcze lepsze, mimo to dostawałeś ciągi od losu. Mogłeś mieć czarną duszę i podłe zamiary, a los wbrew logice i życzeniom krzywdzonych nagradzał cię i nagradzał. Czy było to sprawiedliwe? Odpowiedź jest jedna: nie. Czy mogłeś z tą niesprawiedliwością walczyć? Taka sama odpowiedź przychodzi równie łatwo. Czy dlatego, że los jest niesprawiedliwy i nic nie możesz na to poradzić, pozostało ci tylko poddać się i płynąć z prądem? Co to, to nie! „Płynie się zawsze do źródeł, pod prąd, z prądem płyną śmiecie” – te słowa Zbigniewa Herberta nosił Nataniel w sercu.

Teraz wstał, narzucił sweter na drżące od chłodu ramiona – mimo włączonego starego olejaka w pokoju było zimno jak w tamtym śnie – po czym wyszedł na schodki od strony jeziora. Przysiadł na najniższym, rozprostował rwącą przykrym bólem nogę i długą chwilę rozkoszował się ciszą panującą wokół. Lekkiimi muśnięciami wiatru. Wreszcie poruszającą chwilą, gdy nad jeziorem po drugiej stronie srebro brzasku zmieniło się w płynne złoto i nad gładką taflą wzniósł się jasny krąg słońca. Ptaki, które zamilkły na tych parę magicznych chwil, rozdokazywały się od nowa. Wstawał nowy dzień, pełen marzeń i nadziei. Dla kogoś będzie najpiękniejszym dniem w życiu, dla kogo innego – najgorszym. Nataniel pragnął jedynie, by był dniem zwyczajnym, jak wiele przed nim i wiele po

nim. Niczego innego nie oczekiwał.

Zza węgła chaty wychynął ostrożnie łeppek Trusi.

– Chodź do mnie – odezwał się Nataniel, wyciągając rękę.

Suczka zrobiła niepewny krok w jego kierunku, po czym – jakby zabrakło jej odwagi – położyła się, oparła łeppek o przednie łapy i zwróciła niewidzące oczy w kierunku słońca. Tak sobie trwali – on na stopniach chaty, ona kilka kroków dalej, dopóki dzień nie zaczął się na dobre, a Nataniel nie przemarzył porządnie.

Zawrócił do domu. Suczka, mimo próśb i zachęt, została na zewnątrz, jednak jej cichą obecność chłopak czuł i był za nią wdzięczny. Samotność miała różne oblicza. Czasami mały, niewidomy piesek potrafi wypełnić puste miejsce choć na tyle, by nie bolało tak dotkliwie...

Stanął przed kuchnią węglową, którą wczoraj z Martą próbowali doprowadzić do porządku tak jak resztę domu. Z tą resztą się udało. Czy kuchnia, odkurzona, przetarta po wielekroć szmatką, wyszorowana piaskiem będzie nadawać się do użytku?

Nataniel swego czasu należał do harcerstwa, umiał więc rozpalać ognisko. Jednak z kuchnią na węgiel nigdy nie próbował. Gdyby udało mu się ta sztuka, wewnątrz zrobiłoby się o wiele cieplej, wilgoć, która osiadła na ścianach, pierzchłaby raz na zawsze, chata – nadal sprawiająca wrażenie zimnej i nieprzytulnej – zmieniłaby się w prawdziwy dom...

Pierwsza próba przyniosła jedynie kłęby dymu. Chłopak musiał porządnie przewietrzyć pomieszczenia, bo byłby się udusił. Dwie następne okazały się taką samą porażką. Dopiero czwarta, gdy wdrapał się po stromych schodkach na strych i znalazł tam stertę gazet, po czym zszedł na dół, włożył papierową kulę do środka i połupał szczapki na drobne draski... tak, to dało oczekiwany efekt. Ogień pochłonął gazety, wgryzł się

w drewnianka, po czym – chętny na więcej – zainteresował się niewielkimi bryłkami węgla i szczapkami drewna.

Godzinę później Nataniel, bardzo z siebie dumny, zasiadł przy kuchennym stole do jajecznicy, własnoręcznie usmażonej na ogniu z węglowej kuchni. Może śniadanie nie było tak pyszne jak u Marty, o rodzinnym domu nie wspominając, ale zrobione własną ręką po trudach rozpalenia pod kuchnią? Bezcenne!

Szorując patelnię przy studni, usłyszał wesołe:

– Pochwalony!

To Mateusz przyszedł zobaczyć, jak się miewa nowy mieszkaniec chaty na wzgórzu.

– Przeżyłeś, chłopcze, pierwszą noc?

Nataniel uśmiechnął się w odpowiedzi. Pewnie, że przeżył!

– Ależ tu u ciebie pachnie! – Mężczyzna nabrał w płuca powietrza. – Gdybym nie był po śniadaniu, wprosiłbym się do ciebie. Rozpaliłeś pod kuchnią? Zdolniacha z ciebie! Gotowane na żywym ogniu, nie żadnych propan-butanach czy mikrofalach, smakuje zupełnie inaczej. Wyjątkowo. Ja niestety już dawno się poddałem. Poszedłem na łatwiznę. Odkręcam gaz, przystawiam zapałkę i to tyle, jeśli chodzi o żywy ogień. Masz ochotę na rybkę? Jeśli tak, musisz ją sobie złowić. Idziemy?

Poszli pomilczyć ramię w ramię nad jeziorem.

Ryb nie nałowili, ale nie o to przecież chodzi. Nie zawsze liczy się trofeum, czasem droga do celu jest cenniejsza, prawda?

– Wczoraj było za ciemno – odezwał się mężczyzna, gdy całkiem zrezygnowali z połowu i po prostu wyciągnęli się na pomoście, wystawiając twarze do słońca. – Ale dzisiaj zajmę się twoim autkiem.

Nataniel zauważył, że wiejska gwara, którą Mateusz raczył go wczoraj,



zniknęła. Mężczyzna mówił całkiem normalnie.

– Potrzebuję twojej zgody. – Spojrzał na młodego towarzysza. – Całkowicie wolnej ręki na wszelkie przeróbki. Na wszystko, co przyjdzie mi do głowy. Jeśli chodzi o twój samochód, oczywiście.

– Ale będzie nadawał się do jazdy? Nie przerobi go pan na... no nie wiem... Motorówkę? Snopowiązałkę?

Mężczyzna pokręcił ze śmiechem głową.

– Nie bój nic. Interesują mnie tylko samochody. Z powrotem dostaniesz prawdziwe cacko, obiecuję. Ale nie ma nic za darmo!

Sięgnął za pazuchę kufajki, bo może gwary się pozbył, ale okrycia nie zmienił, i wyciągnął parę kartek. Podał Natanielowi. Widniały na nich przykłady witryn internetowych.

– Potrafisz zrobić coś takiego?

– Nie ma sprawy – odparł chłopak. Nie wyglądały na skomplikowane.

– Tu spisałem wszystko, czego będę potrzebował.

Nataniel rzucił okiem na kolejną stronę.

– Tuning samochodowy – gwizdnął cicho. – Tym się pan zajmuje, sąsiedzie!

– Ano tym. Znaczy, tym się zajmowałem. Kiedyś. Nim zacząłem pilnować lasu. Przyszło mi jednak do głowy, że las upilnuje się sam, dobrze więc byłoby, gdybym znalazł sobie inne zajęcie. Zwykła mechanika nie jest tak pasjonująca jak właśnie tuning. I to taki... super hiper, jeśli wiesz, o co mi chodzi.

Nataniel nie wiedział.

– Nie szkodzi, niedługo zobaczysz na własne oczy. – Mateusz klepnął chłopaka w kolano, wstał i podał mu rękę. Ten udał, że jej nie widzi i sam się podniósł, mimo że musiał podciągnąć się na barierce.

– Uparta z ciebie bestia – zauważył mężczyzna bez złości.

– Trzeba sobie radzić – mruknął Nataniel w odpowiedzi. – Od razu siadam do zlecenia. – Ponownie spojrzął na kartki z projektami stron.

– Tak trzymać! Ja biorę się do twojego autka. Skoro chcesz tu zostać, a rozumiem, że chęć ci nie przeszła, będziesz go potrzebował.

Gdy w południe odwiedziła Nataniela Marta, ten – zapomniawszy o całym świecie, z komputerem na kuchennym stole, przy oknie wychodzącym na jezioro – tworzył pierwszą witrynę dla Mateusza.

Przyglądała się, jak chłopak dobiera kolory, kasuje, zmienia, poprawia, wkleja ilustracje, znów kasuje... i ani przez chwilę mu się to nie nudzi. Widać było po jego błyszczących oczach, że lubi tę pracę. Jest jej oddany całym sercem.

– To potrwa – odezwał się, nie odrywając wzroku od ekranu. – Może pani usiądzie? Zrobić herbaty?

– Przyniosłam ci trochę wiktuałów. Bez samochodu do wsi nie dotrzesz.

Rzucił jej kose spojrzenie. Zrozumiała.

– To znaczy, dotrzesz bez problemu, ale... i tak ci przyniosłam. Cztery kilometry drogą nad jeziorem... wierz mi, łatwo nie będzie.

Zapisał projekt i zamknął, wyciągając się na krześle.

– Szosą byłoby bliżej? – Spojrzął pytająco na Martę, która rozkładała dary na kuchennym stole.

Dzieliła je od razu na te, które mogą powędrować do kredensu, i takie, co natychmiast muszą znaleźć się w chłodnym miejscu.

– Do samej szosy masz z półtora kilometra przez las, potem ze trzy asfaltem i jeszcze z osiemset metrów szutrówką. To dalsza droga i bardzo niewdzięczna, że tak powiem. Niebezpieczna. Tiry, wyprzedzanie na

zakrętach, wąskie pobocza albo ich brak. Nie polecam... – Pokręciła głową. – Musimy skombinować ci jakąś lodówkę, ale na razie możesz trzymać to w studni. – Wskazała reklamówkę.

– W studni?! To znaczy w wodzie?

– Nie – zaśmiała się. – Na cembrowinie jest specjalny hak, na którym wieszasz siatkę.

– Sprytnie.

– Nasi przodkowie radzili sobie bez lodówek.

Wyszli na podwórze, gdzie czekała na nich suczka, popiskując swoim zwyczajem. Nadal bała się ludzi, ale bardzo spragniona była obecności tych, którym już trochę ufała...

– Szkoda, że nie można jej wygłaskać i wypieścić – westchnęła Marta, patrząc na pieska.

Nataniel zgodził się z nią w milczeniu. To będzie następne wyzwanie, zaraz po ukończeniu strony dla Mateusza: oswoić psiaka tak, żeby zamieszkał w chacie, a nie w norze i towarzyszył im na spacerach. O ile on, Nataniel, dostanie od losu wystarczająco dużo czasu. Może się bowiem okazać, że jutro, pojutrze pojawi się nabywca i każe wynosić się z chaty już, zaraz, natychmiast.

Nagle pies zwrócił głowę w kierunku leśnej drogi i warknął, po czym poderwał się na równe nogi i umknął do nory.

„Oho, kłopoty” – przemknęło Marcie przez myśl na widok tego, który zmierzał w ich kierunku.

Nie wypowiedziała jednak tych słów na głos. Mogła się mylić, a już na pewno nie chciała zrażać swego młodego przyjaciela do Sennej i jej mieszkańców. Szczególnie do tego.

Siergiej Sodarow, bo to on nadjeżdżał na grzbiecie potężnego kruczego ogiera, zbliżył się do zaciekawionego chłopaka i stojącej obok niego

w milczeniu kobiety, po czym ściągnął wodze, wstrzymując zwierzę może trzy kroki przed nimi, i zeskoczył lekko na ziemię.

– Witam nowego sąsiada – odezwał się, mierząc młodego mężczyznę lekko zmrużonymi oczami, po czym zwrócił się do Marty: – Przedstawisz nas sobie?

Ale Nataniel był szybszy. Wyciągnął do nieznajomego dłoń ze słowami:

– Sam potrafię się przywitać. Nataniel Domoradzki. Nie jestem jeszcze pańskim sąsiadem, choć bardzo pragnąłbym tu zamieszkać. – Wskazał na dom.

– To będzie trudne. Z tego, co wiem, chata nie jest na wynajem – odparł tamten.

– Ale jest na sprzedaż – wtrąciła się Marta.

Siergiej rzucił jej szybkie, nieco złośliwe spojrzenie, po czym stwierdził:

– Dlatego będzie to jeszcze trudniejsze. Zamierzam ją kupić.

Nataniel wydał w duszy jęk zawodu. Jakimś cudem łudził się, że zdoła zarobić potrzebną kwotę, zanim znajdzie się kupiec na ten dom. Złudzenia miały pozostać złudzeniami.

– Po co ci ta chałupa, Siergiej? – W głosie Marty zabrzmiał gniew. – Masz swoje ranczo, największe w okolicy. Masz kilkanaście hektarów łąk i lasów...

– Kilkadziesiąt, chciałaś rzec – sprostował czarnowłosy mężczyzna.

– Jeszcze lepiej: kilkadziesiąt! Po co ci więc ta chata?

– Miałbym ładny widok na jezioro – rzucił lekko tamten. – I na ciebie, gdy kąpiesz się co rano. Naga.

Marta... spłonęła rumieńcem zażenowania. Nataniel wbił wzrok w piach podwórza. Siergiej zaśmiał się cicho. Trafiony-zatopiony. Chłopaczek od tej

pory będzie wyobrażał sobie sąsiadkę, która mogłaby być jego matką, jak bierze nago kąpiel w jeziorze. Jeśli okaże się cwany, kupi sobie lornetkę i nie ograniczy się do wyobrażeń. A Marta, będąc tego boleśnie świadoma, szybko się szczeniaka pozbędzie...

– Jesteś kretyńcem – wydusiła. – Podłym... bezczelnym... kłamliwym... – Gorączkowo szukała obelg, które by dotknęły tego drania tak, jak on dotknął ją.

– To wszystko już słyszałem, Martuniu... – Siergiej zaśmiał się tylko. Wyciągnął ku niej zniechęconą rękę, przyciągnął ją do siebie i wycisnął na ustach kobiety niechciany pocałunek. Odepchnęła go z całych sił.

– Chyba przeszkadzam – odezwał się zmieszany Nataniel.

Nie bardzo wiedział, czy towarzystwo czarnookiego przystojniaka jest Marcie miłe, czy niemiłe. Najpierw sprawiała wrażenie naprawdę wściekłej, później – co było zrozumiałe – zarumieniła się jak dziewica i spuściła wzrok, ale teraz... niby tamtego odpychała, a jednak... Mogła przecież powiedzieć intruzowi, o ile rzeczywiście nim był, żeby poszedł do diabła. Faceci w tych stronach rozumieją chyba słowo „nie”?

Zdziwiłby się.

Siergiej Sodarow rozumiał tylko to, co chciał rozumieć. I tak jak chciał. Nie należał do myśliwych, którzy przy pierwszym niepowodzeniu pozwalają ujść ofierze. Jeżeli już sobie coś upatrzył – a Marta Kraszewska zapadła mu w czarne serce od pierwszej chwili, gdy pojawiła się w jego życiu – po prostu wyciągał po to rękę. Jak teraz.

– Mówiłam, żebyś trzymał się ode mnie z daleka! – krzyknęła ze złością, ocierając usta wierzchem dłoni.

– Mówiłaś. I to nie raz. Ale bez przekonania. – Siergiej uniósł kącik ust w przekornym uśmiechu.

Komuś, kto go nie znał, wydałby się w tej chwili uroczy niczym uczeń

przyłapany na psocie, ale Marta nie miała złudzeń: gdy ten człowiek straci zainteresowanie nią, cały urok pryśnie. Jego prawdziwego oblicza mogła się jedynie domyślać, a i tak domysły te przerażały.

– Umiesz jeździć konno, Nat? – zwrócił się do chłopaka.

– Umiałem – odrzekł ten ostrożnie.

– Jak to „umiałeś”? Tego się nie zapomina.

Teraz Nataniel poczuł gniew. I chęć utarcia temu mężczyźnie nosa. Kiedyś, przed wypadkiem, był świetnym jeźdźcem. Lubił konie, ich mądre oczy, miękkie chrapy szukające kostki cukru w dłoni, gładkie szyje i jedwabiste grzywy. Kochał straceńcze galopady na ich grzbietach. Przed wypadkiem.

Od kiedy wrócił ze szpitala, nie wsiadł na konia. Tak samo jak zrezygnował z treningów aikido, siatkówki, piłki nożnej i wszystkiego, czym się zajmował w „poprzednim życiu”. Mama próbowała nakłonić go chociaż do pływania, jednak... nie potrafił się przemóc. Rozebrać się przy innych? Wystawić na ich ciekawskie oczy okaleczoną po wielekroć kończynę? Nie ma mowy!

– Jestem niepełnosprawny – to określenie nadal, choć minęło sześć lat, z trudem przechodziło mu przez gardło. – Sam nie dam rady. – Wskazał na wysoki koński grzbiet.

– Och, pomogę ci wsiąść. – W czarnych oczach Sodarowa błyszczała czysta złośliwość. Nie wyczuwał w młodym chłopaku konkurencji do ręki i ciała Marty Kraszewskiej, co to, to nie, jeśli jednak mógł go skompromitować w jej oczach? Czemu nie!

– Chyba powiedział wyraźnie, że jest niepełnosprawny – wycedziła Marta.

Gdyby wiedziała, że te słowa tylko Nataniela sprowokują, ugryzłaby się

w język.

Momentalnie zmienił zdanie. Podeszedł do konia, pogłaskał go po szyi, a gdy zwierzę parsknęło przyjacielsko – przynajmniej tak się chłopakowi zdawało – rzucił przez ramię:

– Jestem gotów spróbować.

Siergiej puścił Marcie oczko, po czym podeszedł do chłopaka. Tamten ugiął nogę w kolanie, zacisnął zęby, gdy mężczyzna podrzucił go w górę tak silnie, że niemal przeleciał nad końskim grzbietem, po czym ściągnął krótko wodze, bo ogier zatańczył pod nim i... to Nataniela uratowało.

Nim zdołał wcisnąć stopy w strzemiona, zanim zabrzmiało ostrzegawcze „Uważaj na niego! Lubi ponieść!” Siergieja, ogier stanął dęba, po czym zawrócił w miejscu i rzucił się wściekłym cwałem w kierunku, skąd nadjechali.

Ciszę poranka przeciął przerażony krzyk Marty, ale tego Nataniel już nie zarejestrował. Wszystkie zmysły i umiejętności, całą siłę woli skupił na utrzymaniu się w siodle. Miał to szczęście, że koń cwałował równo i bez wygłupów. Gdyby puścił się galopem i próbował zrzucić jeźdźca, ten nie miałby żadnych szans.

Jakimś cudem prawa stopa trafiła na strzemię. Nataniel miał już punkt oparcia. Zaczął ściągać wodze, hamować rozpędzone zwierzę. Nagle serce w piersi młodego mężczyzny zamarło. Przed sobą miał szosę, ruchliwą dwupasmówkę. Leśna droga wychodziła wprost na nią! Jeśli do tego czasu nie zdoła zatrzymać zwierzęcia...

– Coś ty zrobił, idioto! – krzyczała Marta, pędząc przez las w kierunku, w jakim pognał ogier. – Jeśli coś się temu chłopakowi stanie... Jeśli to twoje bydlę zrobi mu krzywdę... Odpowiesz przed sądem, Siergiej! Masz na to

moje  
słowo!

Sodarow nie odpowiedział, biegnąc obok niej. O chłopaka się nie troszczył, wsiadł na konia z własnej woli, nie czekał na instrukcje, nie pytał o zwyczaje zwierzęcia, po prostu – jak się można było po ambitnym szczeniaku spodziewać – dał się podpuścić. Czy była to jego, Siergieja, wina? Rzecz jasna nie. Ale nie odważył się tego rozwścieczonej i przerażonej kobiecie powiedzieć. Na Marcie Siergiejowi zależało jak najbardziej. Wolał nie przeginać...

Z daleka dobiegło ich przeciągłe rżenie.

Marta zaczęła płakać. Bezgłośnie, bo bieg dusił oddech, ocierała łzy płynące po policzkach.

– Chłopak da sobie radę – rzucił Siergiej bez przekonania. Nie był pewien, czy on sam utrzymałby się w siodle bez strzemion...

Nagle dobiegły ich ostry, przenikający na wskroś pisk hamulców, odgłos uderzenia i... cisza.

Marta potknęła się i upadła.

Szosa wyskoczyła zza gęstych zarośli nagle. Nataniel w ostatniej chwili szarpnął ku sobie wodze. Koń stanął dęba. Chłopak spadł. W tym momencie kierowca samochodu, który jak to z kretynami bywa, wyprzedzał na zakręcie, ujrzał przed sobą maskę tira, odbił gwałtownie na przeciwległe pobocze i wprasał się w drzewo. Na kilka chwil zapadła cisza.

Nataniel przyglądał się temu z wysokości drogi. Rozpędzone auto mignęło mu przed oczami. Siła uderzenia był tak potężna, że szkło rozorało mu policzki i czoło, ale nie poczuł tego, nawet nie mrugnął, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w sprasowane na pniu auto.



W następnej sekundzie – chociaż chłopakowi wydawało się, że minęły długie minuty – poderwał się, doskoczył do drzwi pasażera, za którymi widział opartą bezwładnie o framugę okna dziewczynę. Szarpnął za klamkę. Raz i drugi. Musiał się spieszyć! Spod maski wydobywał się dym, powietrze zaczęło przesiąkać ostrą wonią benzyny.

– Dasz radę? – usłyszał wołanie po drugiej stronie samochodu.

Unióśł głowę, ocierając odruchowo krew zalewającą oczy.

To kierowca tira, blady jak zapewne on sam, dopadł drzwi kierowcy i również próbował je otworzyć.

– Ten szajs za chwilę wyleci w powietrze. Musimy ich wyciągnąć!

Nataniel tylko kiwnął głową. Szarpnął za klamkę, ale drzwi ani drgnęły. Przechylił się więc przez wybite okno, nie bacząc na odłamki kaleczące skórę na piersi, sięgnął do pasa bezpieczeństwa spinającego dziewczynę, nacisnął i... co za ulga!... pas puścił.

Chwycił bezwładne ciało w pól. Szarpnął ku sobie, ale dziewczyna wysunęła mu się z ramion. Zagryzając wargi do krwi, objął ją jeszcze silniej i szarpnął ponownie. I poleciał razem z nieprzytomną na trawę. Znów wypadła mu z objęć. Poderwał się.

– Szybciej! – ktoś krzyknął.

Chwycił dziewczynę za ramiona i niemal płacząc z bólu przesywającego chorą kończynę, zaczął odciągać w tył. Byle dalej od samochodu. Dalej od śmiertelnego niebezpieczeństwa. Jego chora noga nie wytrzymała wysiłku. Ugięła się. Poleciał do tyłu. Za blisko, wciąż za blisko samochodu. Próbował wstać. Dziewczyna jęknęła. Nagle ktoś chwycił i jego, i ją, szarpnął w górę i odrzucił jeszcze dalej.

W tym momencie samochód eksplodował.

Nataniel w ostatniej chwili osłonił siebie i ranną od ognistego podmuchu.

Zakrztusił się dymem. Znów ktoś do nich doskoczył. Odciągnął w bezpieczne miejsce. Chłopak opadł na miękką trawę pobocza. Dziewczyna, leżąca tuż obok, poruszyła się i jęknęła. Żyła. On też. Kto ich uratował?

– Ty bydlaku, ty sukinsynu, odpowiesz za to! – krzyknęła Marta, mijając Siergieja.

Osmalony przez wybuch, wyglądał jak upiór.

– Marta... – Ruszył za nią.

– Łap za komórkę, wzywaj pogotowie! – Nie dała mu dojść do słowa.

Pochyliła się nad Natanielem. Spojrzał na nią półprzytomnie. Odgarnęła czułym, matczynym gestem włosy z jego zakrwawionego czoła.

– Przepraszam, Nat, ale musisz poczekać. Ona jest w cięższym stanie – odezwała się z troską. Kiwnął głową, niewiele rozumiejąc z jej słów.

Ukucnęła przy dziewczynie. Ta odzyskiwała przytomność. Już miała powiedzieć jej coś uspokajającego, gdy z drugiej strony wraku dobiegł krzyk:

– Pomóżcie mi! Niech ktoś pomoże! Ten chłopak umiera!

Rzuciła się biegiem w tamtym kierunku. Kierowca tira klęczał przy chłopaku, w ostatniej sekundzie wyciągniętym z rozbitego samochodu. Jeden rzut oka wystarczył Marcie, by stwierdzić, że mężczyzna ma rację.

Uklękła przy rannym.

– Apteczka – rzuciła do kierowcy. Zrozumiał. Pobiegł po zestaw ratunkowy.

Marta bez chwili zwłoki rozpoczęła resuscytację. Trzydzieści uciśnień mostka, wdech, wydech, wdech, wydech, trzydzieści uciśnień...

Siergiej podbiegł do niej.

– Już jadą, dyspozytor pyta o rannych.

– Jeden w stanie krytycznym, jedna ciężko ranna, Nataniel lekko.

Siergiej przekazał jej słowa dalej.

– Będą za kilka minut – dokończył, klękając przy Marcie i nieprzytomnym, a może już martwym chłopaku.

Dookoła zbierał się tłumek ciekawskich. Wypadek zablokował całą drogę. Ludzie zatrzymywali samochody i – siłą rzeczy nie mając co ze sobą zrobić – podchodzili do miejsca wypadku, by komentować po swojemu. Ich dobre rady doprowadzały Martę, nieprzerwanie usiłującą utrzymać rannego chłopaka przy życiu, do szewskiej pasji.

– Zmienić cię? – zapytał półgłosem Siergiej.

– Nie. Jeszcze nie. Zobacz, co z dziewczyną. Jeśli nie oddycha, zacznij ją resuscytować.

Zniknął z jej pola widzenia, posłusznie spełniając polecenie, co przelotnie, ale tylko przelotnie, zdziwiło kobietę. Siergiej Sodarow nie był z tych, co słuchają kogokolwiek...

Zamiast niego znalazł się przy Marcie Nataniel.

– Ta dziewczyna... z nią jest coraz lepiej – odezwał się, z trudem wypowiadając słowa.

Rzuciła mu szybkie spojrzenie.

– A z tobą? Masz tylko pociętą głowę czy coś cię boli?

Machnął ręką, co miało być gestem nonszalancji, ale sprawiło, że poblądł.

– Noga. Trochę.

Skłamał, by nie zawracać jej głowy, lecz po prawdzie noga rwała tak strasznie jak wtedy, gdy ją złamał. Ramię też doskwierało. Gdy spadał z tego wściekłego konia, osłonił się prawą ręką. Nie pamiętał, czy uderzył w coś głową, czy dostał czymś później, gdy wybuchł samochód, ale ona też bolała go coraz bardziej. Nie zamierzał jednak mówić tego Marcie. Musiała ratować chłopaka, który gasł pod jej splecionymi rękami. Wdech... wydech...

trzydzieści uciśnień.

Uniosła na moment głowę, nie przerywając reanimacji.

Siergiej okrywał dziewczynę kurtką. To dobrze.

W oddali rozległ się jękliwy dźwięk pogotowia. Zbliżał się z każdą sekundą. Z drugiej strony nadjeżdżała straż pożarna. Marta ostatkiem sił uciskała mostek chłopaka. Jeszcze trochę, jeszcze trzydzieści, wdech... wydech...

– Proszę się odsunąć – usłyszała stanowczy głos ratownika.

Uniosła nań zmęczone spojrzenie.

Uśmiechnął się, rozpoznając kobietę.

– Pani doktor Kraszewska...

– Ten chłopak jest w stanie krytycznym – przerwała mu. – Zróbcie wszystko, co w waszej mocy, żeby go uratować.

Nataniel patrzył na Martę, swoją sąsiadkę z dworku, krawcową, nic nie rozumiejąc. Doktor? Doktor Kraszewska?!

– Druga ekipa bierze dziewczynę. My tego delikwenta – zadysponował ratownik. – Zróbcie mi wkłucie jeszcze tutaj.

Ratownicy zakrzętnęli się koło rannego. Marta mogła odejść. Nie należała do zespołu pogotowia. Już nie...

– Chodź, Nat, nic tu po nas. – Ujęła chłopaka pod ramię i odprowadziła na bok.

Kierowca tira siedział na poboczu, wpatrując się tępym wzrokiem w scenę prosto z najkoszmarniejszych snów. Podniósł na Martę udręczone spojrzenie.

– To nie była moja wina. On wyprzedzał na zakręcie. Nie mogłem nic zrobić...

– Oczywiście, że nie – odparła tym łagodnym, spokojnym głosem, który działał kojąco na jej pacjentów kiedyś i powinien działać teraz. – Poda mi pan apteczkę?

Wyciągnął ku niej czerwone pudełko z białym krzyżykiem. Wyjęła bandażę i środki do odkażania ran.

– Połóż się, Nat – poprosiła. – Wiesz już, że jestem lekarzem. Byłam, znaczy się. Zbadam cię teraz. Mów, jeśli zaboli. Nie zgrywaj bohatera.

Kiwnął głową i skrzywił się odruchowo, czując ciepłą, lepłą krew, spływającą za kołnierz kurtki. Rzeczywiście lepiej się położyć.

Przymknął oczy, ogarnęło go śmiertelne zmęczenie. Wszystko stało się takie odległe. Nieważne. Wypadek. Ranna dziewczyna, którą próbował uratować. Zimno. Przenikliwie zimno. Śnieżyca chłoszcząca go po twarzy i daleki głos:

– Nataniel! Nat! Otwórz oczy! Wracaj do mnie, słyszysz?!

Uniósł z trudem ciężkie powieki. Mama obejmowała jego twarz dłońmi i mówiła coś szybko, błagalnym tonem, ale nie rozumiał ani słowa. Jej twarz zaczęła się rozmywać. Spadał w przepaść. Krzyknął: „Mamo!” – próbował chwycić ją za rękę, ale czerń zamknęła się nad nim. Poza czernią, gęstą jak smoła, nie było już nic.

## ROZDZIAŁ VII

Pierwszym wrażeniem, jakie odebrał, wracając do świata żywych, było rozkoszne ciepło otulające obolałe ciało. W następnej chwili zarejestrował nieprzyjemne wycie karetki gdzieś nad głową. Próbował się unieść, ale czyjaś dłoń przytrzymała go na noszach.

– Leż spokojnie, Nat. Jesteś bezpieczny. – Usłyszał głos Marty, zwrócił twarz w jej stronę i próbował się uśmiechnąć. Pamięć wróciła w jednej chwili. Wspomnienie galopady na grzbiecie szalonego konia, wypadku, który nadal zdawał się chłopakowi filmem puszczonego w zwolnionym tempie, i ostatnich chwil świadomości, kiedy wróciły straszne wspomnienia sprzed sześciu lat. Jeśli miał nadzieję, że pogrzebał je w snach, mylił się...

Widok Marty w tym wszystkim niósł ukojenie. Może znów przydarzyło się mu coś straszego, ale nie był to tamten koszmar, tylko zupełnie inny. Jednak dziewczyna... Czy możliwe, że ona pojawiła się w obu? Mogła to być ta sama nieznajoma, którą?...

– Już dojeżdżamy – słowa Marty przerwały te majaczenia.

Nataniel uniósł głowę i natychmiast opadł z powrotem na nosze, tłumiąc jęk.

– Dziewczyna? – wyszeptał, patrząc na Martę szeroko otwartymi oczami.

– Miejmy nadzieję, że wyjdzie z tego – odpowiedziała wymijająco, jednak otumaniony mózg odczytał to jako pewnik.

Nataniel skinął głową i zamknął oczy. Momentu, w którym znalazł się na stole zabiegowym, gdzie rozebrano go, zbadano, odziano w szpitalne ciuchy, podłączono kroplówki i czym prędzej zabrano na prześwietlenie, w ogóle nie

zarejestrował.

Ocknął się w jasnym pokoju, na łóżku wygodniejszym niż twarde nosze. Z Martą siedzącą tuż przy nim. Uśmiechnął się na widok znajomej twarzy, a przynajmniej dzielnie próbował. Bandaż spowijał jego czoło, potylicę i prawy policzek.

Marta pochyliła się ku niemu, musnęła drugi policzek gestem tak znajomym, tak boleśnie znajomym... Aż poczuł łzy pod powiekami. Mama robiła to samo za każdym razem, gdy chorował czy miał gorączkę. Ona też po wypadku nie opuszczała jego łóżka na krok, chyba że zmieniała ją babcia. Wtedy tak. Na parę godzin znikwała, by złapać choć trochę snu, po czym wracała tak samo spieszenie, mówiąc:

– Już jestem, synku. Jestem przy tobie.

Łzy potoczyły się Natanielowi po policzkach.

– Co się stało, dzieciaku? Boli? – usłyszał pełen troski głos Marty.

Pokręcił głową. Nawet jeśli bolało, nie znalazłaby na to lekarstwa. Nie na ból dziecka, które straciło matkę...

– Co z nim? – usłyszał drugi głos, znajomy.

– Jak śmiesz tu przychodzić?! – rzuciła gniewnie kobieta. – Mało go nie zabiłeś, ty i twoje bydło!

– Słuchaj... – Siergiej podszedł do Marty, położył dłoń na jej ramieniu i przytrzymał, mimo że próbowała ją strącić. – Może masz rację, rzeczywiście koń poniósł, ale dzięki temu uratowaliśmy jedno ludzkie istnienie.

– Coś ci się popieprzyło, Sodarow! Raczej...

– Ta dziewczyna będzie żyć, a spłonęłyby w samochodzie.

– Gdyby koń nie wyskoczył na jezdnię, nie byłoby wypadku i nie musiałbyś nikogo ratować, pieprzony bohaterze! Zejdź mi z oczu, bo...

– Pani Marto – odezwał się cicho Nataniel. Mógł znieubić czarnowłosego mężczyznę od pierwszego wejrzenia, tak jak on znieubił Nataniela, ale nie pozwoli, by oskarżano niewinnego człowieka. – Koń nie wyskoczył na jezdnię. Zdołałem zatrzymać go w ostatniej chwili. Zrzucił mnie z grzbietu, w momencie gdy wystraszył się huk. Wtedy właśnie samochód wbił się w drzewo. Gdyby mnie tam nie było, dziewczyna naprawdę spłonęłaby w aucie. A gdyby nie pan...

– Siergiej – poprawił go nieprzyjaźnie mężczyzna.

– ...Siergiej, być może i dla mnie skończyłoby się to bardzo źle.

– A więc jednak. Pieprzony bohater – prychnęła Marta, poderwała się gwałtownie, odtrącając Sodarowa, i wyszła z pokoju, nim zdążył chwycić ją za rękę.

– Poleżysz chwilę sam? – Siergiej nie czekał na odpowiedź chłopaka. Po prostu wybiegł za Martą.

Nie odeszła daleko.

Stała przy automacie do napojów, udając, że chce coś kupić, lecz tak naprawdę uspokajała oddech i myśli. Jeżeli Sodarow miał rację...

„Nie jeżeli, a miał rację” – poprawiła się w duchu. Mogła być na mężczyznę wściekła. Mogła go nie znosić i mu złorzeczyć, ilekroć pojawiał się na jej drodze, ale nie miała prawa bezpodstawnie go oskarżać ani obwiniać o coś, czego nie zrobił.

– Przepraszam, Siergiej – rzekła cicho i powoli uniosła nań spojrzenie. – Masz rację. Jakimś cudem, ale twój wybryk uratował tamtą dziewczynę. Wiadomo, co z chłopakiem sołtysa?

Tak, syn Wieśka Sidły znany był z brawurowej, czy raczej bezmyślnej, jazdy. Wyprzedzał w ten sposób nie raz i nie dwa, przyprawiając kierowców o zawał serca. Mijał się ze śmiercią tyle razy, że kumple zaczęli o nim



mówić „Connor”\*. Wreszcie trafiło i na niego...

– Odratowali go – odrzekł Sodarow, nie mogąc oderwać wzroku od złocistych oczu kobiety.

Szkoda, że o niego nie pytała z takim niepokojem w kocich źrenicach, gdy leżał w tym samym szpitalu parę lat wcześniej. To wtedy właśnie, gdy po raz pierwszy Marta Kraszewska uratowała mu życie, postanowił, że zdobędzie tę piękną, dumną kobietę. To tutaj, gdy ratowała go po raz drugi, stracił na to wszelkie szanse. Ale nie nadzieję. Siergiej Sodarow był cierpliwy. Potrafił zdobywać najbardziej niedostępne szczyty.

Teraz, wiedząc, że chwila jak ta, gdy Marta była tak bezbronna i krucha, nie powtórzy się szybko, uniósł dłoń i delikatnie odsunął kosmyk kasztanowych włosów z jej czoła. Musnął koniuszkami palców policzek kobiety.

Przytrzymała go za nadgarstek.

– Daj spokój, Sodarow. Na mnie twoje sztuczki nie działają – rzekła cierpko i odepchnęła rękę mężczyzny.

„To się jeszcze okaże” – pomyślał, odprowadzając ją spojrzeniem.

Gdy zniknęła za drzwiami pokoju, w którym leżał Nataniel, uśmiechnął się, mrużąc lekko czarne oczy. Na swoje nieszczęście Marta nie widziała go w tej chwili. Inaczej nie wpuściłaby go więcej za próg domu.

Nataniela wypisano tydzień później.

Obrażenia nie były poważne – ot, wstrząśnienie mózgu, pokaleczona twarz i głowa, stłuczone ramię, że o naciągniętych ścięgnach w chorej nodze nie wspomnieć – i nie powinny mieć szczególnego wpływu na życie chłopaka, ale sam wypadek miał stać się początkiem zmian. Wielkich zmian i nieoczekiwanych.

Gdyby Siergiej Sodarow wiedział, jaką przysługę wyświadcza młodemu

mężczyźnie, podpuszczając go do jazdy na grzbiecie czarnego ogiera, zrobiliby po raz drugi to samo czy nie? – Nataniel po wielokroć zadawał sobie to pytanie, gdy wracał pamięcią do tego dnia. Dnia, który zmienił wiele. Może nawet wszystko...

---

\* Bohater filmu „Nieśmiertelny”.

## ROZDZIAŁ VIII

**M**arta czekała na powrót Nataniela z ostatnich badań przed wypisem nieco zaniepokojona. Nie, o zdrowie chłopaka była spokojna, lekarze w piskim szpitalu zajmowali się pacjentami troskliwie, szczególnie tymi, co ratowali życie ofiarom wypadków. Kobieta zastanawiała się jednak, co Nataniel zapamiętał z całego zajścia. Czy słowa ratownika: „Pani doktor Kraszewska!”, dotarły do otumanionego upadkiem umysłu czy też nie?

Jeśli Nataniel zatrzymał je w pamięci, musi czuć się oszukany. Powiedziała mu przecież, że jest krawcową. Bo jest! Od lat, dokładnie od sześciu, tym się właśnie zajmuje: krawiectwem. Zrezygnowała z zawodu lekarza. Owszem, udzielała bezpłatnych porad czy pierwszej pomocy sąsiadom z Sennej – to dlatego właśnie przyjęli ją do swego grona i darzyli ostrożnym szacunkiem mimo reputacji „wiedźmy” – lecz w przychodni ani szpitalu nie pracowała. Miała znakomite referencje od poprzednich pracodawców, dostała propozycję etatu, odmówiła jednak. Powodu mógł się domyślać jedynie ten, kto znał jej historię. Taaak, to by wiele wyjaśniło.

Lecz Marta był skryta. Trzymała pod kluczem swoje tajemnice. Dwie osoby tu, w Sennej, znały je wszystkie. Jedną był Mateusz Józwik, drugą... cóż... Westchnęła, spoglądając na zegarek, a potem na drzwi. I przypomniała sobie, że nigdzie jej niespieszno. Owszem, znajdowała się w szpitalu, ale to nie był już „jej” szpital. Nie wezwą doktor Kraszewskiej do nagłego przypadku, nie będą ponaglać z papierkową robotą. Nie czeka jej żaden dyżur ani obchód.

Czy Marcie tego brakowało? Oczywiście! Ale ceniła sobie również

spokojne życie w dworku. Nad brzegiem jeziora. Życie, w którym nic właściwie od doktor Kraszewskiej nie zależało. Gdyby nagle odeszła, ani Senna, ani reszta świata specjalnie by się nie przejęły. Nie brakowałoby im cichej mieszkanek starego dworu. Jakiejś tam krawcowej. Nikt by po niej nie płakał.

Myśląc o sobie w ten sam sposób co Nataniel, krzywdziła przede wszystkim siebie. Ale też przyjaciół, którzy kochali ją i szanowali. Na szczęście nie wiedzieli, jak nisko Marta siebie ceni. Byliby zaskoczeni i trochę rozczarowani. A jeden z nich... o tak, on przełożyłby ją przez kolano i spuścił manto. Tylko że gwałtownika, który gotów byłby to zrobić, Marta nie mogła nazwać przyjacielem. Właśnie wchodził do pokoju bez pukania, jak do siebie...

Od razu się nastroszyła, a on oczywiście to zauważył.

– Dzisiaj wypuszczają naszego bohatera? – zakpił od progu.

– Dzisiaj. Po co przyszedłeś? Żeby się z niego naśmiewać? Mało krzywd mu wyrządziłeś? – zaatakowała go w odpowiedzi na tę kpinę.

– Już uzgodniliśmy, że była to raczej przysługa, nie krzywda. Ludzie z Sennej przyjmą go z otwartymi ramionami. Gdybyś nie tkwiła w tym pokoju jak cerber, sołtys już pierwszego dnia przyszedłby z podziękowaniami. Natuś uratował narzeczoną jego synalka.

– Nie mów na niego „Natuś”! – krzyknęła naprawdę wściekła. Siergiej potrafił wyprowadzić ją z równowagi kilkoma niewinnymi zdaniem...

– Spokojnie, moja śliczna czarownico. – Uśmiechnął się teraz do niej szelmowsko, o tak, to też potrafił, wiedząc, że tym zmiękczy serce kobiety. – Może z twojego Nataniela i nieco pokpiwam, co prawda, to prawda, ale nie szydę. A to różnica. Lubię chłopaka. Niby taki ciapciak, goguś wypieszczony przez mamusię, a charakter ma.

– Zaraz oberwiesz za „mojego Nataniela” i za „ciapciaka”!

– Martuś, jesteś śliczna, jak się uśmiechasz, i śliczna, jak się złościsz... –  
Teraz z niej zaczął kpić, ale ucięła krótko:

– Oj, zamknij się wreszcie.

Cóż. Musiał spoważnieć.

– Przyszedłem w innej sprawie... Chcesz zatrzymać tego two... znaczy się: Nataniela, chcesz go zatrzymać w Sennej?

– Wiesz, że chcę, więc po co pytasz?

– Daj mi powód, dobry powód, dlaczego tak ci na tym zależy, a pomogę ci w tym. Jeżeli mnie nie przekonasz, zrobię wszystko, by chłopak opuścił wieś i okolice. I to szybko.

– Dlaczego? Co ty do tego dzieciaka właściwie masz?!

Siergiej wzruszył ramionami i odrzekł:

– Nic. Po prostu nie lubię obcych na moim terenie.

– Twoim terenie? Twoim?! Ludzie, trzymajcie mnie... Może i pół wsi siedzi ci w kieszeni, może sponsorujesz miejscowych pijaczków, ale nie jesteś panem życia i śmierci całej reszty! Za kogo ty się uważasz, do cholery?! – Przyskoczyła do mężczyzny i chciała chwycić go za fraki, dać mu z pięści w zęby, cisnąć o ścianę, przyłożyć z drugiej strony, ale... była tylko kobietą. Właśnie łapał ją za nadgarstki i przytrzymywał na odległość ramion, nie pozwalając na to, czego w tej chwili pragnęła.

„A może przeciwnie?” – przemknęło mężczyźnie przez myśl. „Może Marta sama nie wie, czego naprawdę chce?”

Pociągnął ją na siebie tak gwałtownie, że siłą rozpędu wpadła mu w ramiona. Zaszamotała się, ale nie puścił. Zgrzytnęła zębami z frustracji, lecz nim zdążyła ostrzec, że jeśli zaraz jej nie puści, to... rzekł miękko:

– Dlaczego ciągle ze sobą walczymy? Nie moglibyśmy choć raz zachować się jak przyjaciele, może coś więcej?

– Coś więcej? – prychnęła. – Niby co? Przyjaźnić się z tobą to i tak za wiele!

Zabolało, jakby dostał w twarz.

Odepchnął ją od siebie tak nagle, jak wziął w objęcia.

– To, co powiedziałaś, nie pomoże twoim przyjaciołom – wycedził, odwrócił się na pięcie i wyszedł, trzaskając drzwiami.

Marta opadła na łóżko, kręcąc głową. Po całych latach spokoju nagły natłok wydarzeń zdawał się ją przerastać. Nie była przygotowana na tyle nieszczęść naraz! Otwarta wojna z Siergiejem Sodarowem nie była Marcie do szczęścia potrzebna! Nie teraz!

Trzeba go jakoś ułagodzić, ugłaskać. Jeśli naprawdę coś do niej czuje, a nie jest to li tylko jakaś dziwna gra, obliczona na wciągnięcie kolejnej zdobyczy do łóżka – na miłość boską, jaka z niej, czterdziestosześcioletniej kobiety, zdobycz dla takiego Casanovy jak Sodarow?! – jeśli więc naprawdę nie jest mu obojętna, trzeba... zagrać na jego uczuciach. Wykorzystać słabość tego gangstera do własnych celów.

Jednym z nich było zatrzymanie Nataniela w Sennej. W chacie nad jeziorem.

Misterny plan, który Marta zaczęła snuć w chwili pojawienia się chłopaka tam, na wzgórzu, nie uległ zmianie. Może się nawet umocnił?

## ROZDZIAŁ IX

Chata stanowczo uległa przemianie od dnia, w którym ją opuścił. Podwórze było porządnie wysprzątane, stopnie schodów i drzwi wejściowe wyszorowane, aż odzyskały barwę drewna, na parapetach w białych skrzynkach stały nieznane mu, lecz bardzo ładne kwiaty, nawet pochyły, wyszczerbiony pomost ktoś naprawił.

Wnętrze też stało się bardziej przytulne za sprawą zdobionych haftem zazdrostek w kuchni i kołkowych firanek w pokoju. Ktoś – pewnie Marta – zawiesił tu również cieniutkie muślinowe zasłony. Na stole pojawiła się serweta, w kredensie pyszniła się nowiutka zastawa, na kuchni garnki, podłogę zaściewał dywanik z gałganków. Chata miała teraz uroczy wiejski charakter i nie sprawiała wrażenia ruiny jak jeszcze tydzień temu. Nataniel patrzył na te cuda oczami pełnymi zdumienia i radości.

– Dziękuję – rzekł z głębi serca, zwracając się do Marty, która... była równie zdziwiona co on.

– To nie moja zasługa – odparła. – Zyskałeś czyjąś sympatię. Mogę się jedynie domyślać, kim był ten dobry duch...

– Proszę mi powiedzieć! Przecież muszę podziękować... odwdzińczyć się.

– Wiesz, kogo wyciągnąłeś z rozbitego samochodu tuż przed wybuchem?

– Jakąś dziewczynę. Mówiła mi pani, nawet imię powinienem znać, ale... nie pamiętam.

Pokręcił bezradnie głową. Gdy chciał przypomnieć sobie szczegóły wydarzeń z tamtego ranka, umysł miał zupełnie pusty. Wspomnienia

przychodziły jak na złość nie wtedy, kiedy powinien sobie coś przypomnieć. Był pewien, że Marta opowiadała mu i o chłopaku, który kierował samochodem, i o pasażerze, ale za chińskiego pana nie mógł odnaleźć w pamięci ich imion.

– Asia Jarząbek. Sołtys upatrzył ją sobie na synową. Dobra, porządna dziewczyna, którą Mareczek Sidło zaczął sprowadzać na złą drogę. Może ten wypadek obojgiem wstrząśnie na tyle, że on przestanie pić i pajacować, ona zaś... cóż... znajdzie lepszą partię. Jest jedynaczką, ma tylko ojca, bo matka zginęła parę lat temu w podobnym wypadku. Myślę, że to właśnie Kazio Jarząbek chciał chociaż w ten sposób – wskazała ręką wokół – z serca podziękować. Spodziewaj się też niezadługo jego wizyty. Odwiedził cię w szpitalu zaraz po wypadku, ale chyba tego nie pamiętasz. Byłeś w zupełnie innej czasoprzestrzeni. – Uśmiechnęła się.

Rzeczywiście, nie pamiętał. A czasoprzestrzeń, o której Marta wspomniała, też wolałby wyrzucić z pamięci raz na zawsze.

– Jesteś głodny? – Kobieta delikatnie zmieniła temat, widząc, że chłopak spochmurniał.

– Na pani jajecznicę z boczkiem? Zawsze.

– Więc zapraszam. Stęskniłam się za twoim towarzystwem. Wydaje mi się, jakbym cię znała od lat, a to przecież krócej niż dwa tygodnie.

Musiał się zgodzić. On również serdecznie polubił doktor Kraszewską. O tę „doktor” nie omieszka jej zapytać, czy to się Marcie spodoba czy nie.

– Zobacz, nie tylko ja tęskniłam – dodała ściszym głosem, wskazując drzwi.

Stała w nich, niepewnie przestępując z łapy na łapę, Trusia. Wyciągała w kierunku Nataniela czarny nos, a gdy zrobił krok w jej kierunku i łagodnie zawołał suczkę po imieniu, postawiła uszy i... chociaż naprawdę chciała



podbiec do człowieka, poczuć jego ręce, głaszczące ją po głowie, usłyszeć raz jeszcze to ciche, miękkie wołanie... zaskomlała przeprasząco i umknęła.

– Serce mi się kraje, ilekroć widzę te jej biedne puste oczodoły – wyznał Nataniel, patrząc w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą stał pies.

– Mnie też... Ale ona dzielnie sobie radzi. Ma przecież świetny węch. I odzyskuje... jeszcze nie zaufanie, na to za wcześnie, ale chęć do życia. Całkiem niedawno, gdy straciła apetyt i zaczęła chudnąć, zaczęliśmy się z Mateuszem na serio o nią martwić.

Wyszli przed dom i ruszyli w stronę jeziora.

Przez chwilę panowało milczenie, ale w końcu któreś musiało zapytać o przeszłość. Zaczął Nataniel.

– Naprawdę jest pani lekarzem?

Marta, patrząc pod nogi, przytaknęła.

– Jestem. Właściwie byłam. Zrezygnowałam z praktyki jakiś czas temu.

– Lekarzem jest się chyba do końca życia. Tak jak nauczycielem. Przynajmniej mama powtarzała to za każdym razem, gdy coś przeskrobałem. Nawet po moich osiemnastych urodzinach twierdziła, że będzie mnie wychowywać do końca życia, bo jest nie tylko moją mamą, ale i nauczycielem. To „do końca życia” trwało siedem i pół roku – dodał cicho, pilnując, by głos mu nie zadrżał.

– Nowotwór? – zapytała Marta, czując, że chłopak chce mówić dalej, chce zrzucić z serca wielki ciężar.

– Nie. Gdyby zabrało ją raczysko, musiałbym się z tym jakoś pogodzić. Ale zabili ją gangsterzy, złodzieje mieszkań bez sumienia, bez litości dla zwykłego człowieka, a ja... ja nie mogłem nic na to poradzić. Teraz też nie mogę odpłacić tym bydlakom tak, jak na to zasługują. – Ileż goryczy było w słowach młodego człowieka. Poczucia winy, wściekłości i żalu...

– Gangsterzy? – powtórzyła Marta, wiedząc, że on jeszcze nie skończył. Jeszcze chce mówić dalej.

– Słyszała pani o bandyckiej prywatyzacji mieszkań? – Przytaknęła. – Moi dziadkowie mieli przed wojną mieszkanie, ponoć bardzo ładne, w okolicach Dworca Wiedeńskiego. Przetrwało obronę Warszawy w trzydziestym dziewiątym, przetrwało Powstanie, a nie dało rady ruskom. Wyburzyli cały kwartał ocalałych po wojnie kamienic, by wznieść ten upiorny pomnik komunizmu: Pajac Kultury, jak na niego zawsze mówiliśmy. Mieszkańcom dano do wyboru: mieszkania kwaterunkowe albo poniewierka. Babcia była wtedy w ciąży z moją mamą i bez męża, który siedział w ubeckiej katowni. O pogromie AK-owców w latach pięćdziesiątych też pani pewnie słyszała? – Znów potaknięcie.

Marta w milczeniu słuchała tej historii, historii, jakich wiele w rodzinach warszawiaków, domyślając się, co będzie dalej...

– Przyjęła klitkę niedaleko, po drugiej stronie Jerozolimskich. Potem, gdy zamordowanego na Rakowieckiej dziadka zrehabilitowano, a dygnitarzowi zza ściany przyznano coś lepszego, mieszkanie powiększyło się o dwa ładne pokoje. Całe życie babcia spędziła właśnie tam, do końca wspominając, jak pięknie mieszkało jej się kiedyś na Marszałkowskiej... Gdzie miała własne mieszkanie, a nie kwaterunek, łaskawie wypożyczony jej przez miasto. I oto upomniał się o kamienicę nawet nie dawny właściciel, a ktoś, kto nabył roszczenia od spadkobierców. Za grosze. Nie chce się w to wierzyć, ale jeden z „czyścicieli kamienic”, jak zaczęto o nich mówić, za czteropiętrowy budynek w centrum miasta zapłacił pięćdziesiąt złotych\*\*.

– Ile?! – Marta nie wytrzymała.

– Pięćdziesiąt złotych – powtórzył Nataniel. – Płacili stówę, dwie, trzy za

majątek wart miliony, dziesiątki milionów. Za nasz budynek gangster w garniturku zapłacił tysiąc. Ponoć drogo...

Marta знаła sprawę „dzikiej reprivatyzacji”, owszem, kto by o tym nie słyszał, ale nie dociekała szczegółów, nie wiedziała, że była aż tak „dzika”. Słuchała dalej, z zapartym tchem.

– Nam byłoby wszystko jedno, kto jest właścicielem budynku, gdybyśmy spokojnie mogli w nim dalej mieszkać. Ale nie. Lokatorzy byli mu mocno nie na rękę, bo chciał odpicować budynek i sprzedać za ciężkie pieniądze, a kto kupi dom z kwaterunkowymi? Zaczął więc nas nękać. Na początek podwyżkami czynszów. Wszystko oczywiście zgodnie z prawem. Gdy stawka za metr wzrosła dwukrotnie, mieszkańcy wkurzyli się, założyli komitet obrony przed takimi jak ten skurczysyn. Nagle okazało się bowiem, że w całym mieście rozgrabiane są kamienice, a lokatorów próbuje się usuwać. Pani Marto... co myśmy przeszli... jakie szykany... odłączanie wody, naliczanie „karnych opłat”, idących w tysiące złotych, podwyżki czynszu, jedna, druga, kolejne, aż ludzi po prostu nie było stać, a potem groźby, komornicy, eksmisje... Mieszkańcy walczyli w sądach, ale kto wygra z bandytą? Szczególnie bandytą w prawniczej todze, który z sędzią i prokuratorem na kawkę wyskakuje? Mimo to walczyliśmy... No bo jakże to tak? Mieszkamy w tych domach całe życie, dostaliśmy kwaterunek w zamian za zrabowane mienie, mówię w imieniu babci, nie swoim, i teraz próbują nas wyrzucać? Brutalnie wysiedlać po raz drugi? W wolnej Polsce? Państwie prawa?

Musiał przerwać, bo gniew dusił go za gardło. Walka w sądach z mafią, która wyłudziła w ten sposób domy warte kilka miliardów, nierówna walka, nie była jeszcze tym najgorszym. Ciekawe, czy Marta słyszała, do czego posunęli się ci bandyci...

– Widzi pani, nie poddawaliśmy się, trzymaliśmy się razem, ludzie

działający w stowarzyszeniu broniącym wyrzucanych z domów lokatorów zbierali na tych gangsterów kwity. Wynikało z nich czarno na białym, że dokumenty były fałszowane, wyłudzone od wiekowych spadkobierców, a cały proceder był bezprawny, możliwy dzięki skorumpowanym urzędnikom i notariuszom. Mieliśmy w rękach twarde dowody oszustwa i gotowi byliśmy pójść z nimi choćby do Strasburga, ale któregoś dnia... wszystko się rozsypało. „Nieznani sprawcy” uprowadzili i spalili żywcem przyjaciółkę mamy, która była duszą stowarzyszenia, broniła wyrzucanych z domów mieszkańców. I to był koniec... Ludzie, przerażeni tą zbrodnią – bo jak można podpalić człowieka?!, dzisiaj, nie w jakimś Bantustanie, a w Polsce dwudziestego pierwszego wieku, i pozostać bezkarnym, no jak?! – wycofali się z dalszej walki, zaczęli się wyprowadzać. Mama mimo to nie poddała się. Mówiła, że poddanie sprawy, o którą walczyła Jola\*\*\* i za którą zapłaciła życiem, byłoby zdradą wobec niej. W styczniu wróciła ze spotkania lokatorów naszej kamienicy. Właściciel wręczył im kolejną podwyżkę czynszu. Po spotkaniu zatrzymał mamę i coś jej powiedział. Sąsiad spod siódemki, który był na tym spotkaniu, ale nie przy rozmowie, nie miał pojęcia, czym tamten mamę postraszył. Ale to musiała być groźba, bo mama wróciła do domu blada i roztrzęsiona. Nie chciała rozmawiać o niczym. Położyła się do łóżka. Bałem się o nią... Prosiłem, żeby dała spokój, bo martwiłem się, że skończy jak Jola... a nie przeżyłbym śmierci mamy, wtedy tak myślałem... Lecz żyję – uciał nagle. Z tą samą goryczą co na początku historii.

Marta ujęła zimną dłoń chłopaka i uściśnęła bez słowa, wstrząśnięta do granic tym, co mówił. Dla niej „dzika reprivatyzacja” była po prostu jednym z wielu przekrętów, jakich dopuszczali się „możni i przy władzy”. Dziś dowiadywała się, że to nie tylko przekręt, ale i zbrodnia.

Nataniel podniósł na kobietę pociemniałe z żalu źrenice.

– Zmarła tej nocy. We śnie. Lekarz powiedział, że nie cierpiała. Po prostu serce nie wytrzymało tego wszystkiego.

Zwrócił twarz w stronę jeziora. Próbował powstrzymać łzy, ale nic z tego. Otarł je raz i drugi, po czym usiadł i schował głowę w ramionach.

Marta, sama walcząc ze łzami, przyklękła obok niego i objęła drżące plecy chłopaka. Wtulił się w nią i płakał cicho.

Wreszcie łkanie ucichło, mógł mówić dalej, jakby tego, co już powiedział, nie było dość:

– Załamalem się. Tak, przyznaję z ręką na sercu, że śmierć mamy, śmierć spowodowana przez bezkarnego bandytę po prostu mnie złamała. Całymi dniami nie wychodziłem z domu, dozorczyńni przynosiła mi jedzenie. Wreszcie nadszedł koniec marca i kolejny nakaz eksmisji. Dałem sobie spokój, spakowałem to, co mi pozostało, i... jestem tutaj.

Zwiesił głowę w geście totalnej klęski. Był dorosłym mężczyzną, który nie potrafił obronić matki przed bandziorami i pozwolił wygryźć się z rodzinnego domu... W swoich oczach wart był mniej niż zero. Zasłużył na wszystko, co go spotkało.

– Jesteś tutaj i tu zostaniesz – odezwała się Marta cicho, acz stanowczo. – Nie pozwolę, by ktokolwiek wyrzucił cię i z tego domu.

Poderwał głowę, wbił w kobietę pociemniałe spojrzenie.

– Nie zgadzam się. Nie pozwolę się pani narażać. Już nikt nigdy nie będzie cierpiał z mojego powodu!

– Natanielu Domoradzki, z całym szacunkiem, jaki do ciebie żywię, pozwól, że sprostuję: twoja mama cierpiała przez kogoś zupełnie innego. Ty byłeś taką samą ofiarą tych bydlaków jak ona.

Marta miała rację, musiał to przyznać, właściwie miałyby, gdyby poznała całą historię Nataniela. Ale on nie chciał wracać do wydarzeń sprzed sześciu

lat. Nie teraz, gdy te sprzed czterech miesięcy były tak świeże i bolesne. A być może nigdy. Nikt nie musi wiedzieć, dlaczego utyka na lewą nogę. Dlaczego boli ona czasem tak strasznie, że Nataniel blednie śmiertelnie i zaciska zęby z całych sił, by nie krzyknąć. Jak teraz, w tej chwili.

Poczuł, jakby ktoś chwycił kość w cęgi i szarpnął... Pociemniało mu przed oczami.

– Ej, dzieciaku, co ci jest?! – Przez jego własny jęk, który wyrwał mu się z gardła, przedarł się krzyk Marty. – Nataniel, pochyl głowę, oddychaj głęboko, co z tobą?!

Zrobił to, co kazała, bo byłby zemdłał – jeszcze tego brakowało, jak nie mazgaj, to mięczak – i mrok ustąpił, ale ból się nasilił, o ile w ogóle było to możliwe. Zacisnął zęby z całych sił.

– Co cię boli? Głowa? Ramię? – Marta była coraz bardziej przerażona.

Być może przedwcześnie stwierdzono, że nie odniósł poważniejszych obrażeń, może wypisano go ze szpitala zbyt pochopnie. A ona nie protestowała!

– Noga. Czasami boli mnie noga – wychrypiał. – Bardzo – dorzucił, by nie pomyślała, że to histeria.

– Rozumiem. Poczekaj tu chwilę. Jesteśmy niemal pod domem. Przyniosę coś, co pomoże. Tylko trzymaj głowę nisko i nie mdlej, dobrze?

– Dobrze. Niech już pani idzie... – Zabrzmiało to niegrzecznie, ale Nataniel nie myślał w tej chwili o uprzejmości. Pragnął, by ból ustąpił. Jeśli Marta ma cokolwiek na jego uśmierzenie, choćby pieprzoną siekierę!, niech ją po prostu przyniesie...

Wróciła tak szybko, że ledwie zarejestrował jej nieobecność. Sprawnie opasała mu ramię stazą, bezbłędnie wbiła się do żyły i wtoczyła do niej zawartość małej strzykawki. Ból ustąpił niemal natychmiast. Nataniel opadł

bez sił na trawę. Otarł przedramieniem czoło zroszone zimnym potem. To było straszne. Dawno nie miał tak silnego ataku.

Ponoć w oceanach żyje gatunek meduzy, której oparzenie jest tak bolesne, że człowiek odcina sobie zaatakowaną rękę czy nogę, po prostu odrąbuje. Nataniel potrafił w to uwierzyć...

Marta schowała strzykawkę i stazę do kieszeni.

– Nie miałam pojęcia, że aż tak cierpisz. Lekarz, który cię prowadził, powinien zaopatrzyć cię w leki. Gdybyś w tym momencie... no nie wiem... prowadził auto? Nie, jesteś na to za mądry, zatrzymałbyś się na poboczu. Gdybyś dostał ataku choćby na środku jeziora, bo miałeś ochotę popływać, utonąłbyś jak nic.

– Wiem, pani Marto. Uświadomiono mi to ładnych parę lat temu – odrzekł cicho, nie będąc pewnym własnego głosu. Drżał mu raczej z przerażenia, że ból może wrócić, niż ze słabości. – Przechodziłem rehabilitację, udaną, jak stwierdzili lekarze. To ból psychosomatyczny. Pojawia się w pewnych sytuacjach, które są nie do uniknięcia. Nie amputuję sobie pamięci, nie wymażę koszmarnych wspomnień, a to one najczęściej wracają razem z tym... – Z odrazą spojrzął na nogę. Czasem myślał, że byłoby lepiej, gdyby ją stracił. Mama niepotrzebnie walczyła o jej uratowanie.

– Możesz wstać? Obiecałam ci drugie śniadanie, chociaż zbliża się pierwsza...

Pokręcił głową. Jeszcze chwila.

Marta usiadła więc obok i zapatrzyła się na połyskujące w słońcu fale. Dziś wiał lekki wiatr, jezioro było nie tak gładkie jak zwykle, ale równie piękne.

– Jaka jest pani historia, doktor Kraszewska? – Nataniel przerwał

milczenie.

– Wiedziałam, że o to zapytasz... I boję się, czy po jej usłyszeniu nie stracisz do mnie sympatii.

– Może pani być zupełnie spokojna.

– Widzisz, ja niestety znalazłam się po ciemnej stronie mocy. – Uniosła głowę, spojrzała chłopakowi prosto w oczy i powiedziała jasno i dobitnie, nie owijając w bawełnę: – Przez zaniedbanie doprowadziłam do śmierci pacjenta. Czteroletniego chłopczyka. Postawiłam nietrafną diagnozę, nie zleciłam badań, które mogły go uratować, i dziecko zmarło. Nie mam nic na swoje usprawiedliwienie.

Nataniel pierwszy odwrócił wzrok, mimo woli wstrząśnięty. Mimo zapewnienia sprzed chwili, że cokolwiek Marta miała na sumieniu, może być pewna jego sympatii.

– Kiedy to się stało? – zapytał w końcu.

– Sześć lat temu.

Cholerne sześć lat temu... Czy tamten rok będzie go prześladował nawet tutaj, w Sennej?

– Nie wierzę, że ot tak się pani pomyliła. Celowo nie zleciła tych badań. Jeśliby tak było... proszę wybaczyć, jeżeli to zabrzmiało podle... dostałaby pani wyrok.

„W zawieszeniu” – uświadomił sobie.

Na pewno odebrano by doktor Kraszewskiej prawo wykonywania zawodu, szczególnie w tak drażliwej społecznie sprawie jak śmierć małego dziecka, i pani doktor, żeby zarobić na życie, musiałyby poszukać innego zajęcia. Przekwalifikowałyby się choćby na krawcową, daleko nie szukając.

Nagle wszystkie puzzle wskoczyły na swoje miejsca.

Kobieta siedziała z czołem opartym o splecione na kolanach dłonie, głęboko zapadnięta w niewesołe wspomnienia.



To był jeden z „dni apokalipsy”. Właśnie skończyła morderczy dyżur na pediatrii, gdzie zawsze działo się coś niepokojącego, gdy spanikowany ordynator SOR-u wpadł na oddział i z szaleństwem w oczach zaczął błagać, by wzięła jeszcze osiem godzin na pogotowiu. Lekarz, który za chwilę miał zacząć dyżur, zadzwonił, że nie przyjedzie.

– Coś tam głądził o chorej ciotce czy babce, nie bardzo słuchałem, wrzeszcząc do telefonu, że nic mnie to nie obchodzi! – Ordynator i teraz krzyczał, chociaż Marty, ledwo przytomnej po całej dobie na oddziale, również to nie obchodziło. Ani ciotka, ani babka kolegi, ani wrzeszczący ordynator. Pragnęła wrócić do domu i paść na łóżko tak, jak stała. Nie potrzebowała ani kąpieli, ani kolacji, czy raczej śniadania, tylko snu.

Gdyby w tej chwili ktoś jej powiedział, że za kilka lat inna lekarka umrze z przemęczenia w szpitalu, na dyżurze, uwierzyłaby bez mrugnięcia okiem. Ona sama marzyła w tej chwili o śmierci. Bo oczywiście, zamiast po prostu wstać i wyjść, zaraz odpowie ordynatorowi:

– Dobrze, wezmę jeszcze tych osiem godzin.

Chociaż słowa te ledwo przejdą jej przez gardło, zaciśnięte z rozpacz i wściekłości, nie zostawi pacjentów bez opieki. Nie ma mowy. SOR szpitala dziecięcego musi działać i przyjmować chore maluchy.

Ludzie, słysząc o lekarzach pracujących po kilkadziesiąt godzin, odsądza ich od czci i wiary. „To pazerność. Konowały chcą się nachapać. Ciągłe im mało i mało. W dupach się przewraca z dobrobytu” – i po części mają rację, bo trafiają się w tym zawodzie, jak zresztą wszędzie, ludzie goniący za zyskiem. Tacy biorą wszystko, co wpadnie im w ręce, po parę etatów, zlecenia na kilka szpitali, do tego jeszcze jakiś dyżur i chałtura w przychodni... Potrafią tak lawirować, igrając z ludzkim życiem, ładnych parę lat, aż wreszcie się wypalają i trafiają na prowincję, wiodąc żywot

banity.

Ale są i lekarze z prawdziwego zdarzenia – jak Marta Kraszewska – którzy, myśląc tylko o pacjentach, zapominają o sobie. Nie zważają na notoryczny brak snu, mając za nic własne zdrowie. Nie dojadają, bo nawet na posiłek w szpitalnej stołówce często czasu brak. Domagający się wytchnienia organizm zmuszają do pracy kolejnymi hektolitrami czarnej kawy i cukierkami z glukozą.

Tacy lekarze ani się spostrzegą, jak zaczną być wykorzystywani przez kolegów i zwierzchników. Lekarze bezgranicznie oddani pacjentom nie odmówią przecież, gdy ordynator prosi o przyjęcie zastępstwa. Nie sprzeciwią się, gdy błaga ich o to koleżanka, której wypadło coś pilnego. Nie rzucą stanowczo: „Nic z tego, jestem zmęczona, mam wolne”, gdy szpital nawiedza niespodziewany kataklizm: epidemia grypy chociażby, który kładzie do łóżka nie tylko połowę personelu, ale i więcej pacjentów niż zwykle.

Marta Kraszewska była właśnie takim lekarzem. Z powołania.

Tamtego dnia jak zwykle nie potrafiła odmówić prośbie ordynatora. Nie umiała rzucić mu w twarz: „Niech pan sam włoży fartuch i przyjmie tych pacjentów”. Nawet nie przyszłoby jej to do głowy, choć powinno.

Ona poprosiła jedynie o pół godziny, by zdrzemnąć się, obudzić, wypić kolejnego szota mocnej jak diabli kawy, po czym wyprostować ramiona, przejść na SOR i z łagodnym uśmiechem, jak to ona, zająć się pierwszym pacjentem. Czteroletnim Maciusiem, który od wczoraj gorączkował.

Nie zapytała uprzejmie, dlaczego matka od razu nie poszła z dzieckiem do przychodni. Znała odpowiedź: na pogotowiu nie trzeba się zapisywać. Muszą przyjąć. Poza tym kto by z gorączką do lekarza od razu biegał, skoro szaleje grypa żołądkowa?

Marta zbadała dziecko dokładnie, chociaż jej umysł działał na

zwolnionych obrotach. Kawa jeszcze go nie obudziła...

– Prawdopodobnie to grypa – potwierdziła domysły matki. – Przepiszę syropek na obniżenie gorączki. Gdyby nastąpiło pogorszenie, proszę zgłosić się z dzieckiem do przychodni.

Gdy matka nazajutrz przybiegła z lejącym się przez ręce dzieckiem na ten sam oddział, było za późno. Lekarze walczyli o życie chłopczyka do końca. Zmarł wieczorem na ostre zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych.

– Objawy były niejednoznaczne – mówiła Marta sześć lat później martwym głosem do słuchającego jej w milczeniu Nataniela. – Koledzy, którzy próbowali ratować dziecko, potwierdzili to przed komisją. Chłopczyk nie miał wybroczyn, nie miał objawów oponowych. Nic. Tylko sporadyczne wymioty i temperaturę. Prawdopodobnie gorączkował dłużej, niż przyznawała matka, ale to nie miało znaczenia. Nie dla mnie. Zabiłam dziecko, chociaż nie postawiono mi zarzutów. Odeszłam ze szpitala na własną prośbę, mimo że ordynator sugerował urlop do czasu, aż sprawa przycichnie. Jednak fakt, że uniknęłam kary sądowej, nie sprawił, że czułam się mniej winna. Zabiłam dziecko, Nataniel. Z tą świadomością trudno żyć, a jeszcze trudniej przejść do porządku dziennego. Nie zrozumiesz mnie...

– Rozumiem – przerwał jej ostro. – Ja kiedyś też mogłem uratować ludzkie życie, ale popełniłem błąd. Ktoś przez ten błąd zginął, ja zostałem kaleką. Jak pani. Z tą niewielką różnicą, że pani fizycznie nic nie dolega. Możemy iść na to śniadanie czy tam obiad?

Wstał, nie patrząc na towarzyszkę. W tej chwili nie mógł znieść jej widoku, bo ujrzałby w oczach kobiety swoją własną rozpacz. I ciężar winy tak wielki, że zdawał się zgniatać cię jak insekta. Jeśli Marta Kraszewska czuła do siebie tę samą nienawiść i pogardę co Nataniel, mogli sobie podać ręce. On w swoich oczach był nikim. Nic niewartym wielkim zerem... Ktoś

jeszcze chce wiedzieć, dlaczego do tej pory nie znalazł sobie dziewczyny?

Musiała czytać w jego myślach, bo nie zachnęła się na ostre słowa chłopaka, tylko wstała i rzekła:

– Masz rację, chodźmy.

Połowa późnego śniadania upłynęła im w milczeniu. Nataniel, któremu złość minęła, zerkał ukradkiem na Martę, zastanawiając się: „Wybaczy mi ten wybuch czy nie?”. Prawdę mówiąc, zachował się podle i było mu wstyd.

Rozumiał przyjaciółkę – o ile Marta pozwoliłaby po tym, co powiedział, tak się nazywać – sam przecież popełnił błąd może nie podobny, lecz równie brzemienny w skutki. Mówił prawdę: sześć lat temu mógł uratować młodego człowieka. I prawdopodobnie by mu się udało, gdyby pomyślał choć przez chwilę i został na szlaku, zamiast rzucać się na pomoc komuś, komu pomoc nie mógł. Nastolatek, po którego zawrócił, może by żył, a jego matka nie rozpaczałaby po strasznym ciosie, jaki jej zadano. Śmierci dziecka.

Jednak stało się...

– Przepraszam – musiał się wreszcie odezwać. Nie znosił takiego milczenia. – Naprawdę przepraszam. Ktoś kiedyś powiedział, że w innych ludziach najbardziej nienawidzimy własnych wad, i to chyba prawda. Pani opowieść przypomniała mi moje błędy i... wiem, jak trudno z tym żyć, ale nie mogłem słuchać dalej. Powinienem postąpić jak przyjaciel. Może nie od razu rzucać się do przytulania, bo... nie śmiałbym, ale po prostu być przy pani. Być z panią. Ja postąpiłem jak parszywy gnojek, nie przyjaciel. Przepraszam.

Marta próbowała się uśmiechnąć.

– Daj spokój, Nat, nie gniewam się. Ja ledwo sobie radzę z tym wszystkim, a nie straciłam, dzięki Bogu, kogoś tak bliskiego jak matka, co więc musisz przeżywać ty? Naprawdę się nie gniewam. – Przechyliła się

ponad stołem i uścisnęła mu rękę. – Powinnam była pomyśleć dwa razy, zanim zaczęłam obarczać cię moimi wynurzeniami.

– Co to byłaby za przyjaźń, gdybyśmy oszczędzali sobie wynurzeń? – zauważył żartobliwie.

Przytaknęła.

– Wiesz, pomyślałam, że mleko się rozlało. I u ciebie, i u mnie. Możemy do końca świata nad tym biadolić albo przeciwnie: zrobić z tym coś pożytecznego.

– Biały ser albo maseczkę na twarz – odpowiedział.

Zaśmiała się z niedorzecznego pomysłu.

– Nat, bój się Boga, z rozlanego mleka?

– Rozlało się w przerośni – sprecyzował. W jego szarych oczach zamigotały isierki rozbawienia. – Twarożek czy maseczka będą równie wirtualne.

– To jest myśl! – Klasnęła w ręce. – Ja z błędu lekarskiego zrobię twarożek, ty ze swojego, może kiedyś mi zdradzisz co i jak, maseczkę!

Śmiech Marty był zaraźliwy. Musiał jej zawtórować.

– Co tu tak wesoło? – padło od drzwi.

To Mateusz stał w progu, patrząc na nich podejrzliwie.

– A wesoło! – odparła Marta. – Podrzucisz swój pomysł na rozlane mleko?

Mężczyzna nie zastanawiał się ani chwili.

– Reksio. Szmatą bym lepiej nie posprzątał niż on jęczorem.

To było fantastyczne! Biorąc pod uwagę kontekst – błąd lekarski Marty i zejście ze szlaku Nataniela – jęczor Reksia był... przezabawny.

– Czy wy aby się ze mnie nie nabijacie? – Mateusz, nie rozumiejąc tej niezwyklej wesołości, patrzył podejrzliwie to na jedno, to na drugie. – Nic

tam. Jak ci przejdzie, młody przyjacielu, będziesz mógł odebrać swoje autko.

Nataniel poderwał się z krzesła.

– Naprawił pan mojego opla?

– No ba! Nie tylko naprawiłem, ale gdy ty wylegiwałeś się w szpitalu, no dobra, już dobra, wiem, że kurowałeś się z obrażeń po bohaterskim uratowaniu Asi Jarząbek, nie tylko więc doprowadziłem tego rzęcha do porządku, ale... co ja ci będę opowiadał. Zabiorę cię do siebie, to sam ocenisz.

Nataniel porwał z oparcia krzesła kurtkę, gotów do drogi.

– Jedźmy. Dziękuję pani za poczęstunek. Nie wiem, czy zdołam się odwdzięczyć...

– Może jeszcze zaczniesz mi wciskać pieniądze?! Zrozum, że gdybym nie lubiła cię gościć, po prostu bym cię nie zapraszała! Ja też chcę zobaczyć to чудо. Jedziemy razem.

Zarzuciła na ramiona swój ulubiony kardigan i zdecydowanym krokiem ruszyła do drzwi. Obaj mężczyźni za nią.

Na widok opla – bo to chyba nadal był opel, ten sam, którym Nataniel przyjechał do Sennej – chłopakowi odebrało mowę.

Wóz wyglądał niezmiernie.

– J-jak pan to zrobił? – wyjąkał, obchodząc samochód dookoła.

Po pierwsze, ze zwykłego hatchbacka Mateusz stworzył cud-miód kabriolet. Lakier, jeszcze niedawno do znudzenia biały, połyskiwał teraz... właściwie nie wiadomo jaką barwą. W zależności od tego, pod jakim kątem się patrzyło, lśnił srebrem, błękitem lub morską zielenią.

– Jak pan to zrobił? – powtórzył Nataniel, jakby tylko to potrafił wyartykułować.

– Tajemnica zawodowa – odparł Mateusz dumny z wywołanego

wrażenia. – To specjalny rodzaj lakieru. Kameleon. Piekielnie trudny do nałożenia, jeśli autko ma wyglądać tak jak to, a nie badziewnie. Ale czego się nie robi dla sprawy...

– Fiu, fiu, fiu, skórzana tapicerka? Zaszalałeś, człeczku. – Marta również była zdziwiona.

– Wycygałem na szrocie, za pół ceny – odparł, uśmiechając się skromnie.

– Powiedziałabym, że to samochód Bonda, gdybym nie widziała go przedtem. I te światła... Jak ty to zrobiłeś?! Dospawałeś części z innych aut?

– Tak jakby. Nie pojmiecie tego. Jestem dobrym fachmanem.

– Najlepszym! – Nataniel mówił to zupełnie szczerze. Takiej metamorfozy zwykłego opla w życiu nie widział. – Skończyłem stronę dla pana, ale to nie wyrównuje rachunku. Proszę powiedzieć, ile jestem winien, a gdy tylko...

– Nic nie jesteś mi winien, chłopcze, i jeszcze raz wspomnisz o zapłacie, a pstryknę palcami i złoty sen zniknie. To znaczy Srebrna Błyskawica zamieni się z powrotem w dynię.

– Aaaa, to z dyni go wyczarowałeś – domyśliła się Marta.

Mateusz zaśmiał się tubalnie.

– A pod maską galopują myszki. Dzięki, moi drodzy, za uznanie. Jak myślicie, ile by za niego zaśpiewał?

– Hej, miało nie być mowy o zapłacie! – wykrzyknęła Marta, szczerze oburzona. – To twoje słowa sprzed dwóch sekund!

– Miła moja – mężczyzna otoczył ją ramieniem – nie pytam, ile Nat ma mi zapłacić, tylko za ile można Srebrną Błyskawicę opylić. Sprzedać.

– Przerobiłeś go tylko po to, żeby... – urwała. – Myślisz o tym samym,

co ja? – zapytała powoli, a jej oczy rozjaśnił blask.

Nataniel, nadal oszołomiony autkiem, nawet nie próbował za nimi nadążyć.

– Dokładnie. Sołtys chce sprzedać chatę nad jeziorem i sprzeda. Natanielowi. Chociaż jeszcze tydzień temu wolałby ją spalić, niż oddać obcemu. Ale uczynek naszego bohatera zmienił wszystko. – Poklepał chłopaka po plecach dłonią wielką jak patelnia. Wcale, ale to wcale nie przygiął mu tym kręgosłupa...

– Jednak wdzięczność sołtysów ma swoje granice, a są nimi pieniądze – dopowiedziała Marta. – Wiesz, drogi przyjacielu – teraz ona otoczyła ramieniem Mateusza – myślę, że Nat ledwo błysnie tym cudёнkiem sołtysom przed oczami i sami zaproponują deal.

– Przekonamy się? – Mężczyzna spojrział na Nataniela pytająco. – O ile zechcesz zamienić Błyskawicę na chatę. Po prawdzie taki miałem plan, biorąc na warsztat twojego rzęcha.

Chłopak... poczuł łzy w oczach po raz nie wiadomo który tego dnia. Nie wiedział, co odpowiedzieć. To znaczy wiedział, ale zabrakło słów, którymi mógł wyrazić to, co czuje.

– Nikt nigdy nie sprawił mi takiej radości jak państwo – odezwał się, gdy mógł już wykrztusić choć słowo. – Może mama albo babcia, one tak, ale nikt obcy... to znaczy żaden przyjaciel...

– Siadaj za kierownicą, chłopcze, bo zaczynasz plątać się w zeznaniach – uciał Mateusz, bo i jemu oczy podejrzenie zwilgotniały. – Ma wspomaganie i podrasowany silnik, jak szaleć, to szaleć. I ryczy jak na tygrysa szos przystało. Sołtysom się spodoba. Tydzień temu synalek rozbił im w proch jedyny samochód. Na ten rzucą się jak sępy. Daj czadu, Nat. Daj czadu...

Nie musiał długo prosić.



Samochód rzeczywiście gozdzien był nowej nazwy. Wystrzelił do przodu jak srebrna błyskawica, wzniecił tuman pyłu, wystraszył okoliczne ptactwo i tyle go widzieli.

– Ja na miejscu młodego chłopaka naprawdę miałabym dylemat: takie autko czy stara chałupa.

– A ja myślę, że Nat nie zawaha się ani chwili – odparł Mateusz i zmienił temat: – Dasz się zaprosić, moja duszko, na herbatę z sokiem malinowym? Zimnawo dzisiaj.

Nikt chyba już nie mówił do kobiet „moja duszko”. Mateusz Józwik był po staroświecku uroczy. Marta naprawdę uwielbiała swego sąsiada.

– Sok z zeszłorocznych malin. Leśnych? Czy, nie daj Boże, sklepowych? – Nie musiała pytać, ale bawiło ją święte oburzenie w głosie Mateusza, gdy odpowiadał:

– Oczywiście, że leśnych, własnoręcznie zbieranych! Ja i maliny z jakiegoś marketu?!

Zaśmiała się i weszła do Mateuszowej samotni.

Leśniczówka była tak stara, że widziała, jak z otaczających ją sadzonek wyrastają potężne świerki i sosny. Wnętrze było ciemne. Okna niewielkie. Ale rozjaśniały je przemyślnie ukryte lampy i ogień w kominku. Królowało drewno, którym obito ściany, sufity i podłogi. Pejzaże, malowane ręką gospodarza, do czego by się zapewne nie przyznał, zdobiły każdy pokój, kuchnię zresztą też. Było tu ciepło i przytulnie. Marta lubiła ten dom równie mocno jak zamieszkującego go mężczyznę.

Za każdy razem, przekraczając próg leśniczówki, zastanawiała się również, dlaczego ten dobry, pogodny i serdeczny człowiek jest sam. Przecież każda kobieta chciałaby gospodarzyć w takim domu u boku takiego mężczyzny. Mateusz Józwik może nie był piękny jak z obrazka, ale wysoki,

dobrze zbudowany, o przyjemnej męskiej twarzy, z gniazdem ciemnych włosów i krótko przystrzyżoną brodą naprawdę mógł się podobać.

– Przyglądasz mi się, droga przyjaciółko, jakbyś snuła nieczne plany co do mojej osoby – zauważył.

Marta zaczerwieniła się. Uciekła wzrokiem.

– Ostatnio tak na mnie patrzyłaś, jak próbowałaś mnie swatać z tutejszymi kobitami. Oceniałaś moje szanse, pamiętasz te słowa?

– Do końca świata będziesz mi je wypominał?

– Może nie aż tyle, lecz jeszcze przez jakiś czas. – Uśmiechnął się od ucha do ucha, widząc jej zmieszanie. – Znów będziesz mi jakąś raila?

Postawił przed nią kubek z aromatycznym gorącym płynem i sam usiadł naprzeciw niej.

– O nie, nie! Poczekam, aż mnie o to poprosisz.

– O co, złotko? – droczył się z Martą dla czystej przyjemności. Czasem miała poczucie humoru, czasami nie.

– O rękę – prychnęła rozzłoszczona.

– Mogę w tej chwili! – Zaczął się podnosić, ale Marta pokręciła głową.

– Nie żartuj sobie ze mnie tak okrutnie. Przecież wiem, że kochasz inną.

Nie znam jej imienia...

– Kiedyś poznasz. – Mężczyzna nagle spoważniał.

– Serio? Naprawdę kogoś masz? – ucieszyła się.

Zbył jej pytania, upijając łyk herbaty.

– Zdradzisz mi, przyjaciółko, dlaczego tak bardzo zależy ci na zatrzymaniu Nataniela w Sennej?

– Tobie owszem. Mam co do niego pewne plany.

Uniósł pytająco brwi, ale Marta uznała widać, że to wystarczy, bo zamiast zaspokoić ciekawość swego towarzysza, jak gdyby nigdy nic zajęła się

popijaniem herbaty.

– Nie znasz tego chłopaka – zauważył.

– Jestem dobrym psychologiem. Potrafię oceniać ludzi od jednego spojrzenia.

– Z Siergiejem ci ta sztuczka nie wyszła. – Nie mógł się powstrzymać od tej drobnej złośliwości.

Marta, do tej pory uśmiechnięta, nagle straciła humor.

Mateusz miał rację. Nie poznała się na Sodarowie. Przynajmniej nie tak szybko. Gdy odkryła jego prawdziwą naturę, było za późno. Siergiejowi spodobało się w Sennej do tego stopnia, że postanowił się tu osiedlić. Od tej pory mieli z nim same kłopoty, a Marta... ona żałowała swej wielkoduszności najbardziej. Zauroczył ją ten mężczyzna, tak po prostu. Czar jednak szybko prysł...

– Masz rację – przyznała niechętnie. – Mogę tylko mieć nadzieję, że Nataniel jest taki, jakim chciałabym go widzieć.

– To, moja duszko, jak chcesz widzieć ludzi, nie ma nic do rzeczy – zauważył łagodnie. – Jesteśmy zwykłymi śmiertelnikami. Trudno wpasować się w ramy twoich wyobrażeń.

– Tobie się to udaje – odparła bez cienia ironii. – Jesteś dokładnie taki, na jakiego wyglądasz: prawy, dobry człowiek. Wspaniały przyjaciel. Niezawodny. Godny szacunku i... – Tu się z lekka zawahała, lecz uczciwie dokończyła: – I miłości.

A on doskonale wiedział, że nie o takiej miłości mógł marzyć mężczyzna, który pokochał Martę Kraszewską. Nie o takiej...

– Nataniel to taka dobra dusza, taki... pocziwina. Zupełnie jak ty. I proszę mi się tu nie obruszać! Życzyłabym go każdej normalnej dziewczynie. Nie wiem, czy masz tego świadomość, ale może my, kobiety,

kochamy się w Bohunach o gorącym sercu i dzikiej duszy, lecz bierzemy za mężów takich Skrzetuskich.

– I ja mam się nie czuć obrażony?!

– Czym? Porównaniem do Skrzetuskiego? Mateuszu drogi, to naprawdę jest komplement! Zobacz, jacy wy jesteście: przez pół życia uganiacie się za ognistymi brunetkami i piersiastymi blondynami, a gdy przychodzi co do czego, żenicie się z szarymi myszkami. I to nie jest dla mnie komplement.

Mógł wtrącić, że akurat Marta nie musi się martwić takim porównaniem, bo żaden facet nie nazwałby jej szarą myszą, ale wolał zatrzymać to dla siebie. I tak czytała w nim jak w otwartej książce. A może nie? Może tak pewna swojej intuicji i jego przyjaźni, „tylko przyjaźni”, nie widziała, co naprawdę do niej czuje?

– Jakie więc masz plany względem chłopaka? Z kim jego będziesz swatać? – gładko powrócił do Nataniela.

– Dlaczego od razu swatać? – zachnęła się.

– Wy, kobiety, to uwielbiacie! Co napotkacie samotnego faceta, od razu chcecie go obrączkować. Którą sobie upatrzyłaś? Asię Jarząbek?

– Może... może... – Pokiwała w zamyśleniu głową.

– To się pospiesz, bo wczoraj podpity Wiesiek Sidło przebąkiwał coś o kruchym życiu. Zdaje się, że chcą ożenić tego nicponia, Mareczka, gdy tylko wyliże się z ran. Że też tacy wychodzą bez szwanku z najgorszych tarapatów, a porządnych ludzi zaraz licho porywa.

– Skoro są porządni, to nie licho – zauważyła przytomnie. – I czy Sidło junior wyszedł z wypadku bez szwanku, również bym polemizowała. Ma rozbity łeb, szwy przez pół twarzy, ledwo z życiem uszedł...

– Łeb się zagoi, blizny przydadzą mu męskości. Inny by się nie uchował, ten za kilka dni czy tygodni wyjdzie ze szpitala i znów będzie się po okolicznych drogach rozbijał, aż wreszcie kogoś Bogu ducha winnego do

piachu pośle razem z rodziną.

– Może to, co zrobił, i jak blisko był śmierci, da mu do myślenia. Gdy zajrzałam do niego przed wyjściem ze szpitala, zdawał się dziwnie pokorny.

– A Joasia? Jej bardziej mi szkoda.

– Samochód lekko obróciło i uderzył w drzewo prawym bokiem. Dziewczyna doznała złamania kości ramiennej i obojczykowej, a także zwichnięcia...

– Przybastuj, kochana, z tą swoją medyczną gadką. Rękę ma połamaną, to mi wystarczy. Złożyli jej te kości do kupy?

– Złożyli. Widziałam rentgen. Dobrze to wygląda.

– Kaźmirz Jarząbek postarzał się w ciągu tego tygodnia o ładnych parę latek – mruknął. – Szkoda człeka. Dziewczyny dla sołtysiaków też szkoda. Dobrze ułożona była. Cicha, niegłupia, ojca szanowała. Dopiero ten chłystek zawrócił jej w głowie. Skarania na Mareczka Sidłę nie ma... Taki Nataniel byłby darem z nieba. Dla Jarząbków. Bo sołtysiaki chyba psami by go poszczuli, jakby dziewczynę jednokowi odbił.

– I sobie, nieco przydługo, odpowiedziałeś – skwitowała Marta. – Natanielowi pisana jest inna.

– Znam ją?

– Znasz. Niezbyt dobrze, ale znasz – odparła, uśmiechając się smutno.

Mateusz nagle zrozumiał. Brwi znów podleciały w górę.

– Tak to sobie wykoncypowałaś... Będziesz miała czas, duuużo czasu, by się chłopakowi przyjrzeć, ocenić, czy nadaje się na zięcia czy nie. Sprytna bestyjka z ciebie, Martusiu, bardzo sprytna.

– Gdybym była taka sprytna, przyjacielu, nie potrzebowałabym żadnych forteli, moja córka miałaby już narzeczonego, a może i męża, że o dzieciach nie wspomnę, a przede wszystkim nie darzyłyby mnie taką nienawiścią, jaką

darzy. Ja jednak nie jestem nawet na tyle sprytna, by znać powód tej nienawiści.

– Co by dało, gdybyś go znała? – Mateusz wzruszył ramionami. Ludzka nienawiść jest jak płomień. Potrafi pojawić się znikąd i pochłonąć wszystkie inne uczucia.

– Może odzyskałabym miłość córki – wyszeptała Marta.

Tyle razy zastanawiała się, co sprawiło, że jej cudowna, kochana i kochająca Oliwka zmieniła się w obcą osobę, pogardzającą matką z całego serca i tak samo jej nienawidzącą. Jakby na wycieczce, wyproszonej i wyczekiwanej, ktoś jej podmienił dziecko. Tyle razy próbowała rozmawiać z córką, wyciągnąć z Oliwii, co się wydarzyło z dala od domu, że wróciła tak odmieniona...

Któryś z chłopców złamał jej serce?

„Nie!”

Pokłóciła się z przyjaciółką?

„Daj mi spokój!”

Źle się czuje?

„Po prostu wyjdź!”

To było wszystko, co Marta dowiedziała się na temat wyjazdu. Przez jakiś czas bała się, że ktoś skrzywdził jej córkę, ale ginekolog, do którego razem z Oliwią chodziły, zapewnił Martę, że nic takiego się nie wydarzyło. Oliwka, jej osiemnastoletnia jedynaczka, pozostała dziewicą.

Wtedy jeszcze.

Czy dziś miała chłopaka? Był ktoś bliski jej sercu? Marta nie wiedziała. Oliwia nie rozmawiała z nią na takie tematy. Na żadne inne również nie. Potem wyjechała za granicę i to był koniec rodziny Kraszewskich. Od czasu do czasu przysyłała zdawkową wiadomość: „U mnie okej. Co u ciebie?”, ale nie odpowiadała na esemesy matki. I tak naprawdę nie interesowało jej, co

u Marty słychać. Strasznie to było bolesne...

– Ej, Martuś, nie smuć się. – Mateusz, widząc łzy w oczach przyjaciółki, sięgnął przez stół po jej dłoń i uścisnął. – Dzieci zawsze wracają do domu. Zawsze! To twoje słowa, pamiętasz?

Czy mogła przyznać, że się myliła?

Czy mogła pogodzić się z porażką?

– Być może moje własne dziecko jest wyjątkiem potwierdzającym tę regułę – próbowała zażartować, ale marnie jej to wyszło. Smutek po prostu zalewał jej duszę falą gorzkości i niezrozumienia. Nie pojmowała, za co została tak ukarana. Może za tego chłopczyka, który zmarł z winy Marty? Jej córka przynajmniej żyje. Tamta matka nie miała tyle szczęścia, czy raczej miała nieszczęście trafić na niekompetentną lekarzkę.

Tak, to była kara za cierpienie innej matki. Marta mogła jedynie przyjąć to z pokorą i przez resztę życia próbować odkupić winy. Oliwia miała prawo czuć się rozczarowana kimś takim jak ona. Przez lata całe była wzorem dla córki, niedoścignionym. Ile razy powtarzała: „Ja w twoim wieku...”, „Ja w szkole...”, „Ja w liceum...”. Zawsze pierwsza, najlepsza, z piątkami od góry do dołu na szkolnych świadectwach. Jakie dziecko wytrzymałoby ciągle porównania z ideałem? I to takim, co w jednej chwili rozbił się o bruk?

– Nigdy nie zapomnę, jak Oliwia wykrzyczała, co o mnie myśli. Nigdy przedtem nie widziałam jej w takiej furii – wyszeptała wpatrzona w kubek z herbatą.

Zapomniała o cichej obecności przyjaciela, zapomniała, gdzie się znajduje. Była teraz w swoim domu na Marymoncie, zapłakana, załamana, wrak człowieka. Lekarz, który zabił pacjenta... I wykrzywiona nienawiścią twarz córki, od której oczekiwała, jeśli nie zrozumienia, to chociaż odrobiny współczucia...

Nic z tego.

Padły wtedy straszne słowa. Z obu stron.

Marta wyrzuciła je z pamięci w momencie, w którym Oliwia wybiegła z domu. Przerażona do granic, że córka zrobi sobie coś strasznego, biegła za nią, prosząc o wybaczenie. Oliwia słów, które padły z ust matki, nie wybaczyła widać nigdy.

– Muszę wracać. – Marta podniosła się osłabła z żalu.

Mateusz bez słowa, bo co mogło ukoić taką rozpacz?, podał jej kardigan.

– Mam do ciebie prośbę, przyjaciółko – odezwał się, gdy już stała na progu.

Obejrzała się nań niechętnie. Marzyła tylko o tym, by zaszyć się w swoim domu i nie wychodzić dotąd, aż wypłacze żal, a ból zelżeje choć trochę.

– Pozostaw sprawy samym sobie, mówię o Natanielu. I... uważaj na Sodarowa. Nie igraj z ogniem. Nie prowokuj go do... niegodziwych czynów. Akurat tobie nie muszę mówić, że to niebezpieczny typ.

Chciała się oburzyć. Chciała odpowiedzieć, że nie prowokuje Siergieja do jakichkolwiek czynów i nie bawi się w żadne gierki, na Boga!, ale kiwnęła jedynie głową, zobojętniała na wszystko, i wyszła.

Mateusz ze smutkiem odprowadził przyjaciółkę wzrokiem. Jakże pragnął utulić ją w ramionach, ukochać, ukołysać. Sprawić, by smutek poszedł precz, a zastąpiła go radość... Ale Marta Kraszewska nie chciała jego ramion i tulenia. Może innych tak, ale nie Mateusza.

---

\*\* <http://warszawa.wyborcza.pl/warszawa/1,34862,20253573,reprywatyzacja-w-warszawie-roszczenia-za-50-zl-sad-nie-kupil.html>

\*\*\* [https://pl.wikipedia.org/wiki/Jolanta\\_Brzeska](https://pl.wikipedia.org/wiki/Jolanta_Brzeska)



## ROZDZIAŁ X

**P**rzed wiejskim sklepikiem, pod który Nataniel podjechał swą srebrną strzałą, siedziało na ławce kilku miejscowych z butelkami piwa czy taniego wina w rękach. Na widok lśniącego nowością kabrioletu z młodym, jasnowłosym mężczyzną za kierownicą ich twarze natychmiast stężały. Rozmowy o niczym umilkły. Patrzyli wilkiem, jak Nataniel gasi silnik, wyciąga kluczyki ze stacyjki, otwiera drzwi, wysiada i...

– To ten kuternoga! – wykrzyknął któryś.

Chłopak poczerwieniał z przykrości, ale nie na długo.

Jeden z mężczyzn poderwał się, podszedł doń, upewnił się: „Ty wyciągnąłeś Asię Jarząbek z rozbitego auta?” – a słysząc potwierdzenie, złapał chłopaka w ramiona i wyściskał.

Puścił go w następnej chwili, otarł zwilgotniałe oczy i rzekł:

– Jestem Kaźmirz. Kaźmirz Jarząbek. Ociec Joasi. Dzięki, chłopcze drogi, za uratowanie mojej córki. Bóg ci to wynagrodzi.

Nataniel uśmiechnął się zmieszany.

– Każdy zrobiłby to samo – odparł, święcie w to wierząc. – Ja dziękuję za porządkę w chacie. Pięknie tam teraz.

– Nic to, drobiazg. – Starszy mężczyzna machnął ręką. – Napijesz się z nami? Przedstawię kamratów...

– Prowadzę.

– Ano tak. Poznaj więc... – Tu pan Kazimierz wymienił imiona trzech towarzyszy, o niebo przychylniejszych chłopakowi niż jeszcze chwilę wcześniej.

Nagle drzwi sklepiku otworzyły się i wytoczył się przez nie czwarty z kompanii. Mimo wczesnej pory już podpity, z ośmiopakim piwa pod pachą. Zmierzył nieznanego odpychającym spojrzeniem.

– Wiechu, to Nataniel! – Jarząbek lekko pchnął chłopaka w stronę tamtego. – Nasz bohater! Uratował moją dziewczuchę. Gdyby nie on, spaliłaby się żywcem w tym twoim gracie. Uratował ją, rozumiesz?

Tamten odstawił piwo na ławkę, podszedł do chłopaka i zmiażdżył mu dłoń w uścisku, klepiąc dodatkowo po ramieniu z taką siłą, jakby chciał go uderzyć, a nie przywitać po przyjacielsku. Może zresztą tak było.

– Dobra robota, chłopcze, dobra robota. Masz u mnie dług wdzięczności, bo to moja przyszła synowa. Proś, jakby czegoś ci było...

Urwał, bo jego szkliste od nadmiaru alkoholu, czerwone jak u królika oczy napotkały śliczny, mieniący się srebrem, błękitem i szmaragdem kabriolecik i natychmiast rozbłysła w nich zawiść. I chciwość. Puścił dłoń Nataniela, który przez cały ten czas nie wiedział, czy cieszyć się z nagłej popularności wśród miejscowych, czy nieco się jej obawiać, podszedł do samochodu i zaczął go oglądać bez słowa, z marsem na czole, a to kopiąc w koło, a to rysując brudnym paznokciem po karoserii, żeby sprawdzić jakość lakieru, a to zaglądną do środka.

– Można? – zapytał i nie czekając na odpowiedź, siadł za kierownicą, moszcząc się w wygodnym skórzanym fotelu. – Dasz się przejechać, chłopcze? – Wyciągnął dłoń po kluczyki nagłym gestem, ale Nataniel pokręcił głową.

– Sam jeszcze nie nacieszyłem się tym cudem – odparł wymijająco.

Nie mógł robić sobie w sołtysie wroga, mówiąc, że podpitym gościom samochodu nie użycza. Ten zrozumiał i docenił, że młody człowiek nie skompromitował go przed sąsiadami. Wiesiek Sidło może był pijakiem i brutalem, ale nie głupkiem.

– To wsiadaj, przyjacielu! – Ustąpił Natanielowi miejsca. – Poprowadzisz!

Tym razem nie mógł odmówić. Gdyby powiedział „nie”, w tej wsi nie miałby czego szukać. A na pewno nie domu nad jeziorem.

Ruszył całą mocą koni ukrytych przez Mateusza pod maską kabrioletu. Opony zapuszczają na asfalcie, samochód wyrwał przed siebie. Sołtys uśmiechnął się z aprobatą.

Zatrzymali się dopiero pod chatą, bo dokładnie tam Nataniel chciał się rozmówić z jej właścicielem.

– Widziałem, co się stało tydzień temu na drodze – zaczął chłopak, patrząc przed siebie, na wody cichego jeziora. – Byłem świadkiem tego wypadku od pierwszej do ostatniej sekundy. – Sołtys milczał zaszepcony. – Kierowca, za nic sobie mając podwójne ciągłe, wyprzedzał na niebezpiecznym zakręcie. Jechał szybko. O wiele za szybko. Wypadł wprost pod nadjeżdżającego tira. Ratując się przed zderzeniem, odbił na pobocze po przeciwnej stronie, obróciło go i uderzył w drzewo po stronie pasażera. Nie wiem, jakim cudem dziewczyna uszła z życiem...

Musiał wziąć głęboki oddech, bo wydarzenia następnych sekund stanęły mu przed oczami jak żywe.

– Samochód zaczął dymić. Lada moment mógł nastąpić wybuch. Kierowca tira, mimo zagrożenia, zaczął wyciągać z wraku pana syna, ja nieprzytomną dziewczynę. Gdyby nam się nie udało, pan, sołtysie, byłby ojcem mordercy trzech niewinnych osób.

Zapadła cisza. Tamten patrzył nieruchomym wzrokiem przed siebie.

– Pan i pana syn macie cholerne szczęście. Wszyscy wyszliśmy z tego cało – dokończył Nataniel lekkim tonem.

Jego towarzysz zamrugał. Odetchnął jak obudzony z koszmarnego snu.

– Marek mówił, że tirowiec zepchnął go do rowu – mruknął.

– Policja powie panu coś zupełnie innego. I wcale nie muszą ciągać mnie jako świadka, chociaż pewnie nie uniknę tej wątpliwej przyjemności. Ślady na asfalcie wyśpiewają prawdę.

– Skuję mu tę kłamliwą gębę, gdy tylko wyjdzie ze szpitala. – Sołtys aż pięści zacisnął z furii. I ze wstydu. Mieć syna bandytę? Żaden to powód do dumy...

– Na szczęście wszyscy żyją – powtórzył Nataniel. – Chciałem jedynie, by usłyszał pan o tym, co się stało, ode mnie. Może pana syn, gdy odzyska prawo jazdy, nie zabije nikogo w następnym wypadku.

– Nie pozwolę gówniarzowi sięść za kółkiem!

– Gówniarz jest pełnoletni – zauważył Nataniel, zdziwiony, skąd bierze śmiałość na tę rozmowę.

– Pogadam z nim. Pogadam po męsku. – Sołtys nie rozwarł pięści. Gdyby miał przed sobą syna, a nie obcego, obiłby mu gębę.

Siedzieli długie chwile w ciszy tak gęstej, że dobry nóż i można ją kroić niczym urodzinowy tort.

– Dzięki, chłopcze, że uratowałaś Aśkę. – Sołtys przerwał ciężące mu coraz bardziej milczenie. – Miałem rozmówić się z Kraszewską, czemu to bez mojej wiedzy i zgody wynajęła ci tę chałupę, ale dobrze zrobiła. Zamiast tego i jej podziękuję. A ty możesz tu mieszkać, dopóki nie trafi się dobry kupiec.

O, teraz trzeba dyplomatycznie. Nie pokazując po sobie, jak bardzo ci zależy na tym domu.

– Podoba mi się tutaj. Ile pan za nią chce? – zapytał Nataniel od niechcena.

Tamten rzucił mu kose spojrzenie.

– A ile byś dał?

– Bogaty nie jestem – odparł powoli młody mężczyzna, który w targowaniu się nie miał żadnych, ale to kompletnie żadnych doświadczeń. – Właściwie, oprócz samochodu, nie mam nic. Niepotrzebnie zwracam panu głowę.

Przekręcił kluczyk w stacyjce. Kabriolet odezwał się niskim, miłym dla męskich uszu pomrukiem.

– Podrzucić pana do wsi? Chciałem jeszcze dziś podjechać do komisju pohandlować tym cudem.

To przeważało szalę.

– Zaczekaj – odezwał się sołtys. – Dogadamy się. Co będziesz po komisjach jeździł. Te złodzieje okradną cię z ostatniej złotówki. Dasz samochód za ten dom?

– Dam – odparł chłopak bez namysłu.

Mężczyzna wyciągnął do niego rękę:

– Jest twój. Załatwiał notariusza.

Przybili.

– To co, jesteście kwita? – zapytał mężczyzna, przytrzymując dłoń Nataniela w silnym uścisku.

Chłopak od razu się nastroszył.

– Jeżeli mam składać fałszywe zeznania, to...

– Zeznawaj, jak chcesz. Marek i tak nie dostanie więcej jak rok czy dwa w zawiasach, a pewnie i to nie. Ale masz tyle honoru, by nie ciągać nas po sądach o odszkodowania?

Nataniel pokręcił głową, oddychając z ulgą w głębi ducha.

– Witaj więc w Sennej, chłopcze. – Wreszcie na surowe oblicze mężczyzny wypłynął uśmiech. Był daleki od serdecznych gestów Mateusza czy Marty, ale Natanielowi przyjaźń sołtysa nie była potrzebna do szczęścia.

Wystarczyło, by nikt się go nie czepiał, żeby pozwolili mu spokojnie tutaj mieszkać.

## ROZDZIAŁ XI

**D**wa dni później podwieziony pod dwór nie swoim już samochodem odczekał, aż sołtys odjedzie, po czym wykrzyknął do spieszącej ku niemu kobiety, wymachując aktem notarialnym:

– Pani Marto, mam! Dom jest mój!

Chwyliła go w objęcia, ucałowała, wyściskała, ciesząc się jego radością.

– Tylko czym ty, biedaku, będziesz dojeżdżał? – zafrasowała się w następnej chwili, patrząc na jego niepełnosprawną nogę. Wiedziała, że długie wędrówki do sklepu czy przystanku PKS są ponad jego siły.

– Dam radę. – Machnął ręką z udaną nonszalancją.

– Ze skuterem poradziłyś sobie? Stoi u mnie w szopce nieużywany...

Pociągnęła chłopaka za sobą i oto kwadrans później uczył się jazdy jednośladem.

– Kupiłam go wieki temu, z myślą o... niezmotoryzowanych gościach. Tych jednak nie widać, a dla ciebie na początek będzie jak znalazł.

Oczy chłopaka błyszczały taką radością, aż ciepło się na sercu robiło.

– Będę o niego dbał – przyrzekł. – A gdy zarobię, odkupię go od pani.

– Niech ci dobrze służy, Nat – odpowiedziała tylko, naprawdę wzruszona. Żeby inni okazywali taką wdzięczność za wszystko, co dla nich robimy...

– Co to ja widzę! – rozległ się nagle tubalny głos Mateusza. – Zamienił stryjek kabriolet na... to coś. – Jak na rasowego wielbiciela motoryzacji przystało, Mateusz pogardzał wszystkim, co nie ma czterech kółek.

– Przecież musi się jakoś poruszać. – Marta natychmiast wzięła chłopaka w obronę.

– Wyfasowałbym mu przecież niedrogie autko, gdyby rzekł choć słowo.

– Panie Mateuszu, ja naprawdę nie mam już ani grosza – wtrącił chłopak. – O chlebie i wodzie będę teraz żył, dopóki jakaś dobra dusza nie zleci mi roboty.

– Z głodu umrzeć ci nie damy. Spokojna głowa. Ale o robotę sam się musisz wystarać. Na komputerach to ja się nie wyznaję. – Mężczyzna z zafrasowaniem pokręcił głową.

– Napiszę do paru wydawnictw i czasopism, z którymi współpracowałem przed śmiercią mamy, że wróciłem do gry. Może będą coś dla mnie mieli – uspokoił go Nataniel.

Był cenionym grafikiem. Utalentowanym, pracowitym, a przede wszystkim dyspozycyjnym – można było na niego liczyć, gdy potrzebowano czegoś na wczoraj. Tak. Nie powinien mieć kłopotów z powrotem do branży, szczególnie teraz, gdy znów chciało mu się pracować. Chciało się żyć.

Pożegnał się z przyjaciółmi, bo spieszno mu było z szukaniem pracy już dziś.

Odprowadzili go do drogi skracającej ku szosie i zawrócili do dworu.

– Mam kłopot, Marta – zaczął Mateusz poważnym tonem.

Ona, jeszcze przed chwilą uśmiechnięta, poczuła niepokój. I słusznie.

– On znów to zrobił – rzucił mężczyzna. – Weź swoją magiczną walizczkę i chodźmy.

Skinęła głową, pochmurniejąc coraz bardziej, i ruszyła szybkim krokiem ku domowi. Po chwili wróciła z torbą lekarską.

– Weźmy mój samochód, będzie szybciej. – Kliknęła pilotem w kierunku nissana stojącego na podjeździe za domem.

– Ja bym się tam nie spieszył – mruknął Mateusz, sadowiąc się na siedzeniu pasażera. – Niech cierpi, sobaka.



Marta rzuciła mu potępiające spojrzenie.

– Może nie jest najlepszym człowiekiem, jaki chodzi po tej ziemi, ale to mimo wszystko człowiek – ucięła stanowczo.

Kwadrans później zatrzymała samochód pod leśniczówką.

– Gdzie on jest? – zwróciła się do Mateusza. – U ciebie w domu?

Pokręcił głową.

– Powłókł się do szałas. Prosił, żeby nie mówić policji.

– Nic nowego – prychnęła lekarka, coraz bardziej zła. – Co tym razem? Kłusował?

– On nie kłusuje – odparł Mateusz podobnym tonem.

Dlaczego tych dwoje dobrych, porządnych ludzi ratowało w tajemnicy przed władzami przestępcę, było dla nich obojga zagadką. Ale czynili to nie pierwszy raz.

Spiesznie ruszyli ścieżką prowadzącą głęboko w las. Po kilku minutach ukazała się ich oczom ukryta w leśnej gęstwinie prosta chata. Szalas, jak mówił na nią Mateusz. Używali jej pracownicy leśni, gdy dopadł ich deszcz, i... ci wszyscy, którzy w lesie znaleźć się nie powinni.

Marta, pochylając się w niskich drzwiach, weszła do środka. Na barłogu ze szmat i zbutwiałych liści siedział oparty o ścianę Siergiej Sodarow. Twarz miał pobladłą, szczęki zaciśnięte, oczy błyszczały w półmroku z gorączki. Dłoń zaciskał na ramieniu. Przez palce sączyła się krew.

Kobieta przewróciła oczami, klękając przy nim.

– Czy ty nigdy nie przestaniesz? – zapytała z gniewem, nie oczekując odpowiedzi.

– Przepraszam – rzucił bez krzty pokory.

– Weź tę rękę. – Bezceremonialnie odtrąciła jego dłoń zaciśniętą na ranie

i aż syknęła, widząc szerokie cięcie o gładkich brzegach. – Tym razem poszło na noże, co? – domyśliła się.

Nonszalancko wzruszył ramionami i z gardła wyrwał mu się mimowolny jęk. Bolało.

– I bardzo ci tak dobrze – skwitowała kobieta bez odrobiny współczucia. – Wyjdź na zewnątrz. Po ciemku ci tego nie zszyję.

Mateusz podparł tamtego pod ramię, pomógł wyjść z szałasu i posadził na progu, opierając Siergieja o ścianę.

– Będę szyła bez znieczulenia, ale o tym już wiesz – odezwała się Marta, zła jak wszyscy diabli.

Pracując w szpitalu, niosła pomoc wszystkim, i bogatym, i bezdomnym. W jej oczach każdy był tak samo godzien współczucia i zasługiwał na najlepsze traktowanie. W przypadku Siergieja nie było mowy o litości. Ten typ spod ciemnej gwiazdy wdawał się w niezgodne z prawem awantury. Prosił ich – ją i Mateusza – o pomoc tylko dlatego, że w szpitalu zadawano by niewygodne pytania, a ranę od noża czy kuli zgłaszano na policję. Tak po prostu. Bogiem a prawdą, Marta powinna uczynić to samo, jednak oboje – i ona, i Sodarow – wiedzieli, że tego nie robi.

Rozpięła guziki jego koszuli, odsłaniając muskularną, śniadą pierś, pokrytą czarnym zarostem. Lekce sobie ważąc ból, jaki sprawia mężczyźnie, ściągnęła ją z zakrwawionego ramienia i odrzuciła na bok. Krew popłynęła obfitą strugą z przeciętych tkanek.

– To ja już pójdę – odezwał się Mateusz, przelękając głośno. Nie znosił takiego widoku.

– Pozbądź się tego. – Marta wskazała zakrwawioną koszulę. Skinął tylko głową i zniknął.

Zostali sami.

Wyciągnęła z torby kompresy, bandaże i skrzyneczkę z narzędziami.

Butelkę z płynem odkażającym i paczuszkę nici chirurgicznych. Odkręciła korek. Ostra woń alkoholu sprawiła, że Siergiej ponownie zacisnął szczęki, wiedząc, co go czeka.

– Jeśli zemdlejesz...

– Wytrzymam – warknął.

Chlusnęła jodyną na ranę. Zgrzytnął zębami i pobladł śmiertelnie, gdy alkohol wgryzł się w żywą ranę, ale wytrzymał.

Skrupulatnie przetała rozcięcie jałowym gazikiem, z rozmysłem zadając Siergiejowi jeszcze większe cierpienie. Bardzo dobrze. Niech cierpi. Może następnym razem pomyśli, zanim sięgnie po nóż, i uczyni z niej, Marty Kraszewskiej, współwinną tego, co zrobił.

Wyjęła zakrzywioną igłę i powoli, torturując rannego tym widokiem, naciągnęła mocną nić.

– No. A teraz, człowieku, ani piśnij. – Spojrzała mężczyźnie prosto w oczy i wbiła igłę w jego ramię.

Drgnął jak śmiertelnie porażony, ale nawet nie jęknął. Marta wiedziała, że jest twardym facetem. Od ich pierwszego spotkania to wiedziała.

– Tak się poznaliśmy, pamiętasz? – odezwał się, gdy dała mu na chwilę odetchnąć, nawlekając nową nić.

Nie odpowiedziała.

– Już wtedy mnie znienawidziłaś...

– Pochlebiasz sobie. Ani cię nie nienawidzę, ani nie darzę przyjaźnią. Jesteś mi doskonale obojętny.

Te słowa bolały bardziej niż przyznanie racji.

– Dlaczego? Nie wyrządziłem ci żadnej krzywdy...

– Siergiej, nigdy nie pytałam, czym się właściwie zajmujesz. – Marta, odgarniając z policzka włosy, spojrzała mężczyźnie prosto w oczy. – Nie

wiem i nie chcę wiedzieć, czy jesteś szefem mafii czy zwykłym przemytnikiem. Nie obchodzi mnie, czy szmuglujesz przez granicę broń czy narkotyki. Wtedy, sześć lat temu, ledwie tu zamieszkałam, Mateusz przyniósł cię nieprzytomnego do mojego domu, ja bez słowa wyjęłam kulę z twojego ramienia, zszyłam i zabandażowałam, bo tego wymagał lekarski obowiązek. Wiesz dobrze, że powinnam była zgłosić ranę postrzałową policji, jednak... co zrobiłeś z wdzięczności? Mam ci przypomnieć?

Milczał, znosząc wściekłe szarpnięcia wiązanych na ranie nici.

– Zagroziłeś, że spalisz mi dwór, jeśli pisnę choć słowo gliniarzom. Tak się odplaciłeś lekarce, która opatrzyła twoje rany.

– Nie byłem wtedy sobą.

– Och, jak najbardziej byłeś! I nie przestałeś być sobą aż do dziś! Napadasz mnie w lesie, mało nie zabijasz mojego przyjaciela, który nic, nic, ty bydlaku! – dźgnęła go palcem w pierś, doprowadzona do furii – ci nie zrobił! Taka to twoja natura.

Odcięła nić przy ostatnim szwie. Ponownie przemyśla ranę jodyną i sięgnęła po bandaż. Skończyła w parę chwil, po czym raz jeszcze uniosła na niego spojrzenie.

– Czego ty ode mnie chcesz, Siergiej? Co mam zrobić, byś dał mi spokój? Naprawdę tak ci zależy na szybkim numerku z panią doktor? Jeśli ci się oddam, pójdziesz w cholerę?

Chwycił ją za ramiona tak nagle i tak silnie, że krzyknęła z zaskoczenia.

– Myślisz, że o to mi chodzi? Rozłożysz nogi, dasz się przerznąć, modląc się za Anglię, i to mi wystarczy? – Potrząsnął kobietą, aż spięte włosy rozsypały się wokół jej pobladłej twarzy. – Kocham cię, chociaż nie wiem za co, bo pomiatasz mną jak psem! I nie, Marta, szybkim numerkiem mnie nie splawisz. To mogę mieć z każdą. Od ciebie chcę więcej. Chcę ciebie!

Przygarnął ją tak silnie, cały czas krępując ręce, że nie mogła się ruszyć. Zaczął ją całować tak żarliwie, aż kaleczył jej usta. I przestał tak nagle, jak zaczął.

Odepchnął ją od siebie.

Zszokowana podniosła dłoń do ust, otarła skaleczoną wargę z krwi i spojrzała na niego... spojrzała z taką pogardą, że wolałby uderzenie w twarz niż tę bezgraniczną odrazę w jej pociemniałych źrenicach.

– Przepraszam, Marta. Wybacz – odezwał się zduszonym głosem. – Nie wiem, co mi odbiło. Jeśli tylko... jeżeli mogę coś zrobić...

– Możesz. Nie pokazuj mi się więcej na oczy.

Wstała i odeszła.

Biegła tą samą drogą, którą tu przyszła, potykając się co chwila, oślepiona łzami. Gdy wyrosła przed nią potężna sylwetka mężczyzny, krzyknęła przestraszona. Mateusz, bo to on na szczęście był, uniósł brwi ze zdumienia, dotknął policzka kobiety.

– Martuś, duszko moja, ty płaczesz? Co się stało? To on! To ten bydlak! Co on ci zrobił?! Ubiję gada, choćbym miał potem odpowiadać jak za człowieka! – dokończył z furią tak do niego, spokojnego zazwyczaj mężczyzny, niepodobną, odsunął kobietę z drogi i...

– Poczekaj! – Chwyliła go za rękę, przytrzymała w miejscu. – Po prostu był przykry, jak to Sodarow! Nic więcej!

– Zawsze jest przykry, ale nigdy z tego powodu nie płakałaś!

– Mateusz... to bardziej skomplikowane. Nie każ mi tłumaczyć. Nie teraz. Przez wzgląd na naszą przyjaźń... odpuść.

Patrzył na przyjaciółkę przez kilka uderzeń rozgniewanego serca, po czym odezwał się zduszonym głosem:

– Zawsze czułaś słabość do tego bandziora, chociaż pomiatał tobą jak

wszystkimi. Jeszcze rozumiem głupie dziewczuchy ze wsi, ale ty, Marta? Ty?!

W jego słowach było tyle bólu, że kobieta odczuła ten ból jak własny. Mateusz nigdy nie pozwoliłby sobie na to, co Siergiej Sodarow. Nigdy ani gestem, ani słowem nie zraniłby żadnej kobiety, a zwłaszcza Marty, którą nieomal czcił, że o szacunku nie wspomnieć. Nie potrafiła tego docenić, uznawała to za słabość, co w tej chwili z bezwzględną bolesną szczerością sobie uświadomiła. Siergiej, brutalny, trochę nieokrzesany, ze swoją dziką urodą i wilczym błyskiem w oczach po prostu ją pociągał...

Jeśli chodzi o niego, też była nie do końca uczciwa. Gdy zobaczyła go po raz pierwszy – wtedy, tej burzliwej nocy, gdy Mateusz przyniósł go nieprzytomnego do jej domu – powinna była zachować chłodny, lekarski dystans. Wezwać pogotowie i tyle w temacie. Spodziewał się tego. Nie mógłby protestować, bo nie był w stanie, ledwo doprowadzony do przytomności. Złego słowa nie powiedziałby lekarce, gdyby oddała go w ręce policji – wtedy jeszcze nie. Był obcy. Ona też.

Lecz Marta popełniła błąd.

Zatrzymała rannego pod swoim dachem, zmieniała mu opatrunki, omywała ogarnięte gorączką muskularne ciało mężczyzny i przed samą sobą nie przyznawała się, jak wielką sprawia jej to przyjemność, samotnej od tylu lat, że przestała liczyć.

Nigdy nie zapomni chwili, gdy przyłożyła dłoń do rozgorączkowanego czoła, a on ujął tę dłoń i przycisnął do ust. Pożądanie, jakie w tej jednej chwili nią wstrząsnęło, również pamięta do dziś. Pragnęła go, a on miał tego świadomość.

Mimo to władzy, jaką nad nią zdobył, nie wykorzystał. Nie pociągnął jej, uległej i chętnej, na siebie. Nie wziął tego, co gotowa była mu dać. Poprzestał na ucałowaniu jej dłoni, przepełniony wdzięcznością za okazaną pomoc.

I milczenie.

Ona zaś poczuła absurdalny zawód.

Nie do końca zdając sobie z tego sprawę, zaczęła go uwodzić. A gdy odpowiedział w końcu na jej zaloty i parę dni później próbował czegoś więcej niż pocałunku...

Pieścił ustami wewnątrz jej dłoni, potem nadgarstek, czując, jak szybko i silnie bije serce pod cienką skórą. Pozwalała mu na to. Pragnęła, by nie przestawał, boleśnie, tam, w dole, czując, jak dawno nie była kochana przez mężczyznę. Mimo to wyszeptała:

– Nie, Siergiej, nie...

Podniósł na nią pociemniałe spojrzenie. Jej oczy mówiły coś przeciwnego. Wsunął dłoń w kasztanowe włosy i powoli przyciągnął ją do siebie. Zaczął całować już nie dłoń, a miękkie, gorące usta kobiety. Położył dłoń na jej piersi, zacisnął palce, wydzierając z jej gardła przeciągły jęk. Boże, jak ona go pragnęła...! Zsunął rękę niżej. Pozwoliła mu na to. Pieścił ją przez cienki materiał nocnej koszuli niespiesznie, wiedząc, że mają czas, a ta piękna, godna grzechu kobieta nigdzie mu nie ucieknie. Uśmiech zadowolenia, nieco przekorny, trochę dumny, że zdobył tę niedostępną kobietę, pojawił się na ustach mężczyzny przez mgnienie oka, lecz na ich nieszczęście ona ten uśmieszek zobaczyła. W jednej chwili pożądanie prysło. Cofnęła głowę, odepchnęła jego rękę.

Może gdyby zechciała go wysłuchać, powiedziała, jak ważna stała się dla niego. Gdyby nie poczuła się tak urażona, zdołałby ją ułagodzić i ta noc skończyłaby się zupełnie inaczej.

Marta jednak spojrzała nań zimno jak na parszywego gada i wycedziła:

– Skoro masz siłę na takie gierki, do rana masz się wynieść albo wzywam policję.

On zmrużył wściekle czarne oczy i odrzekł równie lodowatym tonem:

– Tylko spróbuj, a spalę tę chałupę z tobą w środku.

I to był koniec.

Przynajmniej tak się im wtedy wydawało.

Ona wybiegła z pokoju, ukryła się nad jeziorem i płakała do rana, on ubrał się i odszedł, nie oglądając się więcej ani na dwór, ani na jego właścicielkę.

Jednak iskra, która między nimi przeskoczyła, nie pozwoliła się ugasić. Siergiej nie potrafił zapomnieć dotyku dłoni tej kobiety, smaku jej ust, brzmienia głosu, zapachu gładkiej skóry na szyi. Nie potrafił odejść raz na zawsze i nie wrócić.

Kupił dom w okolicy, wzenił się w miejscową społeczność, czy raczej wziął ją sobie siłą – ludzie wyczuwali szóstym zmysłem, że zwykłym rolnikiem, hodowcą koni pod wierzch, to ten dziki Rusek raczej nie jest – i od czasu do czasu przypominał Marcie, że jest tutaj i nie zamierza odpuścić. Nie zrezygnował z niej. Nie przyjmuje do wiadomości tego: „Idź precz”. Nie po tym, jak tamtej nocy gotowa była mu się oddać.

A Marta? Ona była jak ćma walcząca z płomieniem świecy. Im bardziej próbowała się od niego uwolnić, tym silniej ją przyciągał. Płomień i delikatne motyle skrzydła? To nie mogło się dobrze skończyć...



## ROZDZIAŁ XII

Nataniel, zupełnie nieświadomy dramatu, jaki całkiem niedaleko się rozgrywa, coraz bardziej zauroczony był miejscem, w które rzucił go los. Co rano, zaraz po obudzeniu, siadał na progu chaty i z niezmiennym zachwytem patrzył na wody jeziora. Czy w słoneczny dzień, czy pochmurny, czy deszczowy, było piękne. Każdego ranka inne, ale tak samo zachwycające. Las dookoła również. Trusia, mała oślepiąca przez złych ludzi suczka, okazała się uroczą towarzyszką w jego samotni. Nie odstępowała pana na krok. Słyszając swoje imię, popiskiwała z radości i wywijiała ogonkiem na wszystkie strony, co Nataniela niezmiennie rozczulało. Jak można było skrzywdzić to urocze, wdzięczne stworzenie?!

Co kilka dni jeździł do sklepu po skromne sprawunki. Częściej widywać ludzi nie pragnął, pieniędzy na większe zakupy nie miał. Wprawdzie wydawnictwa, dla których pracował poprzednio, przyjęły syna marnotrawnego, co nagle zniknął z firmamentu, nie kończąc kilku projektów, z otwartymi ramionami – każdy normalny człowiek rozumie, że śmierć matki dla młodego chłopaka musi być strasznym ciosem – i na brak zleceń nie narzekał, jednak na zapłatę musiał trochę poczekać.

Ostatnie pieniądze, jakie zostały mu w kieszeni po opuszczeniu Warszawy, topniały w zastraszającym tempie. Teraz stać go było na bardzo skromne wyżywienie i nic poza tym. Gdy widział miejscowych, dzień w dzień żłopiących pod sklepem piwo, zastanawiał się, skąd oni biorą na to forszę. Nigdy żadnego nie widział przy pracy...

Marta zapraszała go oczywiście na obiady, a śniadaniem i kolacją też by go częstowała, wiedząc, że młody sąsiad chodzi niedożywiony, ale Nataniel

odmawiał. Grzecznie, acz stanowczo. On, zdrowy dwudziestosześcioletek, na utrzymaniu kobiety? W lustro nie mógłby spojrzeć!

Do Mateusza wpadał częściej i nie gardził poczęstunkiem. Czasem starszy mężczyzna przychodził na wzgórze, zawsze z wałówką dla gospodarza i suczki Trusi. Razem szli na pomost złowić rybkę czy dwie. Rybki wracały do jeziora, oni szli pod jabłoń, rosnącą w sadzie obok chaty, gdzie Mateusz wyrzucił ławeczkę i stół z paru desek, siadali ramię w ramię i konsumowali, co tylko starszy mężczyzna ze sobą przyniósł, a młodszy znalazł w lodówce.

Dobre to były chwile. Obaj zdążyli się serdecznie polubić.

Tego popołudnia Nataniel nie oczekiwał gości: Mateusz pojechał w swoich sprawach do Warszawy i zabrał ze sobą Martę. Nataniel wyniósł do sadu laptop, na którym czasem wykonywał pomniejszych projekty, postawił go na stole i zupełnie zatracił się w projektowaniu okładek do serii książek, jaką zamówiło u niego znane wydawnictwo. Było to dobre zlecenie, godziwie opłacane. Już choćby to zmotywowałoby Nataniela do pracy, ale on projektowanie okładek po prostu lubił. Może nie równało się z kreśleniem obrazu chaty na wzgórzu, jak to uczynił pierwszego dnia, gdy tylko tu trafił, może nie było w pełni twórcze, jednak i temu potrafił się całkowicie poświęcić.

W pierwszej chwili jej nie zauważył, dobierając odpowiednie tło do czwartego tomu serii. Dopiero szczeniście Trusi, która leżała tuż przy nim, sprawiło, że Nataniel poderwał głowę i rozejrzał się nieprzytomnie.

Dziewczyna stała nieopodal, nerwowo wyginając palce. Miała ciemnobrązowe włosy związane w koński ogon i ładne, łagodne oczy o intensywnie zielonej barwie, bez śladu makijażu. Znał ją. Choć widział tę miłą twarz zaledwie przez mgnienie oka i wtedy owa twarz zalana była

krwią, mimo to pamiętał tę dziewczynę. Asia Jarząbek. Tak się nazywała.

Poderwał się z miejsca i uśmiechnął.

– Cześć! Przepraszam, że nie zauważyłem cię w pierwszej chwili, ale ja, gdy się czymś zajmę... Świat przestaje istnieć. Usiądziesz? Przynieść coś do picia? Ciepło się zrobiło...

Nawijał tak, zmieszany obecnością gościa. Nikogo się dziś nie spodziewał, a już ładnej dziewczyny na pewno nie.

– Poproszę... może wodę. Tak. Woda wystarczy. Zwykła woda. – Ona też wyglądała na zmieszaną. Rękę, którą złamała podczas wypadku, trzymała na temblaku. Gdy zrobiła kilka kroków w kierunku ławy, zauważył, że utyka. Jak on.

Na tyle, na ile pozwalała mu kaleka noga, pospieszył do domu po drugi kubek. Bardzo chciał ugościć Asię kawałkiem ciasta czy czekolady, ale nie zarobił jeszcze ani grosza, a oszczędności na takie luksusy nie pozwalały. Wrócił więc z kubkiem pysznej źródlanej wody. Mateusz powiedział mu kiedyś, że z powodu tej wody sołtys trzymał chatę tak długo. W żadnej innej studni nie mieli takiej źródłanki jak teraz Nataniel.

– Chyba się nie przedstawiłem... – zaczął, stawiając przed dziewczyną kubek.

– Och, tata powiedział mi, jak ma na imię mój wybawca. – Uśmiechnęła się nieśmiało. – Nie przestaje o tobie mówić. We wsi też ciągle mielią jęzorami na twój temat. Nataniel to, Nataniel tamto...

Chłopak... nie bardzo wiedział, czy ma się z tego faktu cieszyć, czy wręcz przeciwnie. Nigdy nie trafił na ludzkie języki i radzić sobie z tym chyba nie umiał.

– Przyszłam ci podziękować – dodała. – Gdyby nie ty, spaliłabym się żywcem, a ja... ja wtedy czułam. Czułam wszystko. I to, jak paliłabym się,

też bym czuła – dokończyła cicho. – Nawet nie mogę sobie wyobrazić tak strasznej śmierci. – Głos jej zadrżał. W oczach rozbłysły łzy.

– Nie ma co tego wspominać. Było, minęło. Na szczęście znalazłem się tam w odpowiedniej chwili i... taki to ze mnie bohater. Prawdę mówiąc, oboje zawdzięczamy życie Siergiejowi. Potknąłem się i poleciliśmy na ziemię za blisko wraku. Gdyby nie on, spłonęlibyśmy razem.

– O tym nie wiedziałam. – Spojrzała nań wielkimi, pociemniałymi oczami. – Siergiej Sodarow nie mówił, że przy tym był, a przecież lubi się chwalić swoimi wyczynami.

– Nie znam tego człowieka zbyt dobrze – zaczął powoli Nataniel – ale on uratował nas oboje.

„Najpierw mało mnie nie zabijając przy pomocy wściekłego konia” – dodał w duchu.

Joasia westchnęła ciężko.

– Jemu też muszę więc podziękować. Nie ma wyjścia.

– Nie przepadasz za nim? – raczej stwierdził, niż zapytał.

Wzruszyła ramionami.

– Nikt tu nie przepada za Sodarowem, ale każdy się go boi. Nie podskoczą mu, po prostu. To... bandzior.

Słyszając to słowo, rzucone ot tak, bez złości czy przesady, jako stwierdzenie faktu, Nataniel poczuł zimny dreszcz spływający wzdłuż kręgosłupa. Słowo „bandzior” kojarzyło mu się z przyjaciółką mamy spaloną żywcem w Lesie Kabackim, z dramatem lokatorów wyrzucanych z mieszkań, wreszcie z mamą, która zmarła właśnie „dzięki” takim bandziorom. Dłonie same zacisnęły się w pięści.

– Masz ochotę pojechać do niego? – Usłyszał pytanie i zamrugał, wyrwany z niewesołych wspomnień jak ze złego snu.

– Do Siergieja?

Westchnęła raz jeszcze i przytaknęła.

– Ojciec kazał mi tu przyjść i podziękować za ocalenie. Skoro nie tylko ty mi pomogłeś, muszę iść do Sodarowa.

Nataniela nieco zabolęło to „ojciec mi kazał”, myślał, że dziewczyna przyszła z własnej nieprzymuszonej woli, ale... może źle ją zrozumiał albo palnęła to bez namysłu?

Podobały się chłopakowi jej zielone oczy, łagodne, trochę nieobecne, jakby dziewczyna stale o czymś marzyła, jakby myślami była zupełnie gdzie indziej, bujała w obłokach nad jeziorem... Przyłapał się też na tym, że zerka na jej pełne, ładnie wykrojone usta, które co jakiś czas, zapewne nieświadomie, oblizywała koniuszkiem języka, a raz czy dwa jego spojrzenie ześlizgnęło się też na krągłe piersi, lekko prześwitujące przez obcisłą bluzeczkę. Kiedy ostatni raz przyglądał się z takim głodem dziewczynie? Przed wypadkiem? Tak. Sześć lat temu on, piękny niczym młody bóg, bezczelnie taksował wzrokiem co ładniejsze laski, a one odpowiadały tym samym. I jeszcze zalotnymi uśmiechami. Po wypadku wszystko się zmieniło. Skończyły się i spojrzenia, i uśmiechy.

– Trochę się go boję – dodała, a Nataniel zamrugał po raz kolejny.

Właśnie wyobrażał sobie, jak by to było poczuć smak jej ust... Kogo się bała Asia Jarząbek, obciągająca właśnie bluzeczkę i jeszcze bardziej, choć być może nieumyślnie, uwydatniając krągłe piersi?

– Pewnie. Możemy tam jechać. Mam skuterek.

– Skuterek? – zdziwiła się najwyraźniej. – Ojciec mówił, że jeździsz kabrioletem!

Pokiwał głową z nostalgicznym uśmiechem.

– Jeździłem. Całe dwa dni. Zamieniłem go na ten dom. Należy do mnie. – Spojrzał z dumą na chatę, która w promieniach majowego słońca, z szymbami

błyszczącymi czystością, firankami w oknach i kwiatkami, których nazwy nadal nie znał, na parapetach sprawiała bardzo miłe wrażenie.

Nie na wszystkich najwidoczniej, bo dziewczyna wydawała się wstrząśnięta.

– Na tę starą chatę zamieniłeś fajny samochód? Ojciec mówił, że jest niezmierny!

– Gdybyś straciła dom, tak jak ja, doceniłabyś nawet szalas – odparł, nagle czując niechęć do tej dziewczyny. Stracił zainteresowanie jej ustami i piersiami. Nie chciał już sobie wyobrażać, co by było gdyby. – Sołtys go ode mnie wziął. Mówię o kabrioletcie. Pewnie jego syn, gdy tylko wyjdzie ze szpitala, znów będzie się nim rozbijał po drogach. Z tobą na miejscu pasażera – nie potrafił odmówić sobie tej złośliwości.

Strzał był celny. Zielone oczy przygasły.

– Marek wyszedł wczoraj ze szpitala i nic nie mówił o kabrioletcie. Pewnie ma na niego szlaban.

„Albo zdążyli go przepić” – przyszło Natanielowi na myśl, ale od dzielenia się takimi uwagami potrafił się powstrzymać.

– No dobrze, może być skutek – zgodziła się łaskawie dziewczyna. – Chociaż prawdę mówiąc, chciałam przejechać się kabrioletem.

– Możemy się przejść – zauważył.

– Nie dojdę. Dopiero za jakiś czas będę chodzić normalnie, tak mówili lekarze. Przeklęta noga. Ty kulejesz po wypadku czy od zawsze? – zainteresowała się mało delikatnie.

– Od sześciu lat – mruknął, coraz mniej zachwycony tymi odwiedzinami.

– Masz szansę poruszać się kiedyś bez utykania? – dopytywała, nie zdając sobie sprawy, że rani go każdym słowem.

Nie odpowiedział. Oczy pociemniały mu z przykrości, czego dziewczyna zdawała się nie zauważać. Wstał, zatrzasnął laptop i odniósł go, powłóczęc

nogą bardziej niż zwykle, co zawsze się zdarzało, gdy ktoś wypomnił mu kalectwo. Wrócił po chwili, gotów zawieźć gościa, gdzie ten sobie życzy, po czym pożegnać się jak najszybciej.

## ROZDZIAŁ XIII

**W** milczeniu, przerywanym jedynie wskazówkami, dokąd jechać i gdzie skręcić, trafili pod bramę rancza – do królestwa Siergieja Sodarowa. Dwa potężne brytany wyskoczyły im na powitanie, szczerząc kły i ujadając na całą okolicę. Dzwonek był niepotrzebny. Zza domu rozległ się ostry gwizd. Psy pognały w tamtym kierunku i zniknęły im z oczu. Po chwili ujrzeli pana tego domu.

Zbliżał się niespiesznie, w spranych dżinsach i czarnej koszuli, przyglądając dłonią potargane włosy. Przywodziłoby to na myśl zdrożne skojarzenia, gdyby po drodze nie odstawił wideł. Musiał przerzucać słomę albo siano dla koni.

Joasia zsiadła ze skutera i przywołała na usta przymilny uśmiech. Nataniel stanął obok, nie siląc się na uprzejmy wyraz twarzy. On miał z tym mężczyzną na pieńku. Obaj doskonale o tym wiedzieli.

Sodarow wyszedł przed bramę, wyciągnął do chłopaka dłoń.

– Witaj, Nat. Co cię sprowadza? Chcesz raz jeszcze spróbować z Czortem? – Posłał chłopakowi złośliwy uśmiech.

– Kiedy indziej – odmruknął Nataniel. – Przywiozłem gościa.

– Dzień dobry – odezwała się nieśmiało dziewczyna, podnosząc na czarnowłosego mężczyznę spłoszone spojrzenie. Śliczna była z tymi szeroko otwartymi zielonymi oczami, wpatrującymi się w Siergieja jak łania w wilka...

Ten spojrział na dziewczynę, jakby dopiero w tej chwili zauważył jej obecność, przygarnął ramieniem i pocałował prosto w usta, na co ona tylko się zaczerwieniła i spuściła wzrok.



– Jak ręka, kochanie? – rzucił zdawkowo, nie spuszczać oka z Nataniela.

On przyglądał się tym popisom, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. Dziewczynie miłe były te karesy czy nie? Skąd niby mógł to wiedzieć? Znał ją od paru minut. Nie wyrywała się, nie błagała spojrzeniem o ratunek. Pozwalała się przytulać i obcałowywać zupełnie bezwolnie.

Teraz znów patrzyła na Siergieja szeroko otwartymi oczami i mówiła szybko, z nienaturalnym ożywieniem:

– Och, dobrze! Coraz lepiej! Dowiedziałam się przed chwilą, że to pan jest moim wybawicielem! Panu zawdzięczam życie! – wykrzyknęła z emfazą.

– Kto tak powiedział? – Siergiej zmrużył czarne oczy, co dodało uroku jego i tak przystojnej twarzy.

Mógł się podobać każdej kobiecie, nawet dwa razy od niego młodszej. Wydawało się, że nieśmiała Asia Jarząbek była coraz bardziej pod jego urokiem. Jej uśmiech stał się zalotny, nawinęła włosy na palec i paplała dalej:

– Wszyscy we wsi to mówią. Jest pan bohaterem. Gdybym mogła się jakoś odwdzięczyć... Nie co dzień ktoś wyciąga mnie z płomieni.

On, widać, nie reflektował na jej zaloty, bo ukrócił je dwoma słowami:

– Przestań pieprzyć.

Uśmiech zgasł. Zaczerwieniła się zmieszana i nieszczęśliwa.

– Z samochodu wyciągnął cię Nat. Ja byłem za daleko. Nie zdążyłbym i nawet nie próbowałbym ratować kretynki, która włóczy się z pomyłonym Mareczkiem Sidło. Ryzykować życiem mogę, owszem, ale dla kogoś, kto jest tego wart. Na takie poświęcenie, sorry za szczerość, trzeba najpierw zasłużyć.

Okrutne były to słowa. Czy prawdziwe? Może tak, może nie, lecz na pewno okrutne. W zielonych oczach rozblęły dwie wielkie łzy. Nataniel, zapominając, jak go wcześniej zraniła, poczuł się w obowiązku stanąć w jej obronie.

– Zawsze z pana taki przyjemniaczek? – rzucił z ironią. – Może mnie ratował pan z poczucia winy?

– To już nie jesteśmy na ty? – Siergiej odpowiedział pytaniem. Na jego ustach nadal igrał ten wkurzający złośliwy uśmieszek.

– Żeby być ze mną po imieniu, też trzeba najpierw zasłużyć – powtórzył za nim Nataniel, myśląc jednocześnie: „No, teraz dostanę w zęby...”. Ale nie znał Sodarowa. Kto inny rzeczywiście za taką obelgę przyłałby szczeniakowi w pysk, Siergiej... uśmiechnął się z uznaniem.

– Masz charakter, chłopaczku. A ja uważałem cię za ciepłe kluchy.

– Słucham?! – tym Nataniela naprawdę wkurzył. Gdyby nie przeklęta noga... gdyby spotkali się sześć lat wcześniej...

Sodarow zdawał się bawić jego wzburzeniem.

– Mówiłem Marcie Kraszewskiej, że ciapciak jesteś, goguś o gładkich rączkach i równym przedziałku. Myliłem się. Zwracam honor.

Nataniel zacisnął zęby, aż chrupnęło. Taką zniewagę, i to w obecności dziewczyny, trudno było unieść. Jeszcze trudniejszy był fakt, że nie mógł tamtemu przyłożyć z pięści, bo Sodarow oddałby, łamiąc mu pewnie żuchwę albo nos. A gdyby naprawdę przyłożył się do ciosu, mógłby po prostu zabić. Warto ryzykować, by zachować twarz?

Nagle coś w nim zawyło: warto! I bez namysłu strzelił Sodarowa z pięści. Prosto w uśmiechniętą gębę.

Ten krzyknął zaskoczony, zachwiał się i chwycił za rozbity nos.

Cios był mocny, bo chłopak może miał niesprawną nogę, ale poza tym nie brakowało mu niczego. Mężczyzna jednym skokiem był przy nim, chwycił za przód bluzy i unosił pięść, by oddać. Dziewczyna krzyknęła. Nataniel złapał tamtego za nadgarstek i syknął:

– Puszczaj.

Tamten wbił go plecami w słup ogrodzenia.

– Szukasz śmierci? – syknął.

Nataniel spojrzał mu prosto w twarz.

– Śmiało!

O dziwo, Siergiej rozwarł palce. Otarł krwawiący nos wierzchem dłoni, splunął w bok krwią i wycedził, już bez uśmiezków:

– Mógłbym roznieść cię na strzępy, wiesz o tym?

Chłopak wzruszył tylko ramionami. Pewnie, że mógłby. Nikt nie miał co do tego wątpliwości.

– Mimo to dałeś mi w zęby.

– Obraził mnie pan. Wrednie. Bez specjalnych powodów.

– Obraziłem. To prawda. Kto inny roześmiałyby się głupkowato, ale nie ty. Znów wzruszenie ramion.

Siergiej pokręcił głową.

– Jesteś tak dumny czy taki odważny?

Nataniel uśmiechnął się lekko, słysząc uznanie w głosie mężczyzny.

– Sprawdźmy? – odpowiedział pytaniem, a gdy i tamten uniósł kącik ust w uśmiechu, dodał, poważniejąc: – Po prostu nie pozwalam obrażać ani siebie, ani tych, co są pod moją opieką.

Sodarow skinął głową i odrzekł, ważąc słowa:

– Dobrze mieć w tobie przyjaciela, nie wroga. Jesteśmy kwita?

Wyciągnął do chłopaka dłoń. Ten uścisnął ją bez wahania. „Dobrze mieć w Siergieju Sodarowie przyjaciela, nie wroga” – przemknęło mu przez myśl.

– Przejdźmy się. Chcę ci coś pokazać. – Mężczyzna skinął na niego, Asię ignorując zupełnie.

Całą trójką skierowali się w stronę stajni.

– Co słyszać u Marty? – rzucił Siergiej od niechcienia.

– Wszystko w najlepszym porządku – odparł zdawkowo Nataniel.

Nie wiedział, co łączy Sodarowa z doktor Kraszewską, czy przyjaźnią się, czy wręcz przeciwnie, wolał więc być ostrożny. Już wiedział, że w małej miejscowości, wśród ludzi, którzy znali się na wylot i byli dość... gwałtowni, jedno słowo za dużo może spowodować katastrofę.

– Jest w domu? – zapytał Siergiej niby bez ciekawości, a jednak.

– Pojechali do Warszawy.

– Pojechali?

– Marta z Mateuszem.

Oczy Siergieja błysnęły wściekle, a może się tak tylko Natanielowi wydawało.

– Marta z Mateuszem... – powtórzył powoli tonem, którego chłopak jeszcze u niego nie słyszał. – To kiedy ślub? – dodał lekko.

– Czyj? – zdziwił się Nataniel. Ślub? O żadnym ślubie nie było mu nic wiadomo! Czyżby coś go ominęło? Coś przeoczył?

– Twojej uroczej sąsiadki z podrabianym leśnikiem – odparł Sodarow, patrząc gdzieś ponad ramieniem chłopaka.

– Ach! To! Po pierwsze, Mateusz nie jest już „podrabianym” leśnikiem. Właśnie pojechał po dyplom ukończenia technikum. Od dziś jest prawdziwym leśnikiem i sorry, ale musisz wysilić się na inną złośliwość. Co do ślubu: nie omieszkają cię zapewne zaprosić, jakby co. Mnie zaproszą. – Jak widać, Nataniel też potrafił wbić szpilę.

Nagle zmarszczył brwi. Marta i Mateusz? I to powtórzył na głos:

– Dlaczego oni akurat przyszli ci do głowy? Przecież doktor Kraszewska... – umilkł. Pokręcił głową. Tamtych dwoje było dobrymi przyjaciółmi, ale nigdy nie przyłapał ich w dwuznacznej sytuacji. Cmoknięcie w policzek, przytulenie, uścisk dłoni – to owszem, ale Marta

jego, Nataniela, podobnie traktowała!

– Och, doktor Kraszewska darzy go czystym uczuciem, siostrzaną miłością, czy jakoś tak – odezwał się z przekąsem Sodarow. – Nie widzi, ta słodka niewinność, że Mateusz aż ślini się na jej widok.

Nataniel stanął jak wryty.

– Nie pozwolę obrażać moich przyjaciół – wycedził. Dłonie znów zacisnęły się w pięści.

– Nikogo nie obrażam, chłopaczku – odparł Siergiej. – Stwierdzam jedynie fakt. A że ty i ona jesteście na ten fakt ślepi, to już nie mój biznes.

Marta i Mateusz?! Może Sodarow miał rację? Doktor Kraszewska mogła Mateusza jedynie lubić, lecz Mateusz rzeczywiście mógł być w niej zakochany. Kto by się oparł urokowi tej kobiety... Rzucił mężczyźnie bystre spojrzenie.

– Coś mi się wydaje, że nie tylko stary dobry Mateusz podkochuje się w doktor Kraszewskiej. Ty też, Siergiej, masz na nią chęć, ale ona...

– Zamknij się, dzieciaku – uciął tamten. – Gdybym miał na nią chęć, to wziąłbym ją sobie ot tak. – Pstryknął palcami.

Nataniel parsknął śmiechem.

– Nie wydaje mi się. Marta nie należy do kobiet „na pstryknięcie”, a ty nie pytałbyś, gdzie się ona podziewa, gdybyś... – Powtórzył jego gest. – Może rzeczywiście, wracając z rozdania dyplomów, wstąpili do urzędu stanu cywilnego? Któż to wie... To by dopiero była niespodzianka!

Zaśmiał się złośliwie, widząc minę Sodarowa. Oto miał w ręku bat na tego faceta. Ilekroć Siergiej będzie chciał jemu albo jego przyjaciółom dogryźć, Nataniel poczęstuje go opowieścią o Marcie i Mateuszu. Co za radość!

– Nie bądź taki cwany, chłopaczku – mruknął Sodarow, ale bez złości. –

Zobacz, co dla ciebie mam.

Nataniel nawet nie zauważył, zajęty arcyciekawą konwersacją, jak znaleźli się w stajni i zatrzymali przed jednym z boksów. Nim podążył za wzrokiem Siergieja, co też on ciekawego ma do zaproponowania, rozejrzał się po przestronnym budynku, pachnącym sianem i końmi, w którym czystość aż kłuła w oczy. W przejściu między boksami nie znalazłbyś ani źdźbła słomy, sierść zwierzęcia, które wskazywał mężczyzna, lśniła w promieniach słońca, które wpadało przez spore okno. Mimo to siwek wyglądał na chorego.

Stał pośrodku boksu na lekko rozstawionych nogach, głowę zwiesił ku podłodze i z półprzymkniętymi oczami przeżuwał coś smętnie. Był poraniony. Białą sierść w kilku miejscach szpeciły plamy jodyny i zaschniętej krwi.

– Jeśli chcesz mi sprzedać tego konika, to źle trafiłeś. Nie mam ani grosza – odezwał się Nataniel, patrząc na zwierzę z bólem serca. Nie znosił widoku cierpiących istot. – Wezwałeś do niego lekarza?

– Jest zdrowy. Przynajmniej na ciele. Ale ma chorą duszę. O ile konie mają duszę – dodał Sodarow z lekką kpina, by zatuszować poprzednie wzniosłe, niepasujące doń słowa. – Parę dni temu, przed... – spojrzał na ramię, które szyła mu Marta – ...pewnym incydentem, razem z kumplami przejeśliśmy nielegalny transport koni na rzeź. Słyszałeś o tym?

– O transportach śmierci? Słyszałem.

– Widziałeś konie po czymś takim?

– Nie! I nie chcę widzieć!

– Opowiem ci co nieco, bo chcę zmiękczyć twoje czarne serce...

Nataniel nie odpowiedział na to „czarne serce”, bo zatkało go z oburzenia.

– Widzisz, Włosi lubią świeżą koninę, nie mrożonki, kupują więc od nas,

Ukraińców i Białorusinów żywe konie, bo u nich to za drogi biznes. Co jakiś czas organizowane są spędy koni na rzeź, a że chłopom płaci się za kilogramy, sprzedają wysokoźrebne klacze albo głodzą przed spędem, nie dają pić, a potem spragnione zwierzęta poją wodą z cementem, żeby były cięższe. Nie patrz tak na mnie, Nataniel, to powszechna praktyka. Musisz też wiedzieć, że zdrowych koni nie wolno przewozić na ubój, więc przed załadunkiem do tirów... Aśka, ty lepiej zatkaj uszy, bo gotowa jesteś zemdleć... te bydlaki okaleczają je. Wykłuwają im oczy, nacinają pęciny, łamią nogi. Konie docierają na miejsce kaźni, tysiące kilometrów dalej, w strasznym stanie. Klacze ronią po drodze, zdeptują źrebięta, zwierzęta tratują się nawzajem, kaleczą... Samochód dosłownie spływa krwią. Widok jest... straszny, Nat.

– Po co mi to mówisz? – przerwał mu chłopak nieswoim głosem.

Miał serce wrażliwe na nieszczęście ludzi i zwierząt. Pomagał, ilekroć zdołał, ale nie zbawi sam, w pojedynkę, całego świata od okrucieństwa i zła!

– Widzisz, zatrzymaliśmy za białoruską granicą jeden z nielegalnych transportów. Kierowca był nawalony i jechał tak, jakby wiózł kartofle, a nie żywe zwierzęta. Gdy otworzyliśmy drzwi naczepy... – Urwał, bo i on nienawidził takich widoków... – Z całego transportu trzymał się na nogach tylko ten koń. Resztę musieliśmy dobić.

Nataniel spojrzał pociemniałymi ze zgrozy i gniewu oczami na siwka.

– Chcę ci go podarować – dokończył Sodarow.

Chłopak nic nie odpowiedział. Po prostu patrzył na zwierzę, które nadal stało z głową zwieszoną do ziemi, rozstawiając nogi tak, jak gdyby owa ziemia miała się nagle poruszyć. Chłopak już teraz znał przyczynę...

– Nie sprawi ci kłopotu. Właściwie się nie porusza. Stoi tak sobie, odkąd go przywiozłem – ciągnął Siergiej bezbarwnym tonem. – Miejsce dla niego masz...

– Trzeba uprzątnąć tę obórkę, czy co to kiedyś było, ze sterty rupieci – przerwał mu cicho chłopak. – I ja naprawdę ledwo ciągnę finansowo. Nie stać mnie na utrzymanie konia.

„Ledwo ciągnę” było sporym niedomówieniem, bo ostatnio „ciągnął” na chlebie i makaronie gotowanym z kostkami rosółowymi.

– O to się nie martw – odrzekł stanowczo Siergiej. – Wciskam ci chore zwierzę, więc będę za nie płacił. Dostaniesz wszystko, co trzeba: słomę, paszę, opiekę weterynarza. Proszę tylko, byś wziął go do siebie.

– Na pewno ja? Nie mam pojęcia, jak zajmować się okaleczonym przez człowieka koniem!

– Masz oślepionego przez „kochających” właścicieli psa, będziesz miał przetrąconego konia do kompletu. – Mężczyzna klepnął go w ramię. – Widzisz, Nat, nikogo innego nie mogę o to prosić. U Marty nie ma miejsca, Mateusz... pomińmy Mateusza, a ludzie ze wsi ponownie sprzedaliby tego biedaka na mięcho. Co do pieniędzy, mam jeszcze jedną propozycję. Muszę zniknąć na parę tygodni. Jeśli zajmiesz się moim stadem, zapłacę z góry. Stówę dziennie. Do ręki. Bez podatków i innych pierdół. Przemyśl to, człowieku. Najlepiej teraz. Miałem się właśnie do ciebie wybrać, ale skoro już jesteś...

Zapadła cisza, przerywana od czasu do czasu parskaniem koni.

– Ja pomogę – odezwała się naraz Joasia.

Spojrzeli na nią ze zdziwieniem, bo prawdę mówiąc, zapomnieli o jej obecności.

– Pomogę ci, Nataniel, w opiece nad tym siwkim. I jeśli zechcesz, nad resztą również. – Zielone oczy, w których igrały drobinki światła, wpatrywały się w chłopaka pytająco, z nadzieją, że odpowie: tak.

– Ty, moja śliczna, wracasz do domciu i czekasz na narzeczonego – odezwał się Sodarow. – I nie rób oczu spaniela. Na mnie to nie działa.



– Ale na mnie owszem – mruknął chłopak. – Skoro chce mi pomóc, niech pomaga. Jest wolnym człowiekiem, skończyła osiemnastkę jakiś czas temu. Co niby do niej masz? O Asię też jesteś zazdrosny?

Siergiej prychnął z rozbawieniem i złością.

– Głupi dzieciaku, gdy tylko Joanna Jarząbek zacznie się przy tobie kręcić, zaraz będziesz miał na karku sołtysów. Gotowi chałupę ci spalić, jeśli tylko was razem przydybią na czymś zdrożnym. Prawda, kochanie? – zwrócił się z fałszywą słodyczą do bliskiej łez dziewczyny.

– Nie będzie żadnych „nas” – odparł zamiast niej Nataniel. – Ona będzie pracować u ciebie i ja będę twoim pracownikiem. Gdzie ty tu widzisz coś zdrożnego?!

Siergiej przyglądał się chłopakowi przez dłuższą chwilę z tym swoim półuśmieszkiem.

– Nie wyglądasz na faceta, co pogardzi ładną dziewczyną.

– Umiem trzymać ręce przy sobie, wierz mi – odparł Nataniel.

– Że ręce, gotów jestem uwierzyć – w głosie Sodarowa zabrzmiała czysta drwina, ale zanim chłopak zdołał się odciąć, dodał: – Cóż... jeśli będziecie się trzymać z dala od siana...

– A konie czym będziemy karmić? Dziczyzną?! – wykrzyknął Nataniel z oburzeniem i nagle... roześmiał się. Sodarow mu zawtórował.

– Twój biznes, chłopaczku, z kim będziesz się po stajni szwendał i z kim dzięki temu zadrzesz. Bierzesz tę fuchę?

– Ranczem się zajmę. Nad tym konikiem pomyślę.

Ale mężczyzna pokręcił głową.

– To transakcja wiązana: bierzesz robotę i konia do siebie. Jeśli przysłoby ci do głowy się rozmyślić: Bożena ze spożywczego uzalała się dziś nad tobą, że samym chlebem i kluskami żyjesz. Jak długo tak pociągniesz?

Zaśmiał się szyderczo, widząc minę chłopaka, po czym wyciągnął do niego rękę.

– To jak? Wchodzisz w to?

Nataniel podał swoją.

– Wchodzę.

– Od jutra ogarniasz ranczo i bierzesz siwka do siebie?

– Biorę. O ile jakaś dobra dusza pomoże mi dziś kąć dla niego wysprzątać.

– Aśka aż nogami przebiera, tak się nie może doczekać. – Sodarow nie mógł sobie odmówić i tej złośliwości. – Pamiętajcie, że ostrzegałem!

Siergiej Sodarow mógł być jednak o cnotę Asi Jarząbek i całość Nataniela zupełnie spokojny, bo zanim ludzie, a przede wszystkim Sidło i jego syn, zaczną krzywo na tych dwoje patrzeć, pojawi się ktoś, kto utnie plotki na ich temat, i da pożywkę nowym.

## ROZDZIAŁ XIV

**D**ziewczyna była małomówna, co Natanielowi bynajmniej nie przeszkadzało, zmyślna i pracowita, chociaż ze złamaną w wypadku i ledwo zrośniętą ręką musiała obchodzić się ostrożnie.

Najpierw podjechali do jej domu, by mogła uprzedzić ojca, że od dziś pracuje na ranczu. Starszy mężczyzna, usłyszawszy, że Siergiej Sodarow wyjeżdża i dziewczyna będzie pod opieką Nataniela, nie tylko dał zgodę, ale szczerze się ucieszył.

– Może jeszcze wyjdzie na ludzi, może zadurzy się w tym pocziwinie i da kosza sotłysiakowi – mruzczał do siebie, odprowadzając wzrokiem jedynaczkę, która odjeżdżała skuterem, przyklejona do pleców młodego mężczyzny.

Pracowali później ramię w ramię, by przygotować część niewielkiej obory na przyjęcie nowego lokatora. On łopata rozbijał suchy, twardy jak kamień obornik, ona wynosiła stare graty, zbierane przez poprzednich właścicieli od kilku dziesięcioleci.

Po południu dołączył do nich Sodarow, robota – ciężka i niewdzięczna – poszła więc szybciej. Nie musiał się oszczędzać, jak dwoje młodych po wypadku, i nie oszczędzał się. W milczeniu machał łopata, zapadnięty we własne ponure myśli, a gdy tylko wywoził taczkę zaschłego gnoju na zewnątrz, wpatrywał się w drogę, jakby kogoś wyczekiwał.

Wreszcie się doczekał.

Marta wpadła zobaczyć, co u młodego sąsiada, dobrze po kolacji. Od czasu sprzeczki w szałasie nie spotkała Sodarowa, więc na jego widok,

półnagiego, o ramionach i torsie lśniących od potu, stanęła jak wryta i rzuciła:

– Co ty tu robisz?

W jej głosie nie było złości, ta dawno jej przeszła, tylko zdziwienie. On jednak nie mógł darować sobie zjadliwej odpowiedzi:

– Pomagam twojemu Natusiowi gnój wywozić.

Kobieta przewróciła tylko oczami, zbyt zmęczona, by silić się na kolejną utarczkę, po czym minęła go i po desce położonej w progu weszła do obórki. W porównaniu z gratowiskiem, jakie panowało tu jeszcze dziś rano, teraz było to czyste, suche i wygodne schronienie dla kilku zwierząt, jeśli naszłaby Nataniela ochota na założenie hodowli.

– Niesamowite! Dobra robota! – krzyknęła od progu.

Nataniel uniósł głowę, odgarnął z oczu sklejone potem kosmyki i uśmiechnął się na widok kobiety.

– Zateśniłeś za mlekiem prosto od krowy?

– Mleko będzie miał od nas – odezwała się Joasia. – Tatko kankę wyszykował i od jutra kazał Nataniela świeżym mlekiem pić, bo cherlawy jest. – W tym momencie Nataniel posłał jej urażone spojrzenie. – To nie moje słowa! – zastrzegła. – Dla tatki każdy, kto wygląda na mniej niż sto kilo, jest cherlawy... – dokończyła cicho, nieszczęśliwa, że znów wyszło nie tak, jak chciała.

Miała nadzieję, że kanka mleka, co rano dostarczona pod drzwi, ucieszy chłopaka, tymczasem zacisnął usta w wąską kreskę, zły, nie wiedzieć na co.

– Siergiej uszczęśliwił mnie koniem uratowanym z transportu śmierci – odezwał się Nataniel, prostując obolałą nogę. – Gdy tylko skończymy, przywiezie słomę i przyprowadzi biedaka.

– Siergiej Sodarow, bo o nim chyba mówisz, ratuje konie z transportów? – Marta obejrzała się przez ramię na stojącego przed oborą

mężczyznę i zaśmiała się drwiąco. – Chyba sam je do tirów prętem elektrycznym zagania.

Mężczyzna błysnął w mroku wściekłym spojrzeniem, ale zmilczał tę obelgę. Za to Nataniel pospieszył mu z odsieczą, nie mając pojęcia, jak napięte stosunki panują między Siergiejem a Martą.

– Przejął z kolegami nielegalny przemysł i uratował jedyne konia, który przeżył – powtórzył z naciskiem. – Siwek potrzebuje stałej opieki, a że Siergiej wyjeżdża, proszę, bym się zajął tym koniem.

Marta ponownie spojrzała na milczącego mężczyznę. Tak uważnie, jakby chciała wyczytać prawdę w jego czarnych oczach. Bywała na ranczu, widziała zadbane konie i czyste stajnie. Tak, o zwierzęta Sodarow potrafił się troszczyć. Z ludźmi szło mu dużo gorzej.

– W tym czarnym sercu tli się odrobina ludzkich uczuć? – zakpiła.

On... urażony do żywego... wbił łopatę w stertę łąna, rzucił: „Pieprz się, Marta!”, i tyle go widzieli.

Nataniel odprowadził mężczyznę zdumionym spojrzeniem, po czym przeniósł je na lekarkę. Znał Sodarowa zbyt krótko, lecz Martę nieco dłużej i po niej się takich słów, takiej złośliwości, niemal okrucieństwa!, nie spodziewał.

Siergiej ratował zwierzęta skazane na śmierć w cierpieniach, dbał o nie, teraz pół dnia harował, by dla jednego z nich przygotować nowy dom. Czy to nie wystarczyło, żeby być dlań nieco miłszym? Owszem, zachowywał się czasem, no dobrze, często jak podły drań, mimo to chociaż dziś wieczorem można było na jego draństwo przymknąć oko, prawda?

– Sodarow naprawdę uratował tego konia – odezwała się naraz Joasia nabrzmiałym urazą głosem. – Biedak ledwo żył, gdyśmy go widzieli. Siergiej pół dnia wywoził obornik, żeby zrobić tu dla niego miejsce.

Nie odważyła się potępić doktor Kraszewskiej otwarcie, ale tych kilka

zdań wystarczyło, by Marta poczuła się podle. Znała Sodarowa tylko z tej ciemnej strony. Czyżby dla innych miał drugą, jaśniejszą?

Westchnęła ciężko.

– No i muszę pójść za nim i go przeproszać.

Ruszyła do drzwi. Nataniel zastąpił jej drogę.

– Pani Marto, jest późno – odezwał się, patrząc na czarną ścianę lasu. – Przeprosicie się jutro z samego rana.

Ale ona minęła go, rzuciła: „Mieszkam tu od lat, dzieciaku”, i już szła szybkim krokiem drogą, na której zniknął Sodarow.

Musiał na nią czekać, bo zamiast go dogonić, wpadła prosto w jego ramiona. Wydała zduszony okrzyk i odepchnęła go obiema rękami.

– Jak zwykle musisz się na mnie czaić! – rzuciła gniewnie, czując łomoczące w piersi serce.

Przestraszył ją. Nie pierwszy i nie ostatni raz.

Gdyby chciał jej w tym momencie zrobić krzywdę, ani by pisnęła, zakneblowana jego silną dłonią, zduszona ramieniem. Miała tego doskonałą świadomość i w głębi duszy była rada, że Siergiej Sodarow się w niej kocha, zamiast nienawidzić.

– A ty jak zwykle musisz chodzić przez las sama, nocą – odmruknął. – Prosisz się o kłopoty.

– Jedynym kłopotem, jaki mogę tu spotkać, jesteś ty.

– Życzyłaś sobie, bym nie pokazywał ci się na oczy – zaczął z rosnącą furią – uszanowałem tę „prośbę”, ale tobie było mało. Włóczysz się za mną, bezpodstawnie obrażasz mnie przy ludziach i ja, ja!, jestem problemem twojego życia?! – Rąbnął pięścią w pień przydrożnej brzozy, by wyładować wściekłość. Marta drgnęła, przestraszona jego gwałtownością.

– Na miłość boską! – syknęła w następnej chwili. – Miałam cię

przeprosić, a znów się kłócimy jak para nastolatków. Nie ułatwiasz mi tego!

– Więc przepraszaaj, zamiast jak zwykle obrażać!

Ale to nie było takie proste...

Marta zaczęła zbierać w myślach słowa, gdy jej wzrok padł na pięść, którą przed chwilą Siergiej poczęstował Bogu ducha winną brzozę, i już wiedziała, co powiedzieć. Ujęła jego dłoń, siłą rozwarła zaciśnięte palce.

– Rozbiłeś sobie knykcie. Znów muszę cię opatrywać... – westchnęła. – Cały ty, Siergiej Sodarow, nieobliczalny, gwałtowny, niebezpieczny... – Oglądała jego dłoń w świetle księżycy, a on bał się drgnąć, by nie wypuściła jej z rąk.

– Ty nie musisz się mnie obawiać – odezwał się cicho. – To, co powiedziałem wtedy, w szalasie, było prawdą. Jest nią nadal.

Uniosła nań oczy, teraz srebrzyste.

– Mówiłeś różne rzeczy. Ja też. Bez przerwy ranimy się nawzajem. Czy potrafilibyśmy żyć w zgodzie?

Ujął jej twarz w dłonie, łagodnie, by nie spłoszyć tej chwili, i rzekł miękko:

– Powiedz jedno słowo, a będę dla ciebie najczulszym z mężczyzn.

W jego dumnych, hardych oczach widziała błaganie. I obietnicę spełnienia wszystkich marzeń. Gdyby czuła do niego to samo... Spuściła wzrok, pokręciła głową. On opuścił ręce, cofnął się o krok. Twarz, przed chwilą rozjaśniona nadzieją i miłością tak mocną, że aż bolało, pociemniała zawodem i rozgoryczeniem.

– Dla ciebie stałbym się innym człowiekiem – odezwał się, przybierając zwykły, odpychający ton. – Zerwałbym z przeszłością i żyłbym po chrześcijańsku, jak Pan Bóg przykazał. Ale ty mnie nie chcesz z moim „czarnym sercem”, mimo że tak naprawdę niewiele o mnie wiesz. Twoja strata. Wyjeżdżam, Marta. Wystawię dom na sprzedaż i więcej nie będę się

narzucał. Może kto inny da ci szczęście, na jakie zasługujesz. Żegnaj.

Dotknął koniuszkami palców jej policzka i odszedł w ciemną noc.

Ona została sama na leśnej ścieżce, czując w sercu ulgę... ale i żal. Przemóżny żal. Mogli być przyjaciółmi...

Nie. Taki mężczyzna jak Siergiej Sodarow nie potrzebował przyjaciółki. On chciał ciebie całą. Twoje myśli, duszę, serce i ciało. I bądź uczciwa przed samą sobą, Marto Kraszewska: ty również byś tego chciała.

– Pani doktor! – rozległo się z oddali wołanie Nataniela. – Pani Marto!

– Idę, idę! – odkrzyknęła, czując ze zdziwieniem, że oczy ma pełne łez...



## ROZDZIAŁ XV

Nazajutrz, gdy Nataniel wyszedł na próg swojego domu – nadal trudno mu było uwierzyć, że chata naprawdę jest jego – czekała tam kanka pełna mleka, jeszcze ciepłego!, zaś w sadzie powoli, noga za nogą niczym stary człowiek, dreptał siwek. Wyrwany ze szponów okrutnych ludzi biały jak mleko konik.

– Hej... – Chłopak podszedł do niego i zawołał łagodnie, wyciągając dłoń.

Zwierzę znieruchomiało, skierowało w jego stronę uszy, ale nie podeszło, jak jeszcze niedawno zapewne by to zrobiło, nie obwąchało z ciekawością ręki człowieka, nie dmuchnęło we włosy, nie zaczęło szukać po kieszeniach opiekuna ukrytych tam smakołyków. Po prostu stało i patrzyło w oczy Nataniela z łamiącą serce rezygnacją.

Za to Trusia... ona chłopaka zaskoczyła. Może sprawiła to konkurencja do jego serca, może wreszcie, po tylu tygodniach uznała, że Natanielowi można ufać? Że ten człowiek, który miał dla niej same dobre słowa i miskę pełną psich przysmaków, jej nie skrzywdzi? Dość, że podeszła nieśmiało i położyła łepkę na jego kolanie, gdy siedząc na progu domu i patrząc na stojącego nieruchomo siwka, popijał mleko prosto z kanki.

Znieruchomiał, czując ciepło psiego pyska na kolanie. Bał się głębiej odetchnąć, by nie spłoszyć Trusi i tej chwili. Konik zarżał cicho. Psina cofnęła głowę. Ale pierwsze lody zostały przełamane.

Niedługo potem ojciec Joasi przywiózł siano i kilka kostek słomy.

– Sodarow zapłacił – starszy mężczyzna tymi słowami zbył pytania

o cenę.

Nataniel poczuł do Siergieja prawdziwą wdzięczność. Jeszcze gdy znalazł w skrzynce pocztowej kopertę z dwoma tysiącami złotych... Był uratowany! Zaraz podjedzie na ranczo, oporządzi konie, tak jak się umówili, a potem, gdy już zapracuje na pierwszą setkę, zabierze Martę i Mateusza do Pizsa na porządny obiad. Dokarmiali go tak długo, że doprawdy najwyższa pora się odwdzińczyć.

Ale Marta odmówiła!

Wykręcając się pilną pracą, zupełnie jakby nowa narzuta nie mogła tych paru godzin poczekać, zasugerowała:

– Zabierz Asię Jarząbek. Pomagała ci przecież przy szykowaniu miejsca dla Królowy Śnieżki.

Nataniel uniósł brwi.

– Królowy Śnieżki?

– Rano wstąpiłam obejrzeć sobie prezent, jakim uszczęśliwił cię Siergiej. Przyjrzałam się bliżej i to nie żaden siwek, a ona, klacz. A że nie pamiętałam, jak ją nazwałeś, ochrzciłam ją po swojemu: Śnieżka. Potem przyjrzałam się jej dokładniej, stwierdziłam, że jest półkrwi, więc dodałam Królową. Ale możesz ją przechrzcić na... no nie wiem... Aspiryna? Bałwanka? Owieczka?

Roześmiali się oboje.

– Śnieżka brzmi okej. Mnie też się wydawało, że ma dobre pochodzenie. Dlaczego oddali ją na rzeź?

Marta wzruszyła ramionami.

– Wystarczy, że nie spełniała oczekiwań. Może nie dała źrebaka? Nie chciała chodzić pod siodłem? Skakać? Niektórzy ludzie traktują zwierzęta jak przedmioty: kupiony w takim to a takim celu ma robić to i to. Nie robi? Na złom. A dlaczego ktoś oślepił Trusię? To taki kochany zwierzak. Zobacz, jak na nas patrzy, chociaż nie widzi...

Piesek, który przyszedł za Natanielem, siedział parę kroków dalej i co któreś z nich się odezwało, przechylał głowę, jakby wszystko rozumiał.

– Myślę, że Śnieżce potrzebne jest zajęcie – odezwał się chłopak w zamyśleniu. – Coś, dzięki czemu zapomni o tym, co przeżyła. Co nauczy ją od nowa ufać człowiekowi. Może...

– Daj jej na razie spokój. Niech nacieszy się życiem – poradziła Marta. – Wiem, to tylko zwierzę, ale przecież czuje, myśli, boi się, pamięta. Czas leczy rany, no nie? – Szturchnęła go przyjacielsko w bok, patrząc na małą czarną wstążeczkę, którą nosił przypiętą do kołnierzyka. Żałoba po matce.

Wstał.

– Zrobię tak, jak mi pani poradziła. Zaproszę Joasię. Mam nadzieję, że sołtys nie złamie mi za to drugiej nogi albo nie spali chałupy.

– Dopóki mają świeżo w pamięci wypadek i twój bohaterski wyczyn, możesz spać spokojnie. Gdy zaczną patrzeć na ciebie wilkiem, zacznij się niepokoić, a gdy znajdziesz pod domem trutkę na szczury, pakuj manatki i wracaj tam, skąd przybyłeś.

– Serio?!

– Nie, głuptasie. Ograniczą się do przebicia opon w moim, powtarzam, moim skuterze. Wtedy zacznij się pakować.

Gdy wracał ścieżką nad jeziorem, gonił go śmiech Marty, ale wiedział – miał pewność – że w tym, co mówiła, tkwiło ziarno prawdy.

Na razie jeszcze był bohaterem.

A Joasia zadurzała się w przystojnym, jasnowłosym Natanielem Domoradzkim coraz bardziej.

– I co sądzisz o naszej parce? – zagaił do Marty Mateusz, gdy skuter z Natanielem i wtuloną weń Asią Jarząbek mignął mu na drodze do Pizy. – Trochę ci ta panna psuje szyki, co?

Marta spojrzała nań znad skrawków materiału, które pracownicy fastrygowała, łącząc w skomplikowany wzór, i odrzekła:

– Mam czas. Na razie Oliwia nie wybiera się w te strony. Nie mam z kim Nataniela swatać.

– Dostałaś od niej jakąś wiadomość?

– To, co zwykle: „U mnie okej”. Nawet nie wiem, skąd ją wysłała, co teraz robi, z czego się utrzymuje. – W głosie pogodnej zazwyczaj kobiety zabrzmiała rozpacz. – Za co mnie tak znienawidziła? – Uniosła na Mateusza zwilgotniałe oczy.

Pragnąłby ją pocieszyć, ale mógł jedynie rozłożyć ręce w bezradnym geście. Chciałby rzucić dobrą radą: „Porozmawiaj z nią, zapytaj, wyjaśnijcie to sobie”, ale mógł tylko pokręcić głową. Oliwia nie życzyła sobie żadnych rozmów z matką.

Zaraz po maturze wyjechała z kraju i odtąd Marta otrzymywała suche wiadomości: „U mnie okej”. Ani adresu, żeby wysłać choć kartkę na święta, ani odpowiedzi na esemesy...

– Siergiej wyjechał... – Skoro nie mógł pomóc, postanowił odwrócić uwagę kobiety od córki. Temat Sodarowa działał na Martę jak płachta na byka, był więc w sam raz.

Prawidłowo Mateusz to wykoncypował. Lekarka natychmiast się ożywiła.

– Wiesz dokąd?

– A kto by tam za nim nadażył. Nataniel ma zajmować się końmi przez trzy tygodnie, za tyle Sodarow mu zapłacił. Prosić Pana Boga, byś tym razem nie musiała go łątać czy oczami przed policją za niego świecić. Byli u mnie, pytali o krew w szalasi. Stoi na moim terenie przecież. Zbyłem ich bajeczką o rannym dziku, a oni nie wyglądali na zbyt przejętych dochodzeniem. Ponoć była jakaś burda na granicy i ślady prowadzą do nas, ale że nikt nie zginął ani

nie wniósł skargi... – Wzruszył ramionami.

Marta zamarła z igłą wbitą we wzorzystą tkaninę.

Siergiej zatrzymał nielegalny transport koni, wrócił pocięty nożem, na granicy była jakaś rozróżba, ale nikt nie złożył doniesienia. Oczywiście, że nie, skoro po jednej stronie byli przemytnicy, po drugiej... Jeśli Sodarow nie należał do szajki przemytników, a z tego wynika, że wprost przeciwnie, to kim, na Boga, ten człowiek był?!

Przyszędł chyba czas, Marto Kraszewska, by zapytać go o to wprost. Na razie masz same domysły, które być może krzywdzą Siergieja. To, że jest dziki i gwałtowny, nie znaczy, że trzeba go skreślać i oczyma duszy widzieć za kratkami. Wysłuchaj jego historii, a potem... a potem... Spojrzała na dobrą, życzliwą twarz Mateusza. Nie tak przystojną jak Sodarowa, ale przecież piękno, to prawdziwe, nosimy w sercach. Uśmiechał się tak, jak tylko dobry człowiek mógł uśmiechać się do kogoś, kogo kochał całą duszą. Marta zaś... nie miała mu nic do zaoferowania. Oprócz przyjaźni, która pewnie nie na długo temu mężczyźnie wystarczy. Straci i jego...

W odruchu serca chwyciła rękę mężczyzny, ciężką i spracowaną, przyłożyła do swego policzka, a potem ucałowała jej szorstkie wnętrze.

– Dziękuję, że jesteś – szepnęła.

On zamarł bez ruchu jak porażony. Bał się głębiej odetchnąć, by nie cofnęła ręki, jeszcze nie. Inny, korzystając z chwili słabości tej dumnej, nieprzystępnej kobiety, próbowałby czegoś więcej – Sodarow na pewno – Mateusz zaś, wzruszony do głębi, cieszył się jej dotykiem i prostymi słowami płynącymi z serca.

Puściła wreszcie jego dłoń. On westchnął z żalem, że ta chwila minęła.

– Jestem, Martuś, jestem. I będę przy tobie. Zawsze – odrzekł łamiącym się głosem.

Pochyliła głowę nad robótką, by nie widział jej łez. Tak bardzo chciałaby

pokochać tego mężczyznę i tak bardzo tego nie potrafiła...

## ROZDZIAŁ XVI

Joasia na propozycję Nataniela rozpromieniła się jak małe słoneczko. Przytknęła dłonie do policzków, pisnęła z radości, upewniła się: „Na obiad? Do restauracji? Ze mną?!”, po czym... uciekła.

Chłopak z głupią miną został na własnym podwórku i, skoro nikt nie reflektował na darmowy poczęstunek, zajął się przerzucaniem kostek słomy z przyczepy pod dach.

Wypuścił z sadu Śnieżkę, chcąc, by jak najwięcej przebywała blisko człowieka, zdjął koszulę, bo maj rozpieszczał upalną słoneczną pogodą, i niezmordowanie pracował widłami. Wysiłek fizyczny sprawiał mu taką samą przyjemność jak projektowanie okładek. Mięśnie pięknie grały pod opaloną skórą. Nie zdawał sobie z tego sprawy, jak bardzo jest przystojny...

Klacz postępowała za nim krok w krok, chociaż nie widać było życia w jej przygaszonych oczach. Ot, instynkt stadny. Trusia, wyczuwając intruza na swoim terytorium, na początku zjeżyła się od ogona po czubek uszu, ale wkrótce podeszła bliżej i wyciągnęła czarny wilgotny nos w kierunku siwej klaczy. Ta pochyliła głowę, parsknęła. Piesek odskoczył. Nataniel, obserwując zwierzęta z prawdziwą przyjemnością, roześmiał się serdecznie. Na ten moment wpadła z powrotem Joasia, wystrojona w ładną kwiecistą sukienkę. Jeśli dotąd próbowała trzymać uczucia na wodzy, właśnie wtedy zakochała się bez pamięci w uśmiechniętym, szarookim Natanielu Domoradzkim...

Zauważył ją. Podeszedł do furtki. Ona spuściła wzrok, by nie wgapiać się w jego nagi umięśniony tors.

– Myślałem, że obraziłaś się na propozycję wypadu do miasta – zaczął,

przyglądając się zarumienionej dziewczynie uważniej niż zwykle.

– Chciałam się przebrać. Przecież nie pojedę do eleganckiej restauracji w T-shircie i ogrodnickach – odparła nieśmiało. – Przyniosłabym ci tylko wstyd.

– Daj spokój! Wyglądasz ślicznie!

Uniosła nań rozjaśnione radością oczy. Zielone niczym czterolistna koniczynka.

– Teraz ja muszę założyć coś elegantszego. Żebyś ty się mnie nie wstydziała. Daj mi chwilę.

Zniknął w domu i kwadrans później, zmywszy z ciała pot w misce z wodą – prysznic nadal w chacie nie miał – w odprasowanej błękitnej koszuli, ogolony i pachnący męskimi perfumami, które dostał od mamy na ostatnią wspólną Gwiazdkę, gotów był na randkę ze śliczną Asią Jarząbek.

Jej ponownie zaparło dech w piersi na widok chłopaka. I znów zarumieniona i zmieszana wbiła wzrok we własne stopy. Nataniel zdawał się nie zauważać wrażenia, jakie zrobił na dziewczynie, tak silnie miał zakorzeniony obraz samego siebie: ułomny, kulejący, okaleczony.

– Wskakuj! – Wskazał miejsce za sobą na niezawodnym skuterze. – Chciałbym zaprosić cię do srebrnego kabrioletu, ale poprzedni przehandlowałem za chatę, jak wiesz, a nowego jeszcze się nie dorobiłem.

Nie musiał się tłumaczyć, bo Asi wystarczyło do szczęścia, że może usiąść za nim, objąć chłopaka w pasie i bezkarnie się weń wtulić.

Zatrzymano ich pośrodku wsi, przez którą musieli przejechać.

Wysoki, barczysty chłopak, młodszy kilka lat od Nataniela, ale znacznie od niego potężniejszy, stanął pośrodku drogi i nie pozwolił, by jechali dalej.

Nataniel zgasił silnik. Poczuł, że Asia za jego plecami sztywnieje.



– Przepuścisz nas łaskawie? – rzucił do tamtego, zupełnie nie kojarząc, kto zacz.

– Najpierw zamienię słowo ze swoją dziewczyną... – I Nataniel już wiedział, kogo ma przed sobą. Marka Sidłę, syna sołtysa.

Joasia zsiadła ze skutera i z miną zbitego psa podeszła do chłopaka.

– Coś ty z siebie zrobiła? – syknął. – Wymalowałaś się jak kurwa!

Nataniel aż pobladł, słysząc te słowa.

– Ej, człowieku, nie waż się tak do niej mówić!

Stanął u boku bliskiej łez dziewczyny, nie bacząc, że tamten jest wyższy o głowę i najwyraźniej ma ochotę komuś przyłożyć. Sidło Nataniela zignorował. Na razie.

– Gdzie się wybierasz, nie racząc mnie o tym poinformować, szmato? – warknął ponownie i trzepnął Asię wierzchem dłoni w policzek, nie mocno, ot, jakby karciał krnąbrnego psa.

Ona nawet nie pisnęła. Ale Natanielowi było tego za wiele. Chwycił sołtysiaka za przód bluzy i...

– No, uderz, bohaterze! – Tamten zaśmiał się drwiąco. – Ja pierwszy nie mogę, bo ociec nogi z dupy powyrywa, ale jak zaczniesz...

– Nie uderzę, a jeśli już, to nie tu i nie teraz. – Nataniel przyciągnął go do siebie tak, żeby słyszał tylko on. – Ale jak jeszcze raz w mojej obecności obrazisz kobietę, tę czy inną... Jestem informatykiem, hakerem, włamię ci się na fejsbuk i wrzucę twoje selfie: nagi ty i twój fiut. Mały jak orzeszek.

– Tylko spróbuj, kurwa! Łeb ci upierdole!

– To pójdziesz siedzieć, żłobie, a i tak tysiąc twoich znajomych do końca życia będzie sobie z ciebie i twojego fiutka jaja robiło. Jeszcze raz naubliżaj kobiecie i masz przerypane. – Odepchnął go od siebie.

Tamten poprawił bluzę. Splunął. Nie za daleko, ale i nie za blisko od stóp Nataniela.

– My ze sobą jeszcze nie skończyliśmy – uprzedził.

Nataniel zmierzył go lodowatym spojrzeniem.

– Nie tu i nie teraz – powtórzył, po czym wsiadł na skuter, poczekał, aż Asia usiądzie za nim, i ruszył, zostawiając wroga, pierwszego, jakiego dochrapał się w tej wsi, pośrodku drogi.

– Słyszałem, że zadarłeś z sołtysiakiem – tymi słowami przywitał go Mateusz, gdy tylko spotkali się na pomoście. Mężczyzna z wędką, Nataniel z wiadrem na wodę.

– Plotki szybko się rozchodzą – mruknął chłopak, siadając obok Mateusza. – I nie do końca są prawdziwe. To on zadarł ze mną. Pan pozwoliłby takiemu szmaciarzowi obrażać dziewczynę i bić ją po twarzy?

– Rozprasowałbym go na asfalcie, ale ty, wybacz szczerze, chłopcze, w bójce z sołtysiakiem nie masz szans.

– Trochę się ćwiczyło to i owo. Siła nie jest najważniejsza – odparł bez troski Nataniel.

– To wredne bydlę, jak jego tatuś. Nie stanie z tobą twarzą w twarz, prędzej zaatakuje podstępnie, od tyłu, gdy najmniej będziesz się tego spodziewał.

Chłopak spojrzał mu poważnie w zmartwione oczy.

– Nie pozwolę nikomu obrażać kobiety. Bez względu na konsekwencje – powiedział powoli i bardzo stanowczo.

Mateusz klepnął go tylko w plecy, aż chłopak stęknął, po czym zarzucił wędkę i rozmowa była skończona.

Chwilowo.

Posiedzieli w zgodnym milczeniu może z godzinę, gdy od strony dworku

przybiegła Marta. Wpadła na pomost, niepomna syknięć obu mężczyzn: „Ryby płoszysz!”, podparła się pod boki i wypaliła, rzucając Natanielowi gniewne spojrzenie:

– Słyszałam, że biłeś się z Markiem Sidłą! Cały jesteś?

Chłopak spojrzał na Mateusza i obaj parsknęli śmiechem.

– Głuchy telefon... – Starszy mężczyzna puścił do młodszego oczko.

– I co w tym śmiesznego?! – krzyknęła rozsierdzona.

– To nie była bójka, kobieto, tylko męska wymiana zdań – odparł Mateusz wyniośle. – I owszem, jest cały.

– Musiał zadzierać akurat z nimi? Z sołtysiakami? – jęknęła Marta i usiadła obok nich.

– Stanął w obronie dziewczyny.

– Ten młody bandyta żyć mu nie da!

– To co miał zrobić? Ogon pod siebie i na skargę do tatusia?

Rozmawiali, jakby Nataniela nie było wśród nich. Śmieszyło go to coraz bardziej...

– Dobrze wiesz, że Nataniel nie ma ojca!

– To pod spódnicę do ciebie?

Zachłysnęła się oburzeniem. Chłopak nie wytrzymał i parsknął śmiechem.

– Będziesz się śmiał, jak ci konia albo psa otrują – odezwała się Marta całkiem poważnie.

Natanielowi śmiech uwiązł w gardle.

– Byliby do tego zdolni?

Teraz ona się zaśmiała, ale nie był to wesoły śmiech.

– Mieszkałam tu może od dwóch miesięcy, gdy któregoś dnia natknęłam się na sołtysa, jak topił kocięta w wiadrze z wodą. Wkurzyłam się,

postraszyłam policję. On kazał mi pilnować własnego nosa. Jednego kotka udało mi się odratować. Jakiś czas później Sidło zrobił to samo, chyba czekając, aż będę przechodziła. Tym razem były to szczenięta. Ja jestem słowna, poszłam na policję, złożyłam doniesienie o znęcaniu się nad zwierzętami. Policjanci wlepili sołtysowi mandat za picie w miejscu publicznym, bo po pieskach nie było już oczywiście śladu, a następnego dnia znalazłam na progu domu martwego kotka, którego wtedy uratowałam. Od tamtej pory... sołtys nie topi zwierząt na moich oczach, a ja nie jestem taka wyrywna, by z nim zadzierać. Trzymamy rozejm. Nie wrogi, ale też nie przyjacielski. Pytasz, czy byliby zdolni do otrucia twoich zwierząt? Tak. Tobie krzywdy nie zrobią, bo poszliby siedzieć, ale na zwierzakach się wyżyją.

Zapadła cisza, przerywana tylko odległym szczekaniem psów i pluskaniem ryb na gładkiej tafli jeziora.

– Chyba wolę miejską dżunglę – przerwał milczenie chłopak. – Tam przynajmniej zwierząt nie trują...

Mateusz zdjął z haczyka trzepoczącą się rybę, wrzucił ją z powrotem do jeziora, jak to miał w zwyczaju, i rzekł:

– Wieś rządzi się swoimi prawami. Przestrzegasz ich, będzie dobrze, fikas, cóż... lepiej, żebyś nie fikał.

– Więc mam beczynn timer patrzeć, jak łobuz trzepie Asię po twarzy?!

– To sprawa między nim, nią a jej ojcem, Nat – uciął mężczyzna. – Jeśli Aśka i Kaźmirz na to pozwalają, nic ci do tego.

– Pani Marto...?! – Chłopak zwrócił się do kobiety, oburzony do granic.

– Sołtys tłucze żonę, syn – narzeczoną. – Wzruszyła ramionami. – Przy tobie Marek tego nie powtórzy, ale dorwie ją na osobności i odpłaci podwójnie. Taka wieś, taka rodzina.

– Pani też pozwoliłaby się tłuć?

– Natanielu drogi, gdyby ktoś podniósł na mnie rękę, wgryzłabym mu się w krtań. – Marta powiedziała to zupełnie serio.

– A ja bym takiego skurczysyna zatłukł gołymi rękami – równie poważnie dodał Mateusz.

– Natomiast ja mam beczynnienie patrzeć, jak Marek Sidło bije Joasię? – Nataniel nic z tego nie rozumiał.

– Nie będziesz patrzył. On już nigdy tego przy tobie nie zrobi – ucieła Marta. – A tak na marginesie, koń ci ucieka.

Nataniel obejrzał się w kierunku, w którym patrzyła kobieta, i poderwał się na równe nogi. Siwa klacz dreptała przed siebie drogą, która wiodła na ranczo Sodarowa. Widać zapomniał zamknąć furtkę. Szła wolno, z pochyloną jak zwykle głową, dogonił ją więc bez problemu, chwycił za kantar i zawrócił, przemawiając do zwierzęcia łagodnie.

– Może wolałaby być ze swoimi? – zauważył Mateusz, podchodząc do chłopaka. – Konie to zwierzęta stadne.

– Siergiej uznał, że u mnie będzie jej lepiej. Jego koni doglądam trzy razy dziennie, tutaj jestem od rana do wieczora. Ale jak wróci, pogadam z nim...

– Żeby podarował ci drugiego. Do pary.

– Nie chcę...! – Nataniel urwał, widząc, że mężczyzna z niego kpi.

– Masz miętkie serce, chłopcze. Wcisną ci każdą sierotę losu. Niedługo miejsca w stajni zabraknie, wspomnisz moje słowa.

Na razie jednak Sodarow był...? – on jeden wie gdzie, Marek Sidło również gdzieś przepadł, minął maj i nastąpiło piękne mazurskie lato...

## ROZDZIAŁ XVII

**M**ieli pełne ręce roboty. Mateusz, Nataniel i Kazimierz – ojciec Joasi – remontowali chatę nad jeziorem.

To ten pierwszy uznał, że dłużej chłopak w misce myć się nie może i do wychodka przy obórcie biegać również nie. Mamy, bądź co bądź, dwudziesty pierwszy wiek! Tak więc trzech mężczyźni zakasali rękawy i dokarmiani przez Martę na zmianę z Joasią – która zakochiwała się w Natanielu z dnia na dzień coraz bardziej – stawiali ścianki działowe w sieni, by zrobić miejsce na łazienkę z prawdziwego zdarzenia.

Zaczęły spływać pieniądze za zlecenia, Nataniel przestał więc wreszcie biedować. Mógł kupić wyposażenie łazienki, nie prosząc o pożyczki, niedrogą pralkę, szarpnął się również na szafki kuchenne, porządną lodówkę i wersalkę. Kuchnia była duża, więcej niż dwudziestometrowa, a że stanowiła serce domu, Nataniel postanowił przekształcić ją w salon z aneksem, a pokój, nieco mniejszy, w sypialnię z miejscem do pracy. Pomalowali ściany, wymienili okna, bo trzeba było myśleć o mroźnych mazurskich zimach, w saloniku pojawił się kominek.

Tak oto niedawna rudera zmieniła się w ładny, przytulny domek.

W niedzielę, jak Pan Bóg przykazał, zrobili sobie wolne. Nataniel oprowadzał Śnieżkę po sadzie, przyzwyczajając ją z powrotem do siodła, a Mateusz z Kazimierzem siedli na pomoście i od dwóch godzin wpatrywali się w gładkie wody jeziora.

– Nigdy nie zrozumieć mężczyzn – odezwała się Marta do Joasi wodzącej za Natanielem pełnym tęsknoty spojrzeniem.

Dziewczyna spojrzała na lekarkę półprzytomnie. Ta patrzyła na nieruchome sylwetki tkwiące przy końcu pomostu.

– Siedzą tak od paru godzin, nic nie mówią, gapią się w wodę... Jak do nich zagadasz, syczą, żeby nie przeszkadzać. W czym tu przeszkadzać, na miłość boską?! – Pokręciła głową ze śmiechem i powróciła do obierania ziemniaków.

To też ostatnio weszło im w zwyczaj: wspólne obiady albo kolacje po ciężkim dniu pracy. U Nataniela albo Marty, czasem, gdy pomagali Mateuszowi, w jego leśniczówce. Kazimierz z Joasią mieszkali biednie, wstydzili się więc zapraszać sąsiadów do siebie, a oni nie narzucali się ze swoją obecnością.

– Twój Nataniel przynajmniej robi coś pożytecznego – ciągnęła Marta. – Jeśli nie tkwi przy komputerze, zajmuje się zwierzakami. Ale tych dwóch obiboków... Moglibyście ziemniaki obrać! – krzyknęła do nich.

– Ciii, ryby płoszysz! – usłyszała w odpowiedzi gniewny dwugłos.

– Nigdy żadnej do domu nie przynieśliście! – droczyła się z nimi. – Zaraz po złowieniu wpuszczacie z powrotem do jeziora, po co więc w ogóle zarzucać wędki?

– Ciiii!!!

– Nigdy ich nie zrozumieję i ty nie próbuj – powiedziała do dziewczyny.

– On nie jest mój. – Joasia rzuciła w przestrzeń, jakby nie słyszała ostatnich słów Marty. – Nie zwraca na mnie uwagi – w jej głosie zabrzmiały niewypłakane łzy.

Kobieta podążyła za wzrokiem dziewczyny. Nataniel w czarnym podkoszulku i czarnych dżinsach wyglądał świetnie. Utykał coraz mniej, od kiedy znalazł swoje miejsce na ziemi i odzyskał spokój. Może on nie zdawał sobie z tego sprawy, ale ci, którym był bliski, zauważyli tę zmianę. Odgarnął teraz z oczu nieco za długie włosy, spłowiałe od słońca. Ramiona miał

muskularne i opalone na brąz. Można się było w nim zakochać, bez dwóch zdań.

– Traktuje mnie jak młodszą siostrę, a ja nie jestem jego siostrą! – krzyknęła Joasia półgłosem. – Co zrobić, żeby zobaczył we mnie kobietę? – Spojrzała na Martę błagalnie.

– Chyba życie ci niemiłe, dziecko – odmruknęła lekarka. – Chodzisz przecież, czy jak wy to określacie, z Markiem Sidłą. Chociaż po prawdzie częściej cię widzę tutaj niż z narzeczonym.

– Już go nie chcę!

– Więc mu to powiedz. Z naciskiem na „już”, bo jeszcze niedawno wisiłaś na nim jak kleszcz na psie. Pojawia się na horyzoncie lepsza partia – wskazała Nataniela – i Marka „już” nie chcesz? Prosisz się o kłopoty i narażasz na nieprzyjemności chłopaka.

– Nataniel mnie przynajmniej nie bije!

– Bo jest prawdziwym facetem, nie bandziorem. Tamtemu pozwalasz, to cię bije.

– A co mam zrobić?! – Dziewczyna wykrzywiła płaczkliwie usta.

Marta wzruszyła ramionami. Joasia była uroczym dzieckiem, cichym, grzecznym i posłusznym, ale charakteru nie miała za grosz. Nic dziwnego, że Nataniel widział w niej młodszą siostrzyczkę, a nie obiekt miłości. Sam miał silną osobowość – Siergiej nie określiłby go już słowem „ciapciak” – wiedział, czego chce, a tym czymś na pewno nie był związek z dziewczyną tak bezbarwną jak Asia Jarząbek.

Właśnie włożył stopę w strzemię, podciągnął się i już siedział na grzbiecie białej klaczy. Podrzuciła głową, poklepał ją po szyi, mówiąc coś cicho i łagodnie. Uspokoiła się i na jego polecenie ruszyła stępem wzdłuż ogrodzenia.

– Brawo ty! – krzyknęła do Nataniela Marta.



Uśmiechnął się i zasalutował jej żartobliwie.

– Co mam zrobić...? – powtórzyła bezradnie Joasia, patrząc, jak chłopak oddala się leśną drogą.

– Nie wiem, dzieciaku. Ja nikogo do miłości namawiać nie zamierzam, a tobie dobrze radzę: rozmów się z Markiem, bo będzie z tego nieszczęście.

Być może Marta słusznie się martwiła, a może nie.

Ktoś tam na górze miał jednak sporo pomysłów, jak namieszać w życiu Nataniela Domoradzkiego. Mógł pchnąć go w ramiona Asi Jarząbek, a mógł zesłać mu dziewczynę marzeń...

Pojawiła się znikąd.

Któregoś letniego popołudnia wracał do domu z długiej włóczęgi na grzbiecie Śnieżki. Wolnym stępem, bo też nie spieszyło mu się nigdzie. Remont zakończyli tydzień temu. Marta z Mateuszem ponownie wybrali się do Warszawy, Kazimierz wysłał Asię na obóz, dom stał więc cichy i pusty, wygrzewając się w promieniach lipcowego słońca.

Konik zmienił się przez ostatnie tygodnie nie do poznania. Praca pod siodłem, spokojne wędrówki przez lasy i pola, a przede wszystkim czuła opieka Nataniela zdziałały cuda. Klacz wypiękniała, jej sierść lśniła niczym płatek śniegu. Oczy nabrały blasku, a krok sprężystości. Ale nie tylko to miało na nią zbawienny wpływ: przyjaciele podarowali Natanielowi na urodziny uroczego krągłego kucyka. Był maleńki, wielkości wyrośniętego psa. „Nawet nie zauważysz, że go masz” – zapewniała ze śmiechem Marta, widząc minę chłopaka. „A Śnieżka będzie wdzięczna za towarzystwo”. Rzeczywiście, klacz pokochała Kacperka, bo tak miał na imię ten mały, pocieszny konik, i to ostatecznie przywróciło jej radość życia.

Nie rozstawali się z kucykiem nawet na chwilę, razem skubiąc trawę, razem biegając po sadzie i razem śpiąc w wysłanej słomą stajni. Tylko na

włóczęgi po lasach i łąkach, jak ta dzisiejsza, minikonik zostawał z Trusią w zagrodzie. Takie spacerunki były za długie dla krótkich nóżek kucyka, a niewidoma Trusia mogła się gdzieś zapodziać, ale Śnieżka i Nataniel je uwielbiali.

Dziś wypuścili się daleko za ranczo Siergieja i po kilku godzinach wracali, zmęczeni i szczęśliwi, przez las. Klacz, czując, że zbliżają się do domu, przyspieszyła kroku, weszła w lekki kłus, chłopak zamiast ściągnąć wodze, zachęcił ją cmoknięciem do biegu. Nie dała się długo prosić, wyciągnęła w galopie. Przemknęli leśną drogą, wypadli zza brzozy u stóp wzgórza i pognali w górę.

Przed nimi była brama z opartą jednym końcem o ziemię belką.

– Dalej, Królewno, pokaż, co potrafisz! – krzyknął Nataniel.

Przefrunęła nad przeszkodą. Chłopak roześmiał się, ściągnął cugle, pochylił się i serdecznie poklepał konia po szyi.

W tym momencie rozległy się brawa.

Poderwał głowę zaskoczony.

Na progu jego domu siedziała czarnowłosa długonoga piękność. Zaklaskała jeszcze parokrotnie, po czym wstała, obciągając krótką czarną sukienkę i ruszyła w jego kierunku.

Powiedzieć, że Nataniel był zaskoczony, było sporym niedomówieniem. Prawdę mówiąc, odebrało mu głos. Z wysokości końskiego grzbietu miał doskonały widok na głęboki dekolt dziewczyny, jej idealne kształty, pełne piersi, szczupłe, opalone uda... Powrócił spojrzeniem do twarzy nieznajomej. Czarne włosy spływały lśniąca kaskadą niemal do pasa. Usta miała pełne, pociągnięte karminową szminką, co wspaniale współgrało z intensywnie niebieskimi oczami, okolonymi firanką długich czarnych rzęs. Była... oszałamiająca i doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

– Cześć! – odezwała się, podchodząc bliżej. – Świetnie skaczesz.

Nataniel chciał podziękować za komplement, ale nie odzyskał jeszcze głosu.

Co taka piękność robi na końcu świata?! I to pod jego chałupą!

– Zabłądziłam – odezwała się dziewczyna. – Przyniesiesz szklanę wody? Umieram z pragnienia.

Oblizwała usta koniuszkiem języka, a chłopakowi zrobiło się gorąco. I ciasno w pewnym miejscu. Nieznajoma zdawała się pożerać Nataniela wzrokiem. W czarnej koszuli rozpiętej na piersiach, czarnych bryczesach i oficerkach stanowił atawistyczny ideał prawdziwego mężczyzny. Nie uwierzyłby, ciągle pełen kompleksów, że gdy tak trwał nieruchomo w siodle, wyprostowany, szarooki i jasnowłosy, nie było kobiety, która mogła mu się oprzeć...

– Mam sama się obsłużyć? – Dziewczyna przechyliła głowę i uśmiechnęła się nieco dwuznacznie.

Chłopakowi przemknęło przez myśl, że wolałby zostać na grzbiecie Śnieżki, gdzie prezentował się jak pełnosprawny, godny pożądania mężczyzna, na którego piękne kobiety patrzą tak, jak w tej chwili ta dziewczyna, niż z niego zejść i w następnej chwili ujrzeć w oczach nieznajomej rozczarowanie i wstręt, ale na Śnieżce do domu nie wjedzie, wody do szklanki nie naleje. Piękny sen musi prysnąć...

Zeskoczył na ziemię i skrzywił się lekko, czując ukłucie bólu w niepełnosprawnej nodze. Zaboląa go po raz pierwszy od tygodni, bo też od dawna nie myślał o swoim kalectwie. Dla przyjaciół jego utykanie nie miało najmniejszego znaczenia. Kochali go takim, jakim był. Niedoskonałym jak oni sami.

– Przepraszam – mruknął do dziewczyny. – Zaraz przyniosę tę wodę.

Powlókł się do domu, utykając bardziej niż zwykle. Nie obejrzał się na

nieznajomą, nie chciał widzieć wyrazu jej oczu w tak trudnej dla siebie chwili.

– Już myślałam, że jesteś niemową – odezwała się wesoło.

Jeśli była rozczarowana, że księżę na białym koniu okazał się nieco wybrakowany, nie dała tego po sobie poznać.

– Jestem Iwona.

– Już myślałem, że nie masz imienia – powtórzył za nią, uśmiechając się mimo wszystko. – Nataniel. W skrócie Nat.

– To twoja chałupa czy tylko trzymasz tu konia? – Dziewczyna stanęła przed chatą, omiatając ją nieodgadnionym spojrzeniem. Natanielowi zdało się, że jest w nim odraza.

– Moja – uciął.

Był dumny ze swego domu, przyjaciele lubili to miejsce. Wzgardliwie wydęte usta dziewczyny sprawiły mu przykrość, ale cóż... ludziom z miasta dom na wzgórzu mógł się wydać rudera.

– W środku wygląda lepiej. Jest też chłodniej. – Otworzył drzwi i uczynił zapraszający gest. – Częstuj się. Ja muszę rozsiodłać klacz.

Musiał raczej wziąć zimny prysznic i uspokoić demony, które obudziły się w nim po latach uśpienia, ale tego przecież dziewczynie nie powie. Przed wypadkiem miewał miłosne przygody, kochał się w koleżankach z liceum, randkował ze studentkami. Lubił seks z nimi, radosny, niezobowiązujący, a one lubiły przystojnego, pełnego uroku Nataniela.

Wszystko to skończyło się w dniu, w którym spadł w przepaść i już nigdy nie odzyskał dawnego siebie. Wstydził się wykręconej, trzykrotnie łamanej, poblźnionej nogi. Ilekroć na nią spojrzął, chciało mu się płakać z odrazy i wściekłości. Nigdy nie wkładał krótkich spodenek. Obnażenia się przed dziewczyną po prostu sobie nie wyobrażał, a trudno być z kimś w związku, nigdy nie zdejmując spodni.

To, że trzymał uczucia na wodzy, nie znaczyło jednak, że był ich pozbawiony. Miał niepełnosprawną jedynie kończynę. Poza tym był stuprocentowym mężczyzną. Mocno wyposzczonym, z czego sobie w tym momencie właśnie zdał sprawę.

– Ta szklanka wody przydałaby się tobie – mruknął. – A najlepiej kąpiel w jeziorze. Albo skok do studni. Ogarnij się, człowieku, ugość Iwonę, odprowadź na przystanek i pomachaj jej na do widzenia, nie śliniąc się przez cały ten czas na widok jej piersi.

Niestety, na samo wspomnienie pełnych kształtów dziewczyny znów poczuł, że dzinsy robią się za ciasne. Nic na to nie mógł poradzić. Musiał wracać do gościa.

– Miły dom – odezwała się, gdy tylko wszedł do kuchni.

Siedziała na wersalce z podkulonymi nogami. Wyglądała tak naturalnie w tej niedbalej pozie, jakby mieszkała tu od lat. Nataniel zatrzymał się w progu. Nie mógł od niej oderwać wzroku. Sukienka podwinęła się, ukazując rąbek czarnych koronkowych majteczek. Zaszło mu w gardle. Dziewczyna uśmiechnęła się.

– Wybacz szczerść, ale wyglądasz na tak... zszokowanego, jakbyś w życiu kobiety nie widział.

Spłonął rumieńcem i uciekł spojrzeniem.

– Od lat jestem sam – mruknął. – Masz przed sobą kalekę. – Uff, wypowiedział to wstrętne słowo. Jeżeli do tej pory udawała, że tego nie zauważa, teraz mogła się już nie wysilać, ale ona... błysnęła w uśmiechu śnieżnobiałymi zębami.

– Nie wyglądasz na kalekę. Przeciwnie, tam wydajesz się bardzo sprawny.

Nie musiała precyzować gdzie. Jej spojrzenie mówiło wszystko. Nataniel... bezgranicznie zażenowany, odwrócił się i nie bardzo wiedząc, co

ze sobą zrobić, podszedł do zlewu, nalał szklanke wody i wypił jednym haustem. Tak, tego mu było trzeba.

„Weź się w garść!” – nakazał sobie w duchu, po czym usiadł przy stole i zwrócił się do dziewczyny:

– Jak tu trafiłaś?

– Sama nie wiem – odparła, rozglądając się z tak uroczym zdziwieniem, że zaśmiał się mimowolnie. To stopiło wszelkie lody.

– Nie mów, że tajemnym portalem z innej rzeczywistości.

– Aż tak tajemnicze to nie było. Złapałam stopa, facet zaczął się do mnie dobierać, więc podziękowałam uprzejmie i wysiadłam niemal w biegu. Akurat przy drodze, która prowadziła tutaj. Zmachałam się niemożebnie, bo z szosy jest tu dobre kilka kilosów...

– Niecałe dwa.

– No właśnie. O dwa za dużo! Więc przysiadłam na schodkach i czekałam na jakąś litościwą duszę, która mnie przygarnie, napoi i nakarmi. Bo głodna też jestem. Straszliwie.

Poderwał się na równe nogi.

– Na co masz ochotę? Marta zostawiła mi zapiekankę z ziemniaków. Pyszna!

Na słowo „Marta” dziewczyna wyduła lekko usta, czego Nataniel nie mógł widzieć, odwrócony do niej plecami.

– Mam też wczorajszy gulasz, całkiem niezły, ale jeśli masz ochotę na coś...

– Może być ta zapiekanka.

Parę chwil później usiedli naprzeciw siebie przy stole, dziewczyna zajęła się popisową potrawą doktor Kraszewskiej, zaś Nataniel... On stał się naraz bardzo rozmowny. Przez dobre pół godziny zdążył streścić Iwonie swoje

dzieciństwo i wczesną młodość. Przemilczał wypadek, przemilczał śmierć mamy, ale już miał nowy temat: znalezienie tego domu, pierwsze miesiące w Sennej, swoją pracę dla wydawnictw...

Dziewczyna słuchała go z grzeczną obojętnością, dopiero gdy wspomniał o wydawnictwach, wyraźnie się ożywiła.

– Naprawdę pracujesz dla największych wydawców w kraju?!

Przytaknął i zaczął opowiadać o tym, jak dostał w prezencie Śnieżkę. Wiedział, że niedługo zabraknie mu tematów, dziewczyna podziękuje za gościnę, odejdzie i nigdy więcej jej nie zobaczy, a rozpaczliwie pragnął... by została.

– Przejdziemy się? – przerwała mu nagle i nie czekając na odpowiedź, ruszyła do drzwi.

Poszedł za nią niczym wierny pies. Ścieżką wokół domu opadającą łagodnie w stronę jeziora.

Zatrzymała się na końcu pomostu, spojrzała na krystalicznie czystą wodę u swych stóp.

– Mam ochotę na kąpiel, a ty?

Bez namysłu ściągnęła sukienkę przez głowę. Nie przejmując się osłupiałym spojrzeniem chłopaka, odpięła stanik, zrzuciła majteczki z czarnej koronki i naga, naga!, wskoczyła do wody. Pisnęła z zimna w pierwszym momencie, ale już w następnym zawołała:

– Wskakuj, jest super!

Było to tak... zwyczajnie niezwykajne... Oto dziewczyna woła do swojego chłopaka, żeby wykąpał się razem z nią. Nie namyślał się ani chwili. Ściągnął z ramion koszulę i w dzinsach, bo na ich zdjęcie się nie odważył, skoczył za Iwoną. Podpłynął do niej, oczarowany, szczęśliwy. Stanęli w miejscu, gdzie woda sięgała do piersi. Zrzuciła mu ręce na szyję i pocałowała prosto w usta.

Bez namysłu oddał pocałunek. Tak żarliwie, jakby całował pierwszy raz. Bo po prawdzie tak czuł. Jakby umarł na dnie przepaści, trwał zamrożony przez długie lata i oto dziś obudził się z długiego koszmarne snu w raju. W najpiękniejszym miejscu pod słońcem z najpiękniejszą dziewczyną w ramionach.

– Ależ świetnie całujesz – wyszeptała, gdy oderwali się od siebie, by nabrać tchu. – Robiłeś to kiedyś w jeziorze? W biały dzień? Przy ludziach?

Natanielowi zabrakło tchu. Co ona ma na myśli, mówiąc „to”?!

– Kochałeś się? – szeptała dalej, sięgając do jego spodni.

Rozpiąć ich nie mogła, nie w wodzie, ale specjalnie jej to nie przeszkodziło, by podniecić go do obłędu. Wsunęła dłoń pod slipy, zacisnęła palce na jego boleśnie nabrzmiętym członku i zaczęła poruszać ręką. Jęknął przeciągle, przywarła doń ustami. Wtargnął między jej wargi językiem i całował, ssał, przygryzał głodny jej ust, głodny rozkoszy, jaką za chwilę, jeszcze troszeczkę, jeszcze parę ruchów ręki, osiągnie. Orgazm był tak nagły i silny, że wyrwał mu z gardła krzyk.

– Ciii – szepnęła, kneblując go dłonią. Krzyk rozkoszy powrócił echem.

Nataniel rozwarł zaciśnięte powieki i spojrzał na dziewczynę z niedowierzaniem.

– Jesteś niesamowita – wykrztusił z trudem. – Dzień-dziękuję – przełknął głośno, bo wdzięczność za to, co dla niego zrobiła, zdławiła mu gardło. – O Boże, jesteś obłądna.

Przechyliła głowę z filuternym uśmiechem.

– Sprawdzimy, czy ty również?

Ujęła jego dłoń i skierowała prosto między nogi, tam gdzie chłód wody mieszał się z gorącem jej soków. Nataniel nie kazał się dwa razy prosić, zagłębił palce w śliskie, domagające się pieszczoty wnętrze i całując tak, jakby zaraz świat miał się skończyć, doprowadził dziewczynę na szczyt



rozkoszy. Tym razem to jej krzyk spłoszył kormorany...

Nie przypuszczał, że może być tak spragniony kobiecego ciała... Ciepła, bliskości, pocałunków odbierających zmysły, jej przyspieszonego oddechu, gdy była blisko, coraz bliżej szczytu, i bicia serca pod dłonią, gdy po kolejnym orgazmie opadała na jego pierś, ledwo żywa.

Dla niej zapomniał o wstydzie, kochając się, gdzie tylko nasza ich ochota. I gdzie mogli wystawić się na ludzkie spojrzenia – tak, to że ktoś może nakryć ich na seksie, najwyraźniej dziewczynę podniecało, zaś Natanielowi było wszystko jedno, by tylko mógł ją brać. Pomost na jeziorze, polana przy drodze, wysoka trawa pośrodku łąki. Iwona miała obłądne pomysły i nienasycony apetyt. Nataniel zaś... on był po prostu oszołomiony. Wodził za nią nieprzytomnym spojrzeniem, gotów spełnić każdą zachciankę tego daru niebios, i zastanawiał się w głębi duszy, czym na tyle szczęścia zasłużył.

Gdy się nie kochali, leżeli obok siebie, ciasno spleceni, on opowiadał, ona słuchała. Jak potrafiła słuchać! Chłoneła wręcz słowa chłopaka, tak jak on chłonał piękno jej ciała, oczu, włosów, ust, zagłębienia między szyją a obojczykiem, stworzonego do całowania, wreszcie piersi – pełnych i jędrnych, wspaniałych.

Wstawali na szybki posiłek i wracali do łóżka. Wychodzili na spacer, ona zaczynała go uwodzić, Nataniel zaciągał ją w leśną gęstwinę, opierał o pień drzewa, podciągał jej kusą sukienkę, opuszczał spodnie i brał ją na stojąco, niezmordowany i nienasycony, ogarnięty gorączką, a może szaleństwem.

Nie pytał o nic. Wiedział o niej tylko to, co chciała mu powiedzieć. Mieszka w Warszawie, studiuje, ma wakacje. Ruszyła więc w Polskę z nadzieją, że trafi na fajnego faceta, który ją przygarnie na te trzy miesiące. I tak się stało.

Nataniel otworzył przed nią serce, ramiona i dom. Zaniedbał przyjaciół, zapomniał o przejażdżkach na Śnieżce, zlecenia po raz pierwszy nie były realizowane na czas.

Jedynie zwierzętom Siergieja poświęcał tyle czasu, ile zwykle. One miały tylko jego, Nataniela. Nie mógł ich zawieść. Iwona towarzyszyła mu na ranczo tylko za pierwszym razem. Praca przy koniach nie należała do jej ulubionych zajęć. Tylko na chłopaka, siedzącego w siodle, pokonującego na Śnieżce ogrodzenie czy galopującego przez las mogła patrzeć bez końca. Ale on nie mógł li tylko na nią patrzeć. Zeskakiwał z końskiego grzbietu, brał dziewczynę w ramiona, kładł na trawie, podwijał jej sukienkę i wchodził w wilgotną intymność jednym mocnym pchnięciem, tak jak tego pragnął, a ona lubiła.

Cóż, odbiło mu i tyle.

Tak właśnie skwitowała stan Nataniela Marta, która po powrocie z Warszawy czterokrotnie wpadała doń w odwiedziny i cztery razy zastawała drzwi zamknięte na klucz, co do tej pory nigdy się nie zdarzało. Nie wtedy, gdy chłopak najwyraźniej był w domu, bo skuter stał pod zadaszeniem, koń w stajni, a dłużej niż na godzinę—dwie Nataniel pieszo nigdzie się nie udawał.

Za piątym razem zabrała ze sobą Mateusza, na serio zaniepokojona. Może Natanielowi coś się stało? Zapukali raz i drugi. Odpowiedziała im cisza. Nacisnęli kłamekę, drzwi ustąpiły. Weszli ze wstrzymanymi oddechami do środka, spodziewając się... doprawdy różne myśli przychodziły Marcie do głowy. Nataniel ciężko chory, Nataniel pobity, Nataniel pijany...

– To dziewczyna! – krzyknął ze zdumieniem Mateusz, wskazując damskie ciuszki rzucone na fotel w sypialni. – Nasz chłopak znalazł sobie pannę!

Marta w pierwszej chwili się ucieszyła. Serio! Miała wprowadzić plany co

do Nataniela, ale życzyła mu wszystkiego, co najlepsze. Dopiero gdy zobaczyła, co to za dziewczyna...

Nadeszli od strony jeziora, trzymając się za ręce. On wpatrzony w czarnowłosą piękność jak w obrazek, ona mierząca Martę i Mateusza, czekających na ławeczce pod oknem, nieprzyjaznym spojrzeniem lodowato niebieskich oczu.

– Poznajcie się, to Iwona Bugaj, moja dziewczyna – przedstawił ją z dumą.

Podąła Mateuszowi rękę, Marcie, która mierzyła ją równie badawczym wzrokiem, skinęła chłodno głową.

– Martwiłam się o ciebie – Marta zwróciła się do Nataniela z wyrzutem w głosie. – Zachodziłam tu kilka razy, nie otwierałeś.

– Byłem zajęty – odmruknął nieco zmieszany.

Iwona puściła do niego oczko, uśmiechnął się i zaczerwienił.

– Gdzie się poznaliście? – indagowała Marta.

– Tutaj. Przed chatą. Iwona spadła mi z nieba, ot tak! – Chłopak pstryknął palcami i roześmiał się.

Dziewczyna zawtórowała mu, a gdy on, nie mogąc się powstrzymać, cmoknął ją w usta, spojrzała Marcie prosto w oczy i oddała pocałunek, długo, głęboko, tak że kobieta musiała odwrócić wzrok, zdegowana ostentacją tej pieśczoćy. Czy Nataniel nie widział, że ta dziewczyna wszystko robi na pokaz? On był nią zauroczony, wręcz oszalał na jej punkcie, a ona?

Marta nie potrafiła rozgryźć Iwony Bugaj tak szybko, jak by tego pragnęła. Ale była cierpliwa.

– Skąd pochodzisz? – zadała następne pytanie.

– Z Warszawy. Mam podać dokładny adres? Jesteś jego matką czy policjantką, że tak wypytujesz? – Dziewczyna zmrużyła oczy, posyłając Marcie wyzywające spojrzenie.

Jeśli lekarka spodziewała się, że Nataniel, dotychczas czuły na każdą nieuprzejmość czy brak szacunku, zwróci nowej znajomej uwagę, że tak się do jego przyjaciół zwracać nie należy, musiała się rozczarować. Nawet nie zauważył, że między dwiema kobietami, młodszą i starszą, rozpoczęła się cicha wojna, zafascynowany kształtem ucha Iwony, które miał ochotę wziąć do ust issać.

– Marta wypytuje, drogie dziecko, z troski o Nataniela – wtrącił Mateusz, któremu również ton i słowa dziewczyny nie przypadły do gustu. – Jeśli chcesz tu zostać, musisz być nieco bardziej uprzejma.

– Nic nie muszę, jedynie mogę albo chcę. A chcę to, czego chce Nat – odparła i zajrzała chłopakowi w oczy, szukając jego poparcia.

On zdawał się zachwycony tymi słowami. I chciał. Chciał jej. Pięknej, gorącej Iwony.

– Nic tu po nas. – Marta podniosła się gwałtownie. Mateusz również.

– Zostańcie jeszcze chwilę – odezwał się Nataniel, ale bez przekonania. Prawdę mówiąc, chciał zostać z Iwoną sam. Nie miał jej od dobrych trzech kwadransów.

– Wychowaj nieco swoją nową znajomą, to pogadamy – odparła gniewnie Marta.

Uniósł brwi.

– Sugerujesz, że jestem niewychowana? – Iwona zmrużyła wściekle oczy.

Nataniel spojrzał na nią zaskoczony. Zwracała się do doktor Kraszewskiej per „ty”, tonem, który nie mógł się podobać. Ani Marcie, ani jemu. Jeśli jednak ostro dziewczynę usadzi... A ona odejdzie... Posłał Marcie żałosne spojrzenie, przeniósł wzrok na Iwonę i zaczął:

– Słuchaj, nie możesz...

W oczach dziewczyny pojawił się lodowaty błysk.

Marta nagle pojęła, że nie wolno tego niszczyć.

– Nataniel! – przerwała chłopakowi w pół słowa, czując, jak jej serce wypełnia się współczuciem dla młodego mężczyzny. Współczuciem i zrozumieniem. Był samotny od tak dawna. Stracił wszystko i za chwilę może stracić jeszcze więcej...

– Nataniel – powtórzyła spokojniej – przepraszam, wpadliśmy nie w porę. Zapraszam was oboje na herbatę i ciasto, gdy tylko znajdziecie chwilę.

Posłał jej uśmiech pełen wdzięczności i tak rozczulający, że aż łzy napłynęły Marcie do oczu. Zagarnęła pod ramię Mateusza i wyszła czym prędzej, zamykając za sobą drzwi.

– Odbiło mu – odezwała się, gdy młodzi nie mogli jej słyszeć. – Ale to dobrze. Wreszcie jest szczęśliwy.

Mateusz niby przytaknął, ale odpowiedzieć Marcie takim samym wzruszonym uśmiechem – nie odpowiedział. Przeciwnie. Wyglądał na zasepionego.

– Ej! – Marta szturchnęła go w bok. – Chyba nie zazdrościsz Natanielowi tego szczęścia czy tak ślicznej dziewczyny?!

– Życzę mu jak najlepiej – odparł szczerze. – A to „najlepiej” nie jest czarnowłosą cycatą panną, co omotała go jak trujący bluszcz.

– To mądry chłopak, nasyci się, oprzytomnieje, sam się przekona, że to nie dziewczyna dla niego.

– Oby, Martuś, oby... – Mateusz pokiwał głową i spojrzał w niebo. Czemu nagle mu się wydało, że nadciąga burza, skoro bezmiar nad głową był czysty, bez jednej chmurki?

## ROZDZIAŁ XVIII

**P**od koniec lipca Siergiej wrócił do Sennej. Tym razem cały i zdrowy, co z ulgą stwierdziła Marta, gdy tylko do niej zawitał. Siedziała na ganku i ciesząc się pierwszym słonecznym popołudniem, które nastąpiło po tygodniu burz, łączyła skrawki materiału na kolejny patchwork.

– Nic nie muszę ci szyć? Na pewno? Żadnej kuli z ramienia wyjmować? Co za niespodzianka! – wykrzyknęła na powitanie.

– Tęskniłaś za mną? – rzucił od niechcienia, opierając się o kolumnienkę.

– Oczywiście! Co dzień wychodziłam na drogę, wypatrując, czy nie wracasz. Listy słałam bez adresu, mając nadzieję, że chociaż one cię odnajdą. Co wieczór modliłam się o twój rychły powrót...

– Daj spokój, Marta – przerwał jej, przeklinając w duchu swoją głupotę. I nadzieję, z jaką zdążył w stronę dworu.

Roilo mu się, że po tak długim rozstaniu Marta przywita go nieco cieplej, ale ona prześmiewczymi słowami szybko sprowadziła Siergieja na ziemię. Nic się nie zmieniło.

– Cóż... dobrze było cię zobaczyć – rzekł po chwili i zrobił krok w kierunku schodów, gdy poczuł dłoń kobiety na nadgarstku.

– Zostań. Przepraszam – usłyszał jej cichy głos. – Tak. Stęskniłam się. Jesteś draniem, ale mimo to cię lubię. Nasze utarczki też.

Spojrzał na nią zdumiony. Nigdy, odkąd się znali, nie miała dla niego tylu ciepłych słów naraz. Nigdy nie powiedziała, że go lubi. O tym, że się stęskniła, nie mógł nawet marzyć...

– Zostań, Siergiej.

Bojąc się, że spłoszy magię tej chwili nieopatrznym słowem czy gestem, przysiadł na schodkach u stóp kobiety i czekał, aż ona zacznie rozmowę.

Widać milczenie jej ciążyło, a może dawno czekała na tę chwilę, bo odłożyła kolorowe skrawki, zapatrzyła się w złoto-srebrną taflę jeziora i zaczęła:

– Dwa miesiące temu rozstaliśmy się w gniewie, ty i ja.

Nie przytaknął ani nie zaprzeczył. Nie oczekiwała odpowiedzi.

– Przedtem jednak coś mi powiedziałaś, coś ważnego. – Przeniosła spojrzenie z jeziora na twarz mężczyzny, zajrzała mu głęboko w oczy, jakby chciała odczytać w nich szczerą prawdę.

– Tak. Powiedziałem, że cię kocham – odparł. – Zaskoczona? Od lat uganiam się za tobą i jasne jest dla wszystkich, tylko nie dla ciebie, że darzę cię czymś więcej niż sympatią.

Marta znów zapatrzyła się przed siebie. Widać było, że prowadzi wewnętrzną walkę. Wreszcie zaczęła cicho, z wyraźnym trudem:

– Widzisz, Siergiej, ktoś kiedyś mówił mi to samo co ty. Uwodził mnie przez całe studia, powtarzał, że kocha, wreszcie poprosił o rękę, a ja się zgodziłam, bo pokochałam go również. Mój mąż, obecnie były mąż, okazał się łajdakiem bez honoru. Po raz pierwszy zdradził mnie, o czym dowiedziałam się kilka lat później, w dzień ślubu z jedną z druhien. Potem zaliczał po kolei moje przyjaciółki, żeby jeszcze bardziej mnie poniżyć, chociaż w oczy łągał, że dla niego istnieję ja i nikt inny. Wiedzieli o tym wszyscy, cały szpital, pół osiedla, na którym mieszkaliśmy, ekspedientki w sklepie i dozorca, tylko nie ja. Wszyscy kryli łajdusa i za plecami nabijali się ze mnie, głupiej, ślepej żonki.

Spojrzała na niego. Może jemu też było do śmiechu? Ale Siergiej słuchał jej słów z zaciśniętą szczęką i lekko zmrużonymi oczami. Czy to dobrze czy

źle?

Marta, nie zastanawiając się nad tym, mówiła dalej:

– W końcu znudziła mu się ta zabawa, znudziłam mu się ja. Nakryłam go w naszym łóżku z młodszą ode mnie o jakieś dziesięć lat sąsiadką. Nie wyraził skruchy, przeciwnie: wyśmiał mnie, wyszydził. Uciekłam z własnego domu i cóż... odchorowałam to po szpitalach. Bywało ze mną bardzo źle. Bardzo źle... – powtórzyła szeptem. – Wreszcie mądra lekarka wyciągnęła mnie z depresji, postawiła na nogi, pchnęła z powrotem do pracy. Ale łajdus zламаł nie tylko mnie. Cały czas gdzieś na orbicie tych zdrad, rozwodów i załamań była moja córeczka, która cierpiała może nawet bardziej niż ja. I może dlatego dziś mnie nienawidzi jak najgorszego wroga. Przez bydlaka straciłam rodzinę, dom, zdrowie i jedyną córkę. Dziwisz się, Siergiej, że nie ufam twojemu „kocham cię”? Nie ufam tobie?

Nie odrzekł nic.

Pochyliła się ku niemu, ujęła twarz mężczyzny w dłonie, szepnęła: „Nikomu nie ufam, wybaczone”, i pocałowała go w usta, lekko, muskając za ledwie jego wargi, mimo to poczuł, jak żar ogarnia całe jego ciało.

– Marta... – zaczął niskim, nabrzmiałym pożądaniem głosem. – Chcę cię tylko kochać, nic więcej. Pozwól mi na to.

Uśmiechnęła się smutno, cofnęła dłonie, ale przytrzymał ją za nadgarstek, drugą rękę wsunął we włosy i dotknął wargami jej ust tak delikatnie i czule, jak przed chwilą zrobiła to ona. Pieszczotą tak łagodną, że nie mogła już uciec i zapomnieć.

Gdyby był brutalniejszy, zaborczy, jak to zwykle on, odepchnęłaby i mężczyznę, i to niechciane uczucie, ale tego nowego Siergieja chciała tylko więcej... Ona też miała pragnienia i potrzeby. Też tęskniła za bliskością, przytuleniem, pocałunkiem. Też marzyła, by zasypiać przy boku ukochanego mężczyzny i budzić się w jego ramionach. Kochać się z nim, sprzeczać



i godzić w łóżku. Być dla niego całym życiem i dla niego żyć. Czy to tak wiele? Czy naprawdę musi nadal karać się za krzywdy, które uczynił jej kto inny?

„Dosyć! Nie chcę być dłużej sama!” – coś zakrzyczało w jej duszy.

Objęła Siergieja z całych sił, wtuliła się weń całym ciałem. On dał się ponieść pożądaniu i zaczął całować ją namiętnie, z dziką desperacją, jakby się bał, że znów go odtrąci, przegoni jak psa. Ona zapomniała o przeszłości i zatraciła się całkowicie w dotyku jego ust, a Siergiej Sodarow całował wspaniale... Samą pieśczością warg i języka potrafił sprawić, że niemal omdlała z rozkoszy.

Oderwał się od niej, zajrzał pytająco w pociemniałe źrenice kobiety.

– Chodź – wyszeptała. – Chcę się z tobą kochać. Teraz.

Pociągnęła go do domu, zatrzęsnęła drzwi, przekręciła klucz w zamku. Chciała przejść do sypialni, ale on zbyt długo marzył o jej ciele, zbyt długo czekał na tę chwilę... Wbił upragnioną kobietę plecami w drzwi, wsunął palące dłonie pod sukienkę, uniósł materiał nad jej głową i odrzucił na bok. Objął piersi, pochylił się i zaczął ssać nabrzmiące brodawki. Jęknęła z zaskoczenia i rozkoszy tak silnej, że aż bolało. Wsunęła palce we włosy mężczyzny i przyciągnęła go bliżej. Nie tracił czasu na zrzucenie spodni, rozpiął je tylko, uwolnił nabrzmiąłą męskość, uniósł kobietę i powoli osunął na siebie. Gdy był już głęboko, gdy czuła się nim wypełniona, wsparł ją z powrotem o drzwi i... wbił się mocno, do końca, aż krzyknęła. Nie, nie z bólu, a z rozkoszy przeszywającej od stóp do głów, która narastała, narastała z każdym pchnięciem potężnego członka. Krzyczała cicho w takt tych uderzeń. Błagała, by nie przestawał, prosiła o więcej i mocniej. Objęła go udami w pasie z całych sił, wygięła w tył, poddając się bezlitosnym pchnięciom. Coraz szybciej i głębiej. Coraz gwałtowniej. Wreszcie szarpnął ją spazm orgazmu. Zamarła wygięta w łuk, drżąc na całym ciele i pojękując

cicho. On też znieruchomiał, chłonąc piękno szczytującej kobiety, a potem, gdy niemal traciła przytomność, powtarzając jego imię, kilkoma mocnymi pchnięciami doprowadził na szczyt także siebie. Po raz ostatni zanurzył się w jej wilgotnym, gorącym wnętrzu, po raz ostatni wpił się wargami w jej usta, by wreszcie doznać spełnienia...

Osunęli się bez sił na posadzkę w sieni i trwali spleceni ze sobą długie chwile. Wieczór osrebrzył las nad jeziorem, gdy Siergiej uniósł ciężkie powieki, zajrzał Marcie w oczy, poruszył się w jej wnętrzu i zapytał:

– Chciałabyś to powtórzyć? Bo ja tak długo na ciebie czekałem, że pragnę więcej.

Zaśmiała się, cudownie zawstydzona i szczęśliwa zarazem. Nie przyszłoby jej do głowy, że kiedykolwiek jeszcze będzie przeżywać takie uniesienia na drzwiach własnego domu. Zbliżyła usta do jego ust, rozchyliła językiem wargi mężczyzny i zaczęła całować tak, że nie potrzebował słów.

Wziął ją na ręce, chcąc to zrobić gdzie indziej. Zaniósł do salonu. Lecz zanim złożył upragnioną zdobycz na dywan, by posiąść ją powtórnie, rozległo się pukanie do drzwi. Zamarli.

W następnej sekundzie usłyszeli głos Mateusza:

– Martuś, kochana moja, jesteś tam?

Magiczna chwila prysła. Marta wyrwała się z objęć Siergieja.

– To Mateusz! Muszę otworzyć! Gdzie moja sukienka? – zaszepiała w panice.

Ale Siergiej zbyt długo czekał, aż ta kobieta wpadnie w jego ręce, by oddać ją teraz innemu.

Jedną dłonią zatkał jej usta.

– Ciii, miła moja – wymruczał, po czym drugą dłoń wsunął w jej wilgotną intymność i zaczął pieścić tak, że Marta zapomniała o Mateuszu,

zapomniała o „muszę” i o sukience. Zapomniała o całym świecie. Pozostał tylko Siergiej Sodarow i to, co z nią robił.

## ROZDZIAŁ XIX

**M**ateusz Józwik wracał do domu. Wyglądał jak człowiek ciężko chory, postarzały nagle o dekadę. Miał złamane serce. Nawet nie tym, że Marta była z Siergiejem – mógł się przecież spodziewać, że taka kobieta jak Marta nie zwiąże się z kimś takim jak on, Mateusz. To, że Sodarow w końcu ją zdobędzie, też było do przewidzenia. Należał do ludzi, którzy muszą mieć to, czego chcą, i potrafią zdobyć wszystko, za każdą cenę. Tak. Widok tej dwójki razem nie sprawiłby mu takiego bólu jak to, że Marta nie wpuściła go do domu.

Gdyby nie samochód Siergieja na podjeździe, mógłby się jeszcze łudzić, że wyszła na spacer i niedługo wróci. Ale była z Sodarowem w środku. A Mateusz stał pod jej drzwiami jak pies. Niepotrzebny, nieproszony, niechciany...

Dowlókł się do swojej leśniczówki, w której tyle razy gościł doktor Kraszewską. Częstoował ją ciastami, które piekł specjalnie dla niej, powidłami śliwkowymi, które uwielbiała, nalewkami z leśnych malin i poziomek, zbieranych z myślą tylko o Marcie. Gdyby nie ona, zapuściłby dom i siebie samego, bo po co się starać, jeśli nie ma kogoś, dla kogo warto żyć? Nawet ten dyplom leśnika... Przecież zrobił go tylko dlatego, że chciał w oczach Marty być kimś więcej niż zwykłym robolem.

Usiadł ciężko przy stole, oparł czoło na splecionych rękach i trwał tak długo w noc. Rozpaczając bez jednej łzy i bez słowa skargi.

Nie miał łatwo. Los go nie rozpieszczał. Młodo stracił rodziców i jedyną siostrę. Zatruli się czadem z nieszczęelnego piecyka... Z ciężkim sercem pochował ojca i matkę, z jeszcze cięższym Natkę, uroczą, kochaną

dziewczyne, która mogła żyć, powinna była żyć! W chwili śmierci miała tylko piętnaście lat, na miłość boską!

Jakoś pozbierał się po tym wstrząsie. Gdy narzeczona, którą szczerze kochał, poleciała za innym – także. Druga, na którą czekał dobrych parę lat, bojąc się powtórnego rozczarowania, wpadła tuż przed ślubem z najlepszym przyjacielem Mateusza. Jakież to banalne... I bolesne...

Rany w sercu goiły się długo. Wreszcie stwardniało i stało się odporne na zranienia.

Mateusz, nie mając szczęścia do ludzi, zatracił się w pracy. Otworzył firmę budowlaną, a że był pracowity i na wskroś uczciwy, szybko zdobył dobrą reputację w Olsztynie i okolicach. Zatrudnił ludzi. Stawiał olsztyniakom piękne domy, wiodło mu się coraz lepiej. Dziewczyny nie gardziły towarzystwem może niezbyt urodziwego, lecz poczciwego – i bogatego – przedsiębiorcy. Zaczął rozglądać się za żoną. Marzył o rodzinie, dzieciach...

I wtedy polecono go znanemu w całym kraju deweloperowi, który poszukiwał rzetelnego podwykonawcy przy budowie osiedla mieszkaniowego. Największej inwestycji na Mazurach. Pieniądze, duże pieniądze, wabiły. Szeptaly, że nie wolno odrzucać takiego uśmiechu losu.

Mateusz uległ podszeptom. Wziął pożyczkę na dodatkowy sprzęt, zatrudnił więcej pracowników, roboty ruszyły pełną parą. Ludzie kupowali pięknie zaprojektowane, a przy tym niedrogie mieszkania, nie zważając na fakt, że kupują obietnicę i marzenia, a osiedle z placykami zabaw, własnym przedszkolem i sklepami, pięknym parkiem i parkingiem, na razie jest rozkopanym polem i kilkoma dziurami w ziemi pod fundamenty.

Deweloper, jako największy inwestor w okolicy, goszczący w swym podolsztyńskim pałacu tuzów regionu, miał żelazne referencje. Banki oferowały mu pożyczki na wyścigi. I z tymi pożyczkami, oraz z pieniędzmi

od przyszłych właścicieli, któregoś dnia zniknął... Rozwiązał się jak sen złoty, czy raczej senny koszmar setek okradzionych rodzin. Od tamtej pory był poszukiwany przez policję, ale na Wyspach Owczych, czy gdzie tam żył sobie jak król, mogą go szukać do końca świata i o jeden dzień dłużej...

Dla Mateusza ucieczka dewelopera, którego traktował jak mentora i przyjaciela, była nie mniejszym szokiem niż dla załamanych niedoszłych mieszkańców. Oni stracili nierzadko oszczędności życia, on został bez zlecenia i zapłaty za pierwszy etap, za to z pracownikami, ze zobowiązaniami wobec ZUS-u i skarbowki, a wreszcie z pożyczkami nie do spłacenia.

Powtórny cios od losu niemal go złamał. Mateusz Jóźwik, twardy facet, gdy komornik przyszedł po swoje, w nocy próbował się zabić. Sąsiada zaalarmował warkot silnika w samochodzie, chodzącego nieprzerwanie od dłuższego czasu. W ostatniej chwili włamał się do garażu, wezwał pogotowie i odratowali Mateusza...

Uciekł od ludzi i przed parszywym losem do lasu, wydzierżawił od nadleśnictwa opuszczone domostwo, odremontował je sam jeden, własnymi rękami i dorywczą robotą zarabiał na skromne potrzeby, niczego od Boga i ludzi nie oczekując.

Marta Kraszewska, poharatana tak samo jak on, pojawiła się w jego samotnym życiu niczym gwiazdka z nieba. Pokochał ją od razu, od pierwszego uśmiechu, ale nigdy nie dał po sobie poznać, że żywi do kobiety coś więcej niż serdeczną przyjaźń, bo tak jak ją Marta odwzajemniała, tak miłość Mateusza by odrzuciła. Nie miał co do tego wątpliwości. Kudy prostemu człowiekowi do takiej kobiety jak ona...

Kochał więc w cichości serca doktor Kraszewską, a dziś jego miłość umierała z każdą godziną tej czarnej nocy. Marta była z innym. Jego, Mateusza, przegnała jak psa...

Podniósł się ciężko, wyciągnął z kredensu flaszkę bimbrowego, dobrego na

takie „okazje”, odkręcił korek i zaczął pić prosto z gwinta. Bo kto mu zabroni?

## ROZDZIAŁ XX

**M**niej więcej wtedy, gdy Mateusz zaczął pić, Iwona pokazała pazurki. I to bynajmniej nie po to, by wbić je w miłosnym spazmie w ramiona chłopaka. Nie. Ona zażądała samochodu, bo czymś takim – miała tu na myśli skuter – jeździć nie będzie.

Nataniel po remoncie chaty nie miał pieniędzy na kupno nawet najskromniejszej terenówki, która poradziłaby sobie na mazurskich drogach, więc w pierwszym momencie odmówił.

– Do spożywczego będę jeździł sam. Przecież poza codziennymi zakupami nic więcej nie jest nam do szczęścia potrzebne.

Iwona, która jeszcze przed chwilą, zanim wspomniała o samochodzie, rozłożyła przed chłopakiem zapraszająco nogi, w tym momencie zamknęła uda, odtrącając go, i usiadła. Sięgnęła do torebki po papierosa i, mimo próśb, by nie paliła w domu, pstryknęła zapalniczką. Zaciągnęła się głęboko, z widoczną rozkoszą.

– Nat, przyjrzyj mi się uważnie... – Zwróciła na chłopaka swe wielkie, podkreślone konturówką oczy. – Myślisz, że taka kobieta jak ja zadowoli się suchym chlebem i szklanką cuchnącego krowim gównem mleka? I jedną żalosną sukienką?

Nataniel... prawdę mówiąc, w ogóle nie myślał, wpatrzony głodnym wzrokiem w jej zaciśnięte uda. Pragnął jedynie rozewrzeć je, wtargnąć do gorącego wnętrza dziewczyny i pozostać tam do orgazmu. Jemu nadal nie było dość.

Nie zauważył zimnego spojrzenia Iwony, nie pamiętał, jakim tonem zwracała się do jego przyjaciół, nie widział nic więcej niż jej piękne,



dotychczas chętne, nagie ciało.

– Kupię ci sukienkę – rzucił ochryplym od pożądania głosem, bo ona czekała chyba na odpowiedź.

Rzeczywiście. I odpowiedź musiała być poprawna, bo ugasiła papierosa, rozchyliła uda i powiedziała jak dobra pani do swojego szczeniaka:

– Chodź już, chodź...

Pozwoliła, by zakosztował tego, czego tak bardzo pragnął, po czym umknęła biodrami. On z jękiem zawodu opadł na plecy, zakrył twarz przedramieniem.

– Za co mnie tak dręczysz? Czego chcesz? – wydusił, próbując uspokoić wściekle walące serce.

– Przecież mówiłam. Nie słuchasz mnie! Potrzebny nam samochód.

– Spróbuję jakiś skombinować.

– Ty nie próbuj, Natuś, tylko zrób to, w przeciwnym razie moją słodycz dostanie kto inny – zagruchała, a jemu oddech uwiązł w krtani na myśl, że Iwona może odejść i odtąd widywać ją będzie uwieszoną na ramieniu Marka Sidły.

– Dobrze. Jutro... tak, jutro z samego rana pójde do doktor Kraszewskiej, poproszę, by pożyczyła mi swojego nissana. Tak będzie dobrze?

Iwona przechyliła głowę, pozwalając, by kosmyk włosów opadł jej zalotnie na czoło.

– I pojedziemy na duże zakupy?

Nataniel jęknął w duchu. Konto miał puste, najbliższej wpłaty spodziewał się... właściwie nie wiadomo kiedy, bo zlecenia leżały odłogiem. Bank proponował mu jednak przyzwoity limit w koncie. Pięć tysięcy powinno wystarczyć.

– Tak, Iwonko, pojedziemy na zakupy – odrzekł, a ona natychmiast

obdarzyła go długim, namiętym pocałunkiem.

I otworzyła przed nim chętnie, warte grzechu ciało.

Nazajutrz z samego rana Nataniel poszedł w odwiedziny do sąsiadki. Widok samochodu Siergieja zaparkowanego przed dworem nie zdziwił chłopaka. On myślał tylko o tym, by pożyczyć jakieś auto, zabrać Iwonę na zakupy, a po powrocie dostać nagrodę. W nocy dziewczyna obiecała mu coś specjalnego. Nataniel nie mógł myśleć o niczym więcej...

Teraz łomotał do drzwi dworu, nie bacząc na porę nieco zbyt wczesną jak na odwiedziny.

Marta wreszcie otworzyła.

Zaczerwieniona nie tyle od snu, bo spała tej nocy niewiele, a od porannych pieśczoł, jakim się oboje z Siergiejem oddawali, przywitała chłopaka gniewnymi słowami:

– Nat, na miłość boską, pali się gdzieś?! Drzwi z zawiasów wyłamiesz tym łomotem.

– Pożycz mi pani samochód? – On nie silił się na choćby zdawkowe przeprosiny.

– Pożyczę, tylko...

– Więc proszę pożyczyć.

Uniosła brwi. Takiej... bezceremonialności – o ile zwykłą bezczelność można określić tym eufemizmem – po Natanielu Domoradzkim się nie spodziewała.

– Mogę zapytać, po co ci moje auto? O ile pamiętam, masz już mój skuter.

– Muszę zabrać Iwonę na zakupy. Do miasta. Nie pojedzie na skuterze.

W tym momencie w drzwiach stanął półnagi, przepasany jedynie ręcznikiem Siergiej Sodarow. Przeczesał włosy dłonią, oparł się ramieniem

o framugę, po czym odezwał się:

– Kim jest Iwona?

– Dziewczyną Nataniela – odpowiedziała mu Marta, coraz bardziej zirytowana.

Siergiej spojrział z zainteresowaniem na chłopaka, unosząc kącik ust w złośliwym uśmiechu.

– To nasz prawiczek przygruchał sobie dziewczynę?

– Nie jestem prawiczkiem! – wybuchnął Nataniel, czując, że czas mu się kończy. Jeśli natychmiast nie dostanie tego samochodu...

– Domyślam się, że już nie, skoro tak ci spieszo z powrotem. Może wstąpisz na poranną kawę, opowiesz mi o swojej narzeczonej – kpił w najlepsze.

Nataniel pominął jego uwagi milczeniem, wpatrując się natarczywie w Martę.

– Chciałam jechać do spożywczego – rzuciła.

– Pojadę po zakupy – zaoferował się natychmiast.

– Trzeba jeszcze zatankować.

– Zatankuję, tylko... potrzebne mi są pieniądze. – Tu Nataniel zaczerwienił się po czubki uszu. Taki z niego Casanova, że forszę na paliwo musi pożyczać. – Oddam wszystko – rzucił szybko, by Marta się czasem nie rozmyśliła.

Patrzyła na rozgorączkowanego chłopaka długą chwilę. Nagle przypomniało jej się, co dziś w nocy wyrabiała z Siergiejem, i złagodniała natychmiast. Zrozumiała głód w oczach młodego mężczyzny, pragnienie, które mogło zaspokoić tylko dziewczęce ciało.

– Pójdę po kluczyki i portfel.

Minęła Sodarowa, znikając w domu.

– Mówisz więc, że masz dziewczynę – odezwał się Siergiej, przeciągając samogłoski. – Ładna chociaż?

– Piękna – uciał Nataniel.

Nie chciał rozmawiać z tym mężczyzną o Iwonie. Z żadnym innym również nie, jeśli chodzi o ścisłość.

– Skąd ją wytrzasnąłeś?

– Zgubiła drogę. Trafiała do mojej chaty i... została. Jest studentką. Ma wakacje.

– Studentka na wakacjach... – Nie wiedzieć czemu w ustach Sodarowa zabrzmiało to dwuznacznie.

Na szczęście Marta wróciła z pieniędzmi, zanim Nataniel zdążył równie kąśliwie zripostować. Zacisnął palce na kluczykach, niemal wyrywając je kobiecie z dłoni.

– Nat, tylko błagam, uważaj. Nie popisuj się – próbowała przemówić młodemu człowiekowi do rozsądku, już teraz szczerze żałując, że pożycza mu samochód.

Nie bała się o auto, to tylko rzecz. Jeśli jednak coś stanie się Natanielowi, Marta w życiu sobie nie daruje, że przyłożyła do nieszczęścia rękę.

– Może Siergiej poprowadzi? – wpadła jej do głowy zbawienna myśl.

Ale Nataniel, mając w pamięci obietnicę Iwony, że zrobią to w samochodzie podczas jazdy, po prostu zbiegł ze schodków, krzyknął: „Dziękuję, poradzę sobie!”, wskoczył za kierownicę i tyle go widzieli.

– Całkiem oszalał. – Marta pokręciła głową, patrząc za znikającym w kłębach kurzu samochodem.

– Jest młody i wyposzczony. – Siergiej wzruszył ramionami. – Ty godzinę temu miałaś taki sam głód w oczach co on. – Zaśmiał się gardłowo,

otaczając kobietę ramionami. – Ja nadal jestem głodny, czujesz? – Naparł łędźwiami na jej pośladki. Czuła. Gorąco rozlewające się we własnym wnętrzu czuła również. Cofnął się naraz. – Ale to będzie na deser. Pojadę do siebie wziąć prysznic i świeże ciuchy i wpadnę na śniadanie, co ty na to, moja śliczna? – Pochylił się i zaczął całować jej kark. Przygryzł płatek ucha, aż jęknęła z narastającą przyjemnością.

– Jedź, ale wracaj szybko – odparła bez tchu. – Mam ochotę na więcej.

I Siergiej zamierzał wrócić, owszem, ale nie tak szybko. Do powrotu Nataniela ze sklepu i stacji benzynowej miał jakieś pół godziny. To wystarczy, by odwiedzić nową sąsiadeczkę, której był bardzo, ale to bardzo ciekaw...

Daleko szukać nie musiał.

Dziewczyna siedziała na pomoście, zapatrzona przed siebie. Słyszając czyjeś kroki, zwróciła się w tym kierunku. Na widok nieznanego i wręcz nieprzyzwoicie przystojnego mężczyzny przywołała na smutną przed chwilą twarz zmysłowy uśmiech. Miała na sobie niewiele zakrywający kostium bikini, ot, trzy dość skąpe trójkącki połączone troczkami. Gdy tamten wszedł na pomost, przybrała wdzięczną pozę. I jeszcze bardziej seksowną.

Mężczyzna zatrzymał się tuż przed nią i patrząc na dziewczynę z góry, zmierzył ją spojrzeniem konesera. Ona nie pozostała dłużna.

„Ciekawe, czy ten przystojniak zdaje sobie sprawę, że mam usta akurat na wysokości jego fiuta” – pomyślała, mrużąc lekko błyszczące oczy. „Rozepnę mu powoli rozporek, uwolnię żołnierzyka, wezmę do buzi...” Obwiodła koniuszkiem języka karminowe usta.

– Na mnie te sztuczki nie robią wrażenia – odezwał się niskim, gardłowym tonem.

– Czyżby? – Uśmiechnęła się drwiąco. – Twój mały ma chyba inne

zdanie.

– Nie jest taki znowu mały – mruknął, ale nie skorzystał z zawołanej propozycji. Nie dał się sprowokować. – Ty jesteś dziewczyną Nataniela?

– Ja. A bo co?

– Nic. Przyszedłem obejrzyć zdobycz mojego sąsiada.

– Napatrzyłeś się? – Wstała powoli, leniwie i przeciągnęła się, eksponując swoje wspaniałe, pełne piersi, jakby jeszcze było mu mało.

Siergiejowi przemknęło przez myśl, że oddałby całą noc z Martą za jeden numerek w wykonaniu tej dziewczyny. Członek nabrzmiał mu tak boleśnie, że albo ulży sobie teraz z nią – co nie wchodziło w grę – albo przed powrotem do dworu będzie musiał popracować własnoręcznie, bo zanim dopadnie Marty, jądra mu chyba eksplodują...

Uczynił mimowolny krok w stronę dziewczyny, ale ona zaśmiała się i pokręciła głową.

– Mam chłopaka, pamiętasz?

– Nie wyglądasz na taką, którą cokolwiek powstrzyma przed jazdą z sąsiadem – odrzekł coraz bardziej obolały i zły. – Nataniel wie, że przygruchał sobie zwykłą dziwkę?

Zmrużyła wściekle swe lodowate źrenice. On uniósł kącik ust w swym zwykłym kpiącym uśmiechu. Wiedział, jak działa na kobiety. Wiedział też, że ta tutaj należy do łowczyń, jak on sam. Dlaczego upatrzyła sobie taką życiową sierotę jak Nataniel? Pozostało to dla Sodarowa zagadką, nad którą jednak zastanawiał się nie będzie.

– Miło było cię poznać – mruknął, zasalutował żartobliwie i ruszył z powrotem do samochodu.

– Masz jakieś imię, przyjemniaczkę? – krzyknęła za nim.

– Gdy spotkamy się następnym razem, poznasz nie tylko moje imię – odpowiedział i posłał jej uśmiech. Taki uśmiech, którego ona – był tego

pevien – długo nie zapomni...

## ROZDZIAŁ XXI

**G**dy po raz nie wiadomo który Nataniel mało drzwi do dworu nie wyważył, domagając się, żądając, prosząc i błagając, by Marta pożyczyła mu samochód, kobieta, po raz nie wiadomo który wyrwana skoro świt z ciepłego łóżka i jeszcze cieplejszych objęć Siergieja, nie wytrzymała:

– Człowieku, ocipiałeś?! Albo kup sobie własny, albo odeślij tę laskę tam, skąd przybyła, bo robi z ciebie oszalałego od chuci niewolnika!

Zdziwiła samą siebie tym tonem i tymi słowami. Czym jej zawinił biedny, zakochany chłopak, że tak nań naskoczyła? Wiedziała czym... Widziała w jego oczach ten sam strach, który czuła w sercu. Strach, że to wszystko się skończy, że piękny sen pryśnie i znów zostaną sami: ona w pustym dworku, on w pustej chacie. Pragnęła, by ktoś ją zapewnił, że tak nie będzie. Ludzie znajdują swe drugie połówki, no nie? I są ze sobą szczęśliwi do samej śmierci! Ale zamiast tego czuła strach. I nie potrafiła nic na to poradzić.

Przy Siergieju musiała być spokojna, kochająca i łagodna. Mateusz zniknął. Nataniel, niczym jej alter ego, nadawał się na chłopca do bicia idealnie. Szczególnie że teraz, zamiast się pokajać, odpowiedział atakiem:

– Nie jestem jej niewolnikiem! A od pani nie żądam Bóg wie czego, tylko głupiego nissana!

– O siódmej rano?! Do czego to podobne! Ludziom o świcie życie zatruwać, bo księżniczka potrzebuje jedwabnych majtek... Płaci przynajmniej sama za ciuchy czy oprócz prywatnego kierowcy znalazła w twojej osobie sponsora?!



– Nie jestem jej sponsorem! O nic mnie nie prosi! Sam z własnej woli kupuję mojej dziewczynie ciuchy, w których mi się podoba, bo tego właśnie chcę! Chcę, żeby była szczęśliwa!

– To niech sobie będzie, ale dlaczego moim kosztem?! – Marta niemal płakała.

Którąś noc z rzędu zajęta była miłością z Siergiejem, a gdy przed świtem opadli wreszcie z sił, miała nadzieję na dłuższy sen w jego ramionach, potem spokojne śniadanie we dwoje.

Ale nic z tego!

Siergiej tak jak wczoraj i przedwczoraj zaraz wstanie, ubierze się, wsiądzie w swojego jeepa i pojedzie na ranczo, oporządzać konie. Wróci w okolicach południa, po śniadaniu oczywiście, i z miłego poranka we dwoje nieni. A wszystko przez upierdliwego Nataniela i jego niunię!

– Daj mu ten cholerny samochód – odezwał się Sodarow, stając w drzwiach. – Mamy przecież mój.

– Tu nie chodzi o głupie auto! – krzyknęła Marta. – Chodzi o tę dziewczynę!

– A co niby ma pani do Iwony?!

Zdawał sobie sprawę, że nie tak powinien z Martą rozmawiać. Była jego przyjaciółką, na Boga! Powinien wytłumaczyć, dlaczego tak strasznie zależy mu na dziewczynie, ale Marta nie pojęłaby tego...

Zrozumieć Nataniela mógł tylko ten, kto zna, co to ból psychosomatyczny, kto nieraz wgryzał się w poduszkę, żeby nie wyć na głos, walił pięścią w ścianę, gruchocąc sobie knykcie, był gotów zapisać się na śmierć, by tylko przestało boleć – jedynie taki ktoś zrozumie, dlaczego cały świat przestał się dla młodego mężczyzny liczyć.

Pozostała tylko ona – kobieta, która uleczyła i jego ciało, i duszę. Znów czuł się kochany, upragniony. Czuł, że jest sobą sprzed wypadku. Kimś, kim

kiedyś był i nie miał nadziei, że jeszcze kiedyś będzie: normalnym facetem. Facetem, co przez sześć cholernie długich lat zabraniał sobie kochać i obywać się bez kobiety, który dziś mógł się kochać przez całą noc. I jeszcze było mu mało.

Ta dziewczyna ukoła duszę i ciało Nataniela, za to jego mózg oszalał ze strachu. „Gdy ją stracę, zostanę znów sam i ból wróci...” – myślał. I był pewien, że tym razem ze sobą skończy. Czy można się dziwić, że tak rozpaczliwie, za wszelką cenę próbował zatrzymać Iwonę? A Martę, która mogła przyczynić się do jej odejścia – bo nie chciała mu pożyczyć głupiego samochodu! – niemal znienawidził?

– Od początku się pani nie podobała! – zaczął głosem tłumionym z bezsilnego gniewu. – Uwzięła się pani na nią, chociaż ona nic złego nie zrobiła!

– Jesteś tego pewien? Znasz tę dziewczynę na tyle dobrze, by za nią ręczyć?

– Znam! Wiem o niej wszystko! I nie potrzebuję tego pieprzonego samochodu, jeśli mam za każdym razem wysłuchiwać obelg. Obejdzie się bez łaski! – Wściekły do granic, obrócił się na pięcie, zbiegł po schodkach i tyle go widzieli.

Marta chciała go zawołać, ale Siergiej przytrzymał ją za ramię i pokręcił głową.

– Jest dorosły. Niech sam sobie radzi, skoro stać go na tak wymagającą narzeczoną.

Nie mógł wiedzieć, że jego słowa ocala niedługo czyjeś życie, z kolei dwa inne zniszczą.

Nataniel nie wrócił do domu. Bez samochodu nie miał co się Iwonie na oczy pokazywać. Już wiedział, jaka potrafi być przykra, gdy nie dostaje tego, co

chce. Odmowa seksu była jedną z metod, jakimi wymuszała na chłopaku spełnianie zachcianek. Potrafiła oprócz tego krzyczeć i rzucać się nań z pazurami, aż musiał chwytać ją za nadgarstki, zamykać w ramionach i... cóż... obłaskawiać w łóżku, czy gdzie tam się akurat znajdowali. Dla odmiany umiała rozplakać się nagle i tak żałośnie, że Natanielowi serce pękało i gotów był nieba jej przychylić, jeśli to miało osuszyć łzy. Ona pozwalała się tulić i całować. Słuchała, pochlipując, jego zapewnień, obietnic i wyznań. Godzili się czule i namiętnie, po czym Nataniel, znów w siódmym niebie, biegł – jak przed chwilą – do Marty po samochód, by Iwonka mogła trwonić jego pieniądze na zakupach. Wczoraj wybrała się do Olsztyna sama, tak na marginesie.

– Ty nie cierpisz shoppingu – tłumaczyła, odbierając mu kluczyki. – Ja uwielbiam. Poza tym musisz trochę popracować, prawda? Pieniądze na koncie się kończą... Potrzebny ci spokój. Cisza. Skupienie. Ja cię za bardzo rozpraszam. – Uśmiechnęła się zalotnie, dziewczęco, a przy tym bardzo seksownie.

Ucałował ją, wdzięczny, że o nim myśli. Wsunął dłoń między jej uda, by mieć dowód, że ona pragnie go tak samo jak on jej. Trzepnęła go po ręce. Umknęła biodrami.

– Nie teraz. Muszę się umalować, uczesać, wybrać coś odpowiedniego. Dasz mi swoją kartę? – rzuciła od niechcienia.

Bez namysłu sięgnął do portfela. Skoro oddawał ukochanej dziewczynie pożyczony samochód, karta do niemal pustego konta była najmniejszym zmartwieniem. O ile Nataniel czymkolwiek oprócz kilkugodzinnego rozstania z Iwoną potrafił się martwić. Oczadział zupełnie. Ta modliszka wiedziała, jak radzić sobie z młodym, nieprzytomnie zakochanym mężczyzną. Znała wszystkie sztuczki i z wprawą – ciekawe gdzie nabytą? – je stosowała.

Posłała mu buziaka i zniknęła w łazience, by przygotować się do wyjazdu.

Wróciła późnym popołudniem, w obu dłoniach dzierżąc reklamówki pełne fatałaszków. Miała na ustach uśmiech sytej kotki. Czy Nataniel mógł się na nią gniewać za to, że zostawiła go samego na pół dnia? Że ogołociła mu konto? Że musiał tłumaczyć się Marcie, dlaczego jej samochód jeszcze nie stoi przed dworem?

Czy mógł czynić wyrzuty tak niesamowitej istocie, która sprawiła, że czuł się stuprocentowym mężczyzną? Przy której krzyczał z rozkoszy, a nie z bólu? Która zawładnęła nim i jego życiem, stała się dlań wszystkim, centrum jego wszechświata, nie żądając za to niczego więcej, tylko miłości i kilku ciuszków? No mógł?

Oczywiście, że nie!

Dzisiaj, wracając od Marty z pustymi rękami, przeklinał kobietę najpodlejszymi słowami...

Jak mogła pożałować Natanielowi tej kupy złomu?! Wredna, zazdrosna jędza! Tak właśnie! Zazdrosna o Iwonę, piękną, młodą i pełną seksu Iwonę! Ona, Marta, może jedynie wspominać, jak to było w wieku dwudziestu paru lat. I o to też była wściekle zazdrosna!

Nie zdając sobie z tego sprawy, skręcił na rzadko uczęszczaną drogę, prowadzącą do leśniczówki. Stanął w pół kroku. Rozejrzał się nieprzytomnie. No tak! Mateusz! On przecież ma samochód. I nie spławi przyjaciela tak jak Marta!

Przyspieszył kroku.

Mateusza znalazł na drodze. Leżał nieprzytomny twarzą do ziemi...

– Pani doktor! Marta! Musisz tu przyjechać! Natychmiast! – rozbrzmiał w telefonie przerażony głos Nataniela, gdy Marta bardzo niechętnie,

spodziewając się, że znów będzie błagał o pożyczenie samochodu, odebrała połączenie. – Mateusz leży przed swoim domem! Oddycha, ale jest nieprzytomny! Co mam robić?!

– Wezwij pogotowie i zostań przy nim – rzuciła chłodnym, opanowanym tonem, odkładając przyjaźń na inny czas, a stając się lekarzem. – Zaraz będę.

Zrzuciła koldrę, podbiegła do szafy po jakieś ciuchy i zaczęła gorączkowo je nakładać.

– Co się stało? – Siergiej sięgnął po spodnie.

– Mateusz. Nat znalazł go pod domem.

– Poczekaj, jadę z tobą! – zawołał za nią, bo zdążyła już ruszyć ku drzwiom.

Po chwili, prowadząc tak szybko jak nigdy w życiu, Marta gnała drogą przez las. Trzy, może cztery minuty później hamowała przed Natanielem, pochylonym nad nieruchomym kształtem. Chłopak podniósł na lekarkę przerażony wzrok. Dopadła Mateusza, którego Nataniel zdążył odwrócić na plecy, przyłożyła stetoskop do piersi mężczyzny.

– Ma wysoką gorączkę. Bardzo wysoką. Wezwałeś pogotowie? – odezwała się ostro do chłopaka.

Nie to, żeby się na niego gniewała, przeciwnie, czuła narastającą wdzięczność. Za co?, będzie to sobie już niedługo wyrzucać. Ten ostry ton nie pozwalał się jej załamać już teraz.

– Tak. Ale szybko tu nie dotrą. Mówili coś o kwadransie. Minęło dopiero...

– Nieważne. – Wstała, ujęła Mateusza pod ramiona. – Siergiej, pomóż przenieść go do samochodu.

Mężczyzna odsunął ją stanowczym gestem i rzucił do chłopaka:

– Bierzemy go.

Położyli nieprzytomnego mężczyznę na tylnym siedzeniu. Nataniel usiadł przy nim, Siergiej wskoczył za kierownicę.

– Marta? – pospieszył ją.

Usiadła na siedzeniu pasażera, przypięła się pasami i nagle się rozkleiła. Ukryła twarz w dłoniach, by nie widzieli gorących, pełnych wstydu łez.

Siergiej, prowadząc tak szybko jak ona przed chwilą, posłał jej pytające spojrzenie, ale nie były to miejsce i czas na wypytywania. Droga była wyboista, nierówna. Samochód ślizgał się między koleinami, wpadając w błoto i wyrywając się z niego.

– Weź się w garść! – warknął, nie wiadomo, czy do siebie czy do kobiety. – Jak tam z tyłu? – rzucił przez ramię.

– Bez zmian – padła odpowiedź.

– Będzie dobrze. – Siergiej na sekundę oderwał wzrok od drogi i spojrzał we wsteczne lusterko. – Na zachlanie tak szybko się nie umiera.

Sodarow postawił diagnozę tylko w połowie trafną. Owszem, Mateusz pił niemal nieprzerwanie, od kiedy wrócił od Marty, ale któregoś dnia – kiedy to było? Nie mógł sobie przypomnieć, gdy po odzyskaniu przytomności go o to pytali – obudził się z ostrym bólem w piersiach i duszącym kaszlem. Gorączka zaczęła trawić jego ciało, zanim znalazł jakieś piguły. Wrócił do łóżka, śmierdzącego potem i wymiocinami.

Temperatura nie spadała mimo leków, kaszel rwał płuca i krtań. Ostatnie, co pamiętał, to nieprzeparta chęć złapania oddechu. Jednego haustu świeżego powietrza. Wszedł przed dom, zrobił kilka kroków i upadł. Gdyby Nataniel przyszedł do leśniczówki dzień–dwa później, znalazłby zwłoki, a nie chorego przyjaciela.

– Zachłystowe zapalenie płuc – brzmiało orzeczenie. – Tak szybko pana stąd nie wypuścimy, panie Jóźwik.

Było mu wszystko jedno. Czy zdycha tutaj czy we własnym domu, jakie to ma znaczenie? Marta i tak nigdy nie będzie jego, po co więc mu żyć?

Ona ujęła dłoń mężczyzny, tę spracowaną, szorstką dłoń, wielką jak bochen chleba, i przytuliła do policzka. W oczach miała niedawne łzy.

– Przepraszam, Mateusz. Przepraszam...

Zwrócił twarz w jej stronę, spojrział z powagą, bez uśmiechu i łagodności, jakie zawsze gościły w jego dobrych oczach.

– Nie przepraszaj, Martuś, serce nie sługa.

Odwrócił twarz, zamknął oczy. Cóż więcej mógł powiedzieć?

## ROZDZIAŁ XXII

Choroba Mateusza, mimo że Nataniel nie powinien czuć się winny, sprawiła, że oprzytomniał, ochłonął. Iwona nadal zajmowała jego myśli, a gdy wracał do domu, nie mógł się nią nacieszyć, nadotykać jej, nakochać, ale zaczął zauważać resztę świata: choćby stęsknione zwierzęta, Trusię, Śnieżkę i Kacperka, które paskudnie zaniedbywał przez ostatnie tygodnie, wydawców, którzy nagłymi mailami domagali się gotowych projektów... Miał na utrzymaniu wymagającą kobietę. Żeby z nim została, musiał zarabiać.

Coraz więcej czasu spędzał więc przy komputerze. Marta nie opuszczała szpitala, trwając przy chorym Mateuszu, tak jak kiedyś trwała przy rannym Natanielu. Czasami odrywał się od pracy, wsiadał na skuter i jechał, żeby ją zmienić. Wtedy mogła wrócić do domu, wykąpać się, przebrać, złapać parę godzin snu.

Iwony niemal przez ten czas nie widywał. Przynajmniej nie w dzień. Za to nocami nie odrywali się od siebie.

– Tęsknię! – szeptała, gdy opadali bez tchu na skotłowaną pościel.

– To potrwa jeszcze parę dni. Mateusz wróci do domu, ja skończę projekty i znów będziemy mieć czas dla siebie – obiecywał, całując jej miękkie, zapraszające usta. – Co robisz całymi dniami? – pytał, jeśli miał jeszcze siły zadawać pytania.

– Opalam się, chodzę na spacer, czasem wyrwę się na zakupy...

– Na piechotę? – niepokoił się. – Przecież to kawał drogi, a ty w tych szpileczkach?

– Och... nie chodzę do spożywczego. Łapię stopa do Olsztyna i tam



trochę szaleję. Na tyle, na ile pozwala debet na twoim koncie. Powinieneś wziąć jakąś pożyczkę, dopóki nie zaczniesz porządnie zarabiać. Ja nie mogę się tak ograniczać...

Z pożyczką nie było żadnego problemu. Chwilówka w jednym banku, chwilówka w drugim, jeszcze większy debet na koncie i Iwona nie miała się już na co skarżyć. Oddawała się chłopakowi noc w noc z niegasnącym entuzjazmem i coraz to nowymi pomysłami. A wyobraźnię miała nieograniczoną.

Niech Nataniel cieszy się ostatnimi spokojnymi dniami mijających wakacji. Niech cieszy się chwilami szczęścia i spełnienia kradzionymi losowi.

Cios miał spaść lada moment.

Jeszcze tylko dwa dni...

Jeden dzień...

Teraz.

Samochód zepsuł się tuż przed zjazdem z głównej drogi.

Nataniel zjechał na pobocze. Przekręcił kluczyk w stacyjce, ale nissan wydał z siebie tylko kasznięcie i to wszystko.

Chłopak spojrzał pytająco na Martę, która jeszcze przed chwilą przysypiała na siedzeniu pasażera, a teraz rozbudziła się nagłą ciszą. Wzruszyła ramionami.

– Może zabrakło paliwa?

– Bak jest niemal pełny...

– No to nie mam pojęcia, co mu się stało.

Nataniel miał chyba jeszcze mniejsze rozeznanie w potężnych terenówkach niż Marta.

Dzisiaj wracali ze szpitala obydwój. Mateusza zabrano na badania do

Olsztyna. Lekarze doszukali się zmian w sercu i załatwili konsultację z kardiologiem. Jego przyjaciele mogli więc wracać do Sennej. Cóż... mogliby, gdyby auto nie odmówiło posłuszeństwa tak blisko domu.

– Chrzanię to! – rozeźliła się lekarka. – Zostaw ten złom tutaj, do domu mam dwa kilometry. Marzę o kąpieli i własnym łóżku. Później ściagnę drogówkę.

Nataniel przytaknął bardziej niż chętnie, w duchu już ciesząc się z niespodzianki, jaką sprawi Iwonie wcześniejszym powrotem.

Droga przez las, prowadząca do chaty, a potem do dworu, zaczęła się dłużyć i jemu, i Marcie, tęskniącej nie tylko do miękkiego łóżka, ale i silnych, kochających ramion Siergieja. I nie tylko ramion.

Nie zwracali uwagi na piękno ostatnich dni sierpnia. Widząc chatę wyłaniającą się zza linii brzoź, przyspieszyli kroku. Jeszcze tylko Nataniel odprowadzi Martę kawałeczek wzdłuż jeziora, jak to miał w zwyczaju, i zaraz... zaraz...

Z pomostu, który krył się za szpalerem trzciny, dobiegły ich jakieś odgłosy. Marta, czując, jak serce podchodzi jej do gardła, zwolniła. I przytrzymała za rękę Nataniela. Jeszcze parę kroków... trzciny powoli rozstały się przed nimi.

Oboje stanęli jak wryci.

Iwona, naga i piękna w promieniach zachodzącego słońca, siedziała okrakiem na Siergieju i niespiesznie poruszała biodrami. On jedną rękę zgiął pod głową, drugą ugniatał pierś dziewczyny. Bez zbytniego zaangażowania, bez namiętności, jakby spotkali się na kawie czy papierosie. Ot, dwoje znajomych miło spędzających popołudnie. On rzucił nagle pytanie:

– Co ty właściwie chcesz od tego chłopaka? Wydołaś go chyba doszczętnie.

Zaśmiała się gardłowo, zachwycona dwuznacznością tych słów.

– Nie mów, ślicznotko, że jesteś w nim zakochana...

– W tym kuternodze?! Żartujesz?!

Nataniel, nie wierząc jeszcze w to, co widzi, ani w to, co słyszy, pobladł śmiertelnie. Marta wpiła palce w jego ramię, czując, jak nogi się pod nią uginają. Nie chciała tego słuchać, nie chciała na to patrzeć, ale nie mogła też się cofnąć.

Plaśnięcia ciała o ciało przybrały na sile. Iwonę naprawdę zaczęło brać. Gadać o Natanielu, gdy się ujeżdża kochasia Marty? To dopiero odlot!

– To miły chłoptaş. Na krótką metę jak znalazł. Powiedz lepiej, co jest między tobą i tą lekarką.

Siergiej uniósł się nieco, wbił palce w biodra dziewczyny i ponownie nadział ją na szkarłatne prącie. Raz, drugi, trzeci... coraz szybciej i mocniej.

– Szkoda cię dla niej. Co ty widzisz w tej starej raszpli? – wydyszała. – Nie zamierzasz się chyba z nią żenić? Karmi cię i daje dupy bez ślubu, więc...

Zduszony krzyk sprawił, że oboje znieruchomieli.

Tam, gdzie kończą się trzciny, a zaczyna pomost, stali Marta z Natanielem.

Jedno spojrzenie w szeroko otwarte, niedowierzające oczy chłopaka, drugie na śmiertelnie pobladłą twarz kobiety i było wiadomo, że słyszeli wszystko. Każde słowo...

Chciała krzyżeć! Chciała wyć, szlochać, miotać przekleństwa, ale zaciśnięte gardło nie przepuszczało nic więcej niż spazmatyczne hausty powietrza. Trzymając się kurczowo ramienia chłopaka, patrzyła, jak tamtych dwoje, te dwie obrzydliwe, podłe kreatury, podrywa się, osłaniając tym, co wpadło im

w ręce, i zmierza ku niej i Natanielowi.

Siergiej coś mówił. Powtarzał chyba jej imię. O coś prosił. Nie chciała tego słuchać. Chciała upaść i nie wstać więcej. Pragnęła jedynie umrzeć. To chyba możesz dla mnie zrobić, Boże, ponoć miłosierny, skoro właśnie mnie zabiłeś?!

Ale nie jest tak łatwo umrzeć na zawołanie.

Tamtych dwoje było już przed nimi.

Siergiej wyciągnął do Marty rękę. Iwona minęła Nataniela bez słowa, z gniewnie wyдутymi ustami. Marta wzdrygnęła się, czując dotyk palców na policzku, jakby musnęła ją śmierć, nie dłoń ukochanego mężczyzny. Ukochanego?!

– Odejdź – rzuciła nieswoim głosem.

Dłoń Siergieja opadła.

– Martuś, to nic nie znaczyło. Po prostu szybki numererek. Nic więcej. Kocham ciebie i tylko ciebie. Wiesz o tym – mówił szybko, wiedząc, że gdy przestanie, ona powtórzy:

– Odejdź!

Uderzyła go w twarz. Nie bronił się. Jeszcze próbował coś powiedzieć, ale odepchnęła go.

– Odejdź!!! – krzyknęła, patrząc na niego z odrazą i pogardą. I bezgranicznym żalem.

„Zaufałam ci, uwierzyłam w twoje »kocham«!” – czytał w błyszczących od łez oczach.

– Odejdź – wyszeptała, krztusząc się łzami, i odwróciła twarz.

Ruszył za Iwoną, wiedząc, że nic tu po nim.

Marta została z Natanielem, który przez cały ten czas, tych kilka najdłuższych chwil w swoim życiu, nie odezwał się, nie odetchnął, nawet nie

drgnął.

Nagle dotarło do niej, że – owszem – jej serce pękło na kawałki, ale przecież... była dorosłą kobietą, która nie miała zbyt wielkich złudzeń co do mężczyzn i w głębi serca nie oszukiwała się, że dla takiego faceta jak Siergiej jest czymś więcej niż kaprysem. Wyzwaniem. Dopiął swego i nie zamierzał na tym poprzestać. Piękna Iwonka była przecież bardziej ponętna niż „stara raszpla, która karmi i daje dupy za darmo”.

Ale Nataniel... on naprawdę kochał tamtą dziewczuchę. Jemu pękło nie tylko serce. Jemu rozsypał się cały świat.

– Nat... – Spojrzała nań i gardło zacisnęło się jej jeszcze boleśniej na widok dwóch wielkich łez w oczach chłopaka. – Natuś...– powtórzyła bezradnie, patrząc na jego nieme cierpienie. – Chodź, musimy iść. Nie możemy tak tu stać.

– Idź sama – odezwał się martwym głosem. – Nic mi nie będzie.

Odwrócił się i ruszył z powrotem drogą, którą tu przyszli.

Iwona, gdy ją mijał, coś wrzeszczała. Że się pakuje i wyjeżdża. Że ma dosyć jego zaborczości. I że jest... Nie dokończyła. Siergiej chwycił ją za ramię i pchnął do domu.

Nataniel nawet na nich nie spojrzał. Wszedł w las i dotąd stawiał krok za krokiem, aż był pewien, że nikt go nie zobaczy i nikt go nie usłyszy.

Dopiero wtedy nogi się pod nim ugięły. Upadł na kolana. Wsparł się ręką o ziemię, wbił zęby we własną pięść i zaniósł się szlochem.

## ROZDZIAŁ XXIII

**P**rzeklęty dom. Dom, który odbierze ci wszystko, co pokochasz. Powinno było się ciebie spalić zaraz po tym, jak potopiły się w jeziorze te dzieciaki” – myślała Marta, siedząc na ławce w sadzie i patrząc na starą chatę.

Tylko tutaj, do sadu, gdzie spędzili we troje, z Natanielem i Mateuszem, wiele cudnych ranków, popołudni i wieczorów, zdołała dotrzeć, zanim nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Opadła więc na ławkę i patrzyła szklistym wzrokiem przed siebie. Na dom.

Z wnętrza dobiegały wrzaski Iwony i podniesiony głos Siergieja. Marta miała ich gdzieś. Jak dla niej, mogli się pozabijać. Zupełnie nie była zainteresowana, o co tych dwoje się żre.

Pierwsza wypadła na zewnątrz ta pieprzona zdzira. Czy Nataniel naprawdę nie widział, że to zwykła dziwka? Na miłość boską, kto normalny się tak ubiera? Czarna mini z dekoltem do pasa, ledwo zakrywająca pośladki? Srebrne sandały na niebotycznie wysokim obcasie? Tutaj, w środku lasu?!

O to właśnie się gówniara awanturowała: Siergiej miał ją odwieźć do Olsztyna, na dworzec PKS, a on odmawiał. Chciał zostać tutaj, z Martą.

Po jakiego?! Będzie nadal jej wmawiał, że między nimi nic nie zaszło? „Po prostu szybki numerek”? A gdy już zaliczy tę, drugą i kolejną, wróci do Marty, bo ona „karmi i daje dupy za darmo”? Łzy napłynęły jej do oczu. Zapłakała bezgłośnie. Pochyliła głowę, nie mając choć tyle sił, by je otrzeć, i patrzyła, jak skapują na kolana.

– Marta... – usłyszała cichy, pełen bólu głos Sodarowa. – Martuś, przepraszam... tak strasznie mi przykro...

Nie podniosła głowy. Nie wyrzekła ani słowa. Płakała nad rozwianymi złudzeniami, nad tym, co mogłoby między nią a nim być, gdyby tego nie zdeptał. Płakała nad wszystkimi samotnymi nocami, które ją czekają. Gdy będzie wpatrywać się niewidzącym spojrzeniem w sufit i wspominać dotyk jego dłoni, uścisk ramion, słowa, którymi ją pieścił, szybki oddech przechodzący w jęk rozkoszy, ciepło w sercu, jakie czuła, patrząc na tego mężczyznę. Swojego mężczyznę. Mężczyznę, dla którego okazała się tylko kucharką i tanią dziewczyną.

Płakała.

On klęczał obok, nie znajdując słów, jakimi mógł ukoić jej ból i wściekłe wyrzuty sumienia targające własną podłą duszą.

– Nie ruszę się stąd, dopóki mnie nie odwiedzisz! – dobiegł go wrzask Iwony.

Siedziała na schodkach chaty, z rękami skrzyżowanymi na piersiach, wyдутymi ustami i lodowatym spojrzeniem wbitym w tych dwoje: mężczyznę klęczącego u stóp kobiety. Mażące się jak dziecko, wspaniałej pani doktor. Co za żenada!

Siergiej ujął dłoń Marty, próbował unieść do ust, ale wyszarpnęła ją.

– Martuś, muszę jechać, ale wrócę i porozmawiamy na spokojnie. Dobrze?

Nie odpowiedziała.

Wstał i ruszył ścieżką ku dworowi, gdzie na podjeździe stał jego samochód. Iwona, chwiejąc się na swoich szpilkach, obwieszona torbami, w których unosiła dobytek kupiony za pieniądze Nataniela, pokuśtykała za nim.

Zniknęli za zakrętem.

Marta uniosła głowę ku ciemniejącemu niebu. Do jej stóp przypełzła,

szorując brzuchem po ziemi, zapomniana przez wszystkich Trusia. Kobieta położyła drżącą dłoń na łepku zwierzęcia.

– Gdzie jest Nataniel? – wyszeptała. – Gdzie jest twój pan? Musimy go odnaleźć. W tej strasznej chwili nie może być sam.

Suczka podniosła się. Ruszyła w stronę lasu, zwróciła niewidzące oczy ku Marcie i zrobiła jeszcze parę kroków przed siebie. Kobieta ruszyła za nią.

Jak długo trwała jego rozpacz? Nataniel uniósł głowę dopiero wtedy, gdy stracił resztę łez. Te, które mu jeszcze zostały po śmierci mamy, dziś wypłakał do końca.

Poczuł na policzku delikatne dotknięcie. To Trusia przyszła go pocieszyć. Przygarnął pieska ramieniem, ukrył twarz w jego miękkiej sierści pachnącej łąką. Sunia polizała go w policzek. Gdyby nie wykłuto jej oczu, miałyby w nich teraz bezgraniczną miłość. Taką, której nie można kupić za żadne pieniądze. Taką, która cię nigdy nie zawiedzie i nie zdradzi. Lecz była to jedynie psia miłość.

Nataniel tęsknił za miłością kobiety...

Może... może Siergiej miał rację? „To nic nie znaczy, szybki numerek”. Może bezczelnie uwiódł Iwonę?

„Nie mów, że jesteś w nim zakochana...”

„Żartujesz?! W tym kuternodze?!”

Naprawdę roisz sobie, Nat, że były to słowa niewinnej, uwiedzionej przez złego Sodarowa, dziewicy? Może jesteś naiwny, ale nie bądź głupcem!

Przytulił pieska do siebie, czując, jak gardło zaciska mu się spazmatycznie. Nie chciał od Iwony nic więcej oprócz miłości...

Trusia zaskomlała cicho, w zapadającym mroku poruszył się ciemny kształt. To Marta, która siedziała oparta o drzewo nie wiedzieć jak długo, wstała i uklękła przy Natanielu.



– Chodź, Nat, dziś przenocujesz u mnie, na piętrze.

Wyciągnęła doń rękę. Chwytał ją mocno. Uścisnął ze współczuciem. Otumaniony do tej pory rozpaczą, nagle uświadomił sobie, że Martę zraniono nie mniej niż jego, ona też straciła kogoś, kogo kochała, ona również została dziś sama...

Oboje pokonani przez los i przez ludzi, ruszyli powoli w stronę dworu.

Gdzieś w oddali zamigotało światelko, które zawsze paliło się na ganku jego domu. Tyle razy spieszył nocą w jego stronę, ciesząc się na samą myśl, że za chwilę będzie u siebie. We własnym łóżku. Które jeszcze wczoraj dzielił z ukochaną dziewczyną...

Nataniel odwrócił wzrok.

Jutro będzie musiał wrócić do tego domu. Zmierzyć się z pustką czterech ścian. I jeszcze czymś, co – czuł to szóstym zmysłem – było już blisko, bardzo blisko...

Tylko ona trzymała to coś z daleka od Nataniela. Po sześciu latach trwania z dnia na dzień, zamrożenia niczym ziemia czekająca na wiosnę, Nataniel zachłysnął się życiem i emocjami, tamta dziewczyna obudziła go niczym śpiącego księcia. Zaczął wierzyć, że może się podobać taki, jaki jest, niedoskonały, ułomny. Znowu czuł się kochany, upragniony.

Dziś nad jeziorem poznał prawdę: Nic się nie zmieniło. Był dla niej „miłym chłopciem na krótką metę, kuternogą”.

Nataniel potknął się. Upadł na kolana.

Marta w jednej chwili znalazła się przy nim.

– Dziecko, co ci jest? – Potrząsnęła nim.

Uniósł na nią ogromne, tak ciemne, że aż czarne oczy.

To było tuż-tuż...

Zacisnął zęby, czując, że nadchodzi. Odepchnął Martę. Wstał i zawrócił do chaty, nie zważając na jej wołania. Potykając się jak ślepiec, wpadł do środka, wyszarpnął szufladę, odnalazł fiolkę, tabletki rozsypały się po blacie. Łyknął dwie, ale było za późno. Bestia była za blisko. Dopadł kredensu, wyjął flaszkę wódki, przytknął do ust i pił, krztusząc się, długimi łykami. Za późno... Ból, jakiego nie czuł nigdy w życiu, wgryzł się kłami w poblížnione udo i szarpnął z całych sił.

## ROZDZIAŁ XXIV

Widać droga do Olsztyna była długa i daleka, bo Siergiej wrócił dopiero po tygodniu. Być może zaszył się przez te dni na swoim ranczu, nikt go jednak we wsi nie widział, ale też nikt „za tymi z lasu”, jak mówiono o Sodarowie, Marcie i Mateuszu, a od niedawna też o Natanielu, specjalnie nie tęsknił. Oni nadal byli w Sennej obcy. Dla miejscowych każdy, kto stąd nie pochodził albo nie wzenił się w którąś z rodzin, był intruzem. Tolerowanym bardziej lub mniej, lecz tylko intruzem.

Gdy w końcu pojawił się w spożywczym, uraczono go najnowszą wiadomością: „Kraszewska, ta lekarka, wyjechała za granicę. Dwór wystawiła na sprzedaż”.

Sodarow oniemiał. Jego, Siergieja, Marta mogła karać, miała za co, ale dlaczego karała siebie?! Kochała ten dwór bardziej niż kogokolwiek na świecie!

Wskoczył do samochodu i pognął drogą wokół jeziora. Zahamował pod gankiem wspartym na dwóch kolumnkach, gdzie tyle razy siedzieli z Martą przytuleni. Całując się, przekomarzając albo milcząc.

Dom stał cichy i pusty w blasku wrześniowego słońca. W obejściu nie było żywej duszy.

Siergiej rozejrzał się po raz ostatni, po czym zostawił jeepa pod dworem i ruszył ku chacie Nataniela.

Kwadrans później pukał do drzwi.

W środku zastukały o podłogę psie pazury. Śnieżka, stojąca w sadzie przy ogrodzeniu, zarżała, poznając dawnego pana.

– Kto tam? – padło ze środka.

– To ja, Nat, przyszedłem...

Kroki oddaliły się. Nataniel nawet mu nie odpowiedział, że o wpuszczeniu intruza do domu nie wspomnieć. Po prostu odszedł, zostawiając Sodarowa pod zamkniętymi drzwiami.

On tkwił tam jeszcze przez chwilę, po czym zawrócił pod dwór, wskoczył do samochodu i ruszył ku leśniczówce. Jeśli Mateusza również nie będzie albo każe mu iść precz... Cóż... Siergiej odejdzie.

Ale Mateusz nie poszczuł go psami. Przeciwnie, słysząc nadjeżdżający samochód, wyszedł przed dom, splótł ręce na piersiach i czekał, aż Sodarow zatrzyma auto i wysiądzie.

– Cześć, Mateusz – odezwał się.

Nie miał pojęcia, ile ten mężczyzna wie. Czy on, Siergiej, jest tu mile widziany, czy też nie. Z oczu tamtego, patrzących nań nieruchomo, nie mógł odczytać nic.

– Słyszałem, że Marta wystawiła dwór na sprzedaż i wyjechała za granicę. – Siergiej stanął przed górującym nad nim o głowę potężnym sąsiadem. – To prawda?

Cios był tak błyskawiczny i mocny, że miotnął Sodarowem o ziemię, nim ten zdążył się osłonić.

Zamroczyło go.

Poczuł, jak potężna dłoń zaciska się na przodzie jego koszuli i podrywa go w górę.

Drugi cios był jak trzaśnięcie pioruna. Oślepił go i ogłuszył. Trzeci zwinął mu żołądek w ciasny węzeł. Ciśnięty na piach podwórza, zgiął się w pół i zwymiotował. Kopnięcie w podbródek, tym razem lekkie, bo mocniejszym mógł go Mateusz zabić, zmusiło Sodarowa do poderwania głowy. Tamten chwycił go pełną garścią za włosy.

– Wstawaj, Siergiej, jeszcze nie skończyłem, a leżącego kopał nie będę.  
Podniósł się, podtrzymywany troskliwie przez Mateusza.

Cios w żołądek wydusił mu z piersi jęk. Kolana ugięły się pod nim. Znowu upadł na piach.

Mógł się bronić. Dopóki nie stracił przytomności, mógł się bronić. Potrafił się przecież bić dużo lepiej niż ten cały Jóźwik, mechanik samochodowy. Za pasem miał krótki nóż, zawsze go ze sobą nosił. Szybki chwyt za rękojęść, teraz, gdy leżał u stóp tamtego, cios w udo, pod kątem, tak by ostrze przecięło tętnicę, i po kilku minutach, jeśli nie powstrzymałby krwotoku, to Mateusz gryzłby piach. Martwy.

Jednak... musiał znieść tych kilka ciosów, bo po pierwsze mu się należały, a po drugie dopóki Jóźwik żyje, dopóty on, Siergiej, ma szansę odzyskać Martę. Śmierci przyjaciela by mu nie wybaczyła. No i jeśli ktoś wiedział, dokąd wyjechała, to tylko Mateusz.

Poczuł, jak potężne ramię znowu unosi go do pionu. Stawia na uginające się nogi.

– Złamałeś Marcie serce, skurwielu – usłyszał cichy, tłumiony furia i nienawiścią głos. – Uwiodłeś ją, nakarmiłeś kłamstwami, po czym zdradziłeś jak pierwszą lepszą. To jeszcze jestem w stanie zrozumieć. Takie bydlę jak ty potrafi jedynie krzywdzić. Zadawać ból tym, którzy mu zaufali, którzy obdarzyli go czymś tak bezcennym jak miłość. – Potrzęsnał Siergiejem niczym kukłą. – Taak, to jestem w stanie zrozumieć. Ale dlaczego upatrzyłeś sobie dziewczynę Nataniela? Dlaczego nie żadną inną, czym przecież i tak zraniłbyś Martę do żywego, a właśnie Iwonę, którą pokochał ten chłopak? Czym on, do kurwy nędzy, ci zawinił?! – Głos Mateusza załamał się.

Nie dbał o własny ból. O to, że Sodarow skrzywdził także jego. Marta wyjeżdżała załamana, tak, to prawda, ale spokojna. Pogodzona z tym, co miał

dla niej parszywy los. Skazał ją na samotność? Trudno, będzie samotna. Lepsze to niż ból zdrady. Ale Nataniel?! Chłopak, który niedawno stracił matkę i rodzinny dom?! Który ledwo się tutaj, w Sennej, w chacie nad jeziorem, pozbierał?! Zaczął uśmiechać się do życia, znalazł szczęście, odważył się pokochać...

– Dlaczego zламаłeś życie temu chłopakowi, skurwysynu?! – zawył Mateusz i zaczął okładać pięścią próbującego się osłonić Sodarowa.

Byłby go zabił, gdyby Siergiej, w obronie już nie całości szczęki, a życia, nie uderzył raz a dobrze. Kantem dłoni w krtań. Nie na tyle mocno, by ją zmiażdżyć, lecz na tyle silnie, że Mateusz puścił go, zatoczył się w tył i chwycił za gardło.

Długie chwile próbował złapać oddech.

– Sorry, człowieku – wycharczał Sodarow, zachłystując się krwią z rozbitego nosa. – Oddychaj powoli i spokojnie. Skurcz zaraz minie. Gotów byłeś mnie zabić, gdybym ci nie przeszkodził.

Tamten posłał mu nienawistne spojrzenie.

– Tak, wiem, zasługuję li tylko na śmierć, ale ty poszedłbyś siedzieć na łądnych kilka lat. „I co z tego?“, ano to, że Marta kiedyś wróci. Tak, wróci, bo kocha tę ziemię, ten dom. A wtedy musi zastać wszystko tak, jak było. Dwór na miejscu, ciebie w leśniczówce, Nataniela w chacie nad jeziorem i mnie... – Urwał, bo słowa przychodziły mu z coraz większym trudem. Był naprawdę mocno skatowany i jeśli zaraz się nie położy... – Marta musi zastać wszystko tak, jak było – powtórzył i odszedł krokiem człowieka pokonanego.

Jeśli Marta wróci, ostatnim, na którego widok się ucieszy, będzie on, Siergiej Sodarow. Był tego dziwnie pewien...

## ROZDZIAŁ XXV

**L**udzie pół życia potrafią uganiać się za szczęściem. Gdy je w końcu odnajdą, czynią wszystko, by utracić to, co zdobyli z takim trudem.

Dlaczego Siergiej Sodarow uczynił Marcie to, co uczynił? Jego Nataniel zapytać nie mógł, bo tamten oddał ranczo w dzierżawę i wyjechał w nieznanym kierunku. Sam nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Dlaczego Iwona zdradziła jego, Nataniela? Po prostu go nie kochała. Ot co. Dopiero po kilku miesiącach gotów był przyznać się do tego przed samym sobą: ta dziewczyna od początku udawała. Grała taką, jakiej Nataniel potrzebował. Namiętą, zafascynowaną nim, zauroczoną...

„Człowieku, litości, ty naprawdę wierzyłeś, że taka piękność może pokochać kalekę?!” – Chłopak, prowadząc Śnieżkę drogą przez las, zaśmiał się z goryczą.

Dziś, po wielu tygodniach rozpaczy, a potem odrętwienia, kiedy życie było Natanielowi zupełnie obojętne, wspomnienia ćmiły bólem niczym świeżo zabliźniona rana. Czasem mocniej wgrzyzały się w serce. Gdy kładł się spać do pustego łóżka na tyle przytomny, mimo wypitego alkoholu, żeby pamiętać ciepłe, miękkie ciało Iwony czekające na jego powrót... Gdy wchodził do łazienki i jego wzrok trafiał na fiołkowy szampon do włosów, podnosił butelkę i wdychał jedyny w swoim rodzaju zapach, który przywoływał wspomnienie utraconej miłości... Gdy zatrzymywał się przed pomostem i wracało to ostatnie, najgorsze: widok tamtych dwojga, Iwony i Siergieja...

Nie, nie mógł myśleć o tym spokojnie, bez łez napływających do oczu...

Lecz nawet teraz, gdy walczył ze łzami, cieszył się mimo wszystko – tak

właśnie: cieszył się – że to tylko ból zranionego serca, a nie ten drugi, znacznie gorszy, tysiącokrotnie gorszy, na który leki już nie pomagały. Tylko wódka.

Dziś było dobrze. Dzisiaj mógł wyjść z domu o własnych siłach, wsiąść na koński grzbiet i pognać przed siebie, przez las, czując się choć przez chwilę normalnym człowiekiem. Mężczyzną, któremu nic nie brakuje. Zdrowym, silnym, sprawnym. Pełnowartościowym.

Wbił pięty w boki klaczy. Ta skoczyła chętnie w przód, poderwała się do galopu lekko, płynnie, stworzona, by gnać niczym wiatr leśną drogą z Natanielem wtulonym w jej szyję.

Spowity w biel świat umykał do tyłu jak przeszłe wydarzenia. Przed nimi otwierała się rozległa polana, dziewiczo czysta, jak przyszłość. Nataniel ściągnął wodze. Klacz zwolniła do stępa, wreszcie zatrzymała się, zgrzana, ale szczęśliwa. Lubiła gonitwy przez cichy zimowy las. Uwielbiała swego pana.

Nataniel poklepał zwierzę po szyi. Odruchowo. Bo tak należało. Radość, z którą kiedyś to czynił, odeszła razem z miłością. W sercu chłopaka nie zostało już nic. Tylko pustka.

Na przeciwległym końcu polany poruszył się ciemny kształt. Klacz zastrzygła uszami. Nataniel osłonił oczy przed porażającą bielą śniegu, rozpoznał sylwetkę Asi Jarząbek i skierował konia w jej stronę.

Dziewczyna zamachała do niego z uśmiechem.

Zmusił się, by odpowiedzieć tym samym.

– Nat! – krzyknęła, ruszając biegiem.

Ona nie miała pojęcia, co się wydarzyło w chacie nad jeziorem. Nikt ze wsi tego nie wiedział. O tym, że cokolwiek tam się stało, również nie. Joasia



kilka razy zachodziła pod dom, ale stał cichy, jak wymarły. Nataniel nie odpowiadał na pukanie.

Czyżby się obraził? Tylko na co?! O co?! Może dziś Joasia dostanie na to odpowiedź?

Chłopak powtórnie ściągnął wodze, klacz stanęła. Zeskoczył, zapadając się po kolana w śnieżny puch. Joasia poślizgnęła się i siłą rozpędu wpadła mu w ramiona – może uczyniła to celowo? – nie chciał się nad tym zastanawiać. Po prostu rozłożył ręce i pochwycił dziewczynę, nim upadła.

Uniosła nań błyszczące radością oczy. W czapce z pomponem, z policzkami zaczerwienionymi od mrozu i kosmykami włosów muskającymi jego twarz wyglądała prześlicznie. Wyglądałaby. Dla każdego, kto nie miał serca pobliźnionego tak jak Nataniel.

Jednak uśmiechnął się do dziewczyny.

– Co tu porabiasz? – zapytał, wypuszczając ją z objęć.

– Szukam jemioły! Gdzieś tu widziałam brzozę obwieszoną jemiołą. Trzeba powiesić ją przy suficie, to taka bożonarodzeniowa tradycja. Nie znałeś jej?

– Znałem. Oprócz jemioły potrzebny ci chłopak, bo chyba musisz go pod nią pocałować? – zauważył, ruszając u jej boku tam, skąd przybiegła. Klacz postępowwała za nimi krok w krok.

– Tak. To też należy do tradycji, tylko... – urwała. Zarumieniła się jeszcze bardziej. – Niedawno rozmówiłam się z Markiem sołtysiakiem. Powiedziałam, że nie chcę już z nim chodzić. Nie będę jego dziewczyną ani żoną. Nie pozwolę się więcej bić. Dobrze zrobiłam, Nataniel? – Zajrzała mu błagalnie w oczy.

– Skoro nie chcesz, to nie chcesz – obojętnie skwitował jej słowa.

– Właśnie. Nie chcę, to nie. Teraz jestem wolna. Nie mam już chłopaka.

Może... – zawahała się. Umilkła.

Nataniel lekko zmrużył oczy. Nie chciał jej ranić. Niepotrzebne mu było cierpienie jeszcze tej dziewczyny.

– Może przyszedłbyś do nas na Wigilię? Tatko złowił szczupaka! I to jakiego! Oporządziłam go i czeka na wigilijny stół. Przyjdiesz, Nat? – Znów patrzyła nań z prośbą w ładnych, zielonych jak listek jemioly oczach. – Wiem, że nikogo nie masz, a przecież w ten jeden dzień nikt nie powinien być sam. Nataniel?

„Wiem, że nikogo nie masz”... Zabolały te słowa, zakłuły niczym szkło wbite w ranę.

– Skąd wiesz, że nikogo nie mam? – mruknął. Jeszcze nie tak dawno świata nie widział poza pewną dziewczyną... Czarnowłosa, niebieskooką, tajemniczą i szaloną w miłości...

„W seksie” – poprawił się z mimowolną złością. „Dla niej to był tylko seks. Szybki numer, jak to określił ten łajdus, Sodarow. Tylko dla ciebie, naiwny głupku, była to miłość. Dla niej jedynie seks”.

– No przecież wiem! Wszyscy wiedzą! – zaśmiała się Joasia. – Z kim miałbyś być?

Zacisnął powieki, po czym otworzył je powoli, zwracając się ku dziewczynie.

– Na pewno nie z tobą – wycedził. – Znajdź sobie innego Marcinka, a mi po prostu daj spokój.

Włożył nogę w strzemień, wskoczył na grzbiet Śnieżki i spiął konia do galopu. Nie oglądając się na zrozpaczoną dziewczynę, przemknął przez polanę i zniknął w lesie. Tam, gdzie nie ma głupich dziewczuch z ich głupimi, raniącymi do żywego słowami. Gdzie panuje tylko pustka i cisza.

Okazało się, że nie do końca.

– Hej, ty, kaleko! – dobiegł Nataniela czyjś krzyk.

Zawrócił koniem w miejscu i pognął w kierunku tego, kto go wołał. Dostyc miał obelg na dziś.

Marek Sidło, bo to on stał na drugim końcu polany, wyłonił się zza drzew. Czekał.

Nataniel zatrzymał klacz tuż przy tamtym i ani myśląc zsiadać, warknął:

– Wbić ci to „kaleko” do gardła?

– Schodź, pogadamy na pięści – odparł sołtysiak, ściągnął kurtkę i odrzucił na bok, gotów się bić.

– Z tobą, pętaku, nie mam o czym rozmawiać – padło z góry.

Pogarda w słowach Nataniela smagneła tamtego niczym pejcz. Skoczył w przód, chwycił za cugle i szarpnął. Przestraszona klacz stanęła dęba. Każdy inny zwałiby się ciężko na ziemię, ale nie Nataniel, już nie.

– Jeśli myślisz, że Aśka jest twoja... – zaczął Sidło zduszonym głosem, widząc, że dziewczyna biegnie co sił w ich stronę. – To się mylisz, przybłędo.

– Nic nie myślę. Chcesz, to ją bierz. Tylko przestań tłuc, to może z tobą zostanie – poradził Nataniel, szarpnął wodzami w bok, tak że klacz minęła intruza, i spiął ją do galopu.

Wreszcie las był tylko ich.

Śnieżnobiałą klacz i jeźdźca spowił obłok śnieżnego pyłu. Zniknęli w nim, rozwiali się niczym sen...

## ROZDZIAŁ XXVI

**S**nieżka z impetem wpadła na podwórze przed leśniczówką. Mateusz wyrztał przez okno zaciekawiony, po czym narzucił na grzbiet gruby, ciepły kożuch i wybiegł na mróz ze słowami:

– Wszelki duch Pana Boga chwali, kogóż ja tu widzę! Toż to panicz Domoradzki zawitał w me skromne progi! Do stóp paniczowi padam, w pas się kłaniam!

Nataniel pokręcił głową i zeskoczył z grzbietu Śnieżki.

– Daj spokój, Mateusz – prychnął. – Przestań błaznować.

– Tylko to mi pozostało: błazenada – odparł mężczyzna pół żartem, pół serio. – Wieki cię tu nie było, to musisz przyznać.

Chłopak odmruknął coś mało zrozumiałego. Od wydarzeń na pomoście rzadko wychodził do ludzi. Zaszył się w swojej jaskini i albo chlał na umór, albo – gdy ból odpuszczał – pracował.

Mateusz czasami zachodził do niego, ale chłopak nie był zbyt towarzyski. Splawiał przyjaciela, jak tylko mógł. Nie miał pojęcia, że przez cały czas ten przyjaciel czuwa nad nim. Zagląda przez okno noc w noc i kiedy Nataniel pije, znów pije, przyjaciel podnosi go, jeśli trzeba, trzyma mu głowę nad kiblem, a potem bierze wpół, prowadzi do łóżka, zdejmuje mu buty, okrywa kołdrą i pilnuje, by chłopak dożył rana.

Od tego są prawdziwi przyjaciele: trwają przy tobie nie tylko, gdy jesteś szczęśliwy i uśmiechnięty, ale i wtedy, gdy stanowisz obraz nędzy i rozpaczy. Gdy każdy inny odwraca się od ciebie z odrazą. Oni – przyjaciele, przy tobie są.

Nieraz Mateuszowi serce się krajało, gdy słuchał płaczu chłopaka,

bełkotliwych skarg, słów szeptanych z miłością albo nienawiścią. Nie wiedział, co robić, gdy Nataniel chwycił się za chorą nogę i krzyczał z bólu. Marta zostawiła na taki wypadek leki, ale nie pomagały. Mateusz siedział wtedy przy nieprzytomnym z bólu i od alkoholu chłopaku i płakał razem z nim. Ani razu nie usłyszał za to dobrego słowa, ale znosił wszystko, bo tak trzeba było.

Marta przed wyjazdem prosiła mężczyznę, by nie spuszczał Nataniela z oka. Ona sama cierpiała bardzo, po raz drugi zdradzona, lecz Nataniel... odejście Iwony po prostu go złamało. Podwójnie: psychicznie i fizycznie. Mateusz i tak troszczyłby się o młodego przyjaciela. Nie tylko z chrześcijańskiego obowiązku, ale i przez wdzięczność: to przecież Nataniel uratował mu życie, gdy Józwik zapił się niemal na śmierć. Chociaż... co to było za życie.

Nad chłopakiem jednak należało czuwać, aż zbawienny czas nie zagoi najdotkliwszych ran. Tak więc Mateusz noc w noc zakradał się do chaty nad jeziorem, otwierał drzwi własnym kluczem i sprawdzał, czy będzie dzisiaj potrzebny czy też może wracać do siebie.

Najczęściej był. Niestety. Nataniel pił niemal noc w noc.

Aż do dziś.

– Czemu zawdzięczam tę wizytę? – odezwał się, by odpędzić niewesołe myśli.

– Gdzie spędzasz święta? – odpowiedział pytaniem Nataniel.

– Święta! – rozpromienił się starszy mężczyzna.

Od paru dni zastanawiał się, jak wypchnąć Nataniela na Wigilię do Jarząbków. Zostali zaproszeni obaj, Kaźmirzowi bardzo zależało na obecności chłopaka. Ponoć Joasia zerwała z Markiem sołtysów, więc...?

Mateusz snuł własne plany, Nataniela bez opieki nie chciał zostawić – wiadomo, z jakiego powodu – więc może uda się namówić go na wizytę

u Jarząbków? Nie miał pojęcia, co zaszło między Natanielem a Joasią nie dawniej niż godzinę temu na leśnej polanie. Nie wiedział, że Nataniel dał kosza dziewczynie i próbował wepchnąć ją z powrotem w ramiona sołtysiaka. Chybaby się załamał ten dobry człowiek...

– Otóż mam pewien plan, chłopcze. Pewien plan... Tylko wejdźmy do kuchni, bo mróz okrutny.

Odprawdzili konia do szopy, gdzie było cieplej niż na dworze, a sami weszli do domu.

Tam, przy rozgrzanym piecyku, Nataniel wyciągnął się na wygodnym fotelu, przyjął kubek z malinową herbatą i spojrzał na gospodarza pytająco.

– Widzisz, Wigilia to dla mnie dzień szczególny... – zaczął Mateusz podniosłym tonem. – Dzień, w którym nikt nie powinien być sam.

– Dlatego przychodzę, żeby zaprosić cię na wieczerzę wigilijną – wpadł mu w słowo Nataniel.

– Nie, chłopcze. Ty pójdziesz do Jarząbków, oczekują nas obu, a ja... – tu spojrzał na chłopaka błagalnie – ...ja chciałbym polecieć do Marty.

– Przecież nie wiesz, gdzie ona mieszka! – Nataniel poderwał się do pionu. – Mówiłeś, że nie zostawiła adresu!

– Bo mi nie zostawiła – zgodził się mężczyzna. – Byłem jednak sprytny. Jak wiesz, Marta sprzedaje dwór i musiała dać adres pełnomocnikowi. Pobiegłem kiedyś do niego, że niby w dworze rura pękła, załatałem ją i potrzebuję zwrotu pieniędzy. Wtedy jeszcze nie dał się nabrać, zapłacił ze swoich. Ale gdy zadzwoniło do niego pogotowie energetyczne, że są zerwane przewody i konieczny jest kontakt z właścicielką, inaczej grozi surowa kara, pełnomocnik podał adres natychmiast. Nie muszę dodawać, że ja byłem tym pogotowiem? – Spojrzał na chłopaka z dumą.

Ten kiedyś roześmiałby się serdecznie, teraz się tylko uśmiechnął. Dobre i to!

– Wiem już więc, gdzie Martusia mieszka, i za dwa dni mam samolot do Dublina.

– Do Dublina? Myślałem, że jednak została w Polsce.

Jóźwik pokręcił głową.

– Też tak myślałem, ale okazało się, że dostała pracę w szpitalu, jako lekarz, bo nikt jej przecież nie odebrał prawa wykonywania zawodu, cokolwiek by ci naopowiadała, i tam teraz mieszka.

– To dobrze. Dobrze dla Marty – odezwał się cicho Nataniel. Życzył jej wszystkiego, co najlepsze. Zasługiwała na szacunek i poważanie. – Lecisz więc na święta do Irlandii...

– A ciebie zapraszają Jarząbkowie.

– Tak. Spotkałem Joasię. Rzeczywiście prosiła, bym wpadł do nich w Wigilię.

„A ja, przez wdzięczność, kazałem jej szukać innego jelenia pod jemiolę” – dodał w duchu.

Kiedyś czułby wstyd za tak podłe traktowanie tej dobrej przecież, niczemu niewinnej dziewczyny, dziś był tylko znużony. Pragnął mieć Wigilię, pierwszą bez mamy, za sobą. Może alkohol zadziała i Nataniel, zamiast płakać nad pustym talerzem, padnie do łóżka i zaśnie?

– Mówiłeś, że lecisz... kiedy? – zapytał Mateusza. Wigilia była za trzy dni.

– Pojutrze. Mam już bilet. Wiedz, że to dla mnie duża wyprawa. Nie byłem dotychczas za granicą. Muszę dolecieć, złapać taksówkę, podać adres, na papierku, bo przecież tego nie odczytam, znaleźć mieszkanie Marty i nie dać się jej zrzucić ze schodów.

– Myślę, że będzie szczęśliwa – odparł Nataniel, w głębi duszy tak właśnie czując. – Może uda ci się nakłonić ją do powrotu? Przecież kocha swój dworek...

Serce mu się krajało, gdy mijał opuszczony, smutny dom Marty. Na szczęście rzadko wychodził z domu, a jeszcze rzadziej chadzał nad jezioro.

Mateusz zasępił się w tym momencie.

– Widzisz, Nat, nie chciałem ci psuć nastroju przed świętami, ale trafił się kupiec. Zaproponował dobrą cenę. Marta się zgodziła. Parę dni temu pełnomocnik sprzedał dwór w jej imieniu jakiemuś prawnikowi z Warszawy. – Widząc pobladłą twarz Nataniela, dodał: – Przykro mi, dzieciaku.

Sam również czuł nieznośny ciężar na sercu, ale postanowił, że nic nie stanie więcej między nim a Martą Kraszewską. Żadna odległość nie będzie za duża, by nie mógł jej odwiedzać. Niestraszne mu będą podróże samolotem ani obcy język, w którym znał kilka zaledwie zwrotów. I co z tego? Nie jest jeszcze taki stary! Zdąży się języka nauczyć! On więc będzie latał do Dublina, ilekroć przyjdzie mu na to ochota, czy Marta życzy sobie jego odwiedzin czy też nie. Na hotele raz na jakiś czas go stać. Czy można to powiedzieć o Natanielu?

– Słuchaj, może miałbyś ochotę lecieć ze mną? – zwrócił się do chłopaka.

Ten pokręcił głową. Nie miał chęci wychodzić za próg własnego domu. Dzisiaj coś go podkusiło, by osiodłać konia i ruszyć na wędrowkę leśnymi bezdrożami. Nie wiedział, czy jest z tego powodu szczęśliwy – szczególnie po nieudanym spotkaniu z Aśką Jarząbek – ale dobrze mu taki spacer zrobił.

– Zostanę w Sennej. Ktoś musi doglądać zwierząt. Moich i twoich.

Mateusz miał nie tylko Reksia, ale i kota Marty, Puszunia. Tego, który powitał Nataniela pierwszego dnia.

– Szkoda. Z tobą byłoby różniej. Może nie pogubię się w tym wszystkim. – Mateusz podrapał się zafrasowany po głowie.

– Mówisz więc, że Marta sprzedała dwór. – Nataniel odezwał się cicho, z prawdziwym bólem. – Nie zamierza tu wracać? – To było raczej



stwierdzenie faktu, a nie pytanie.

– Nie ma do czego – odparł Mateusz równie zmartwiony. – Zostaliśmy we dwóch na polu walki. Mam nadzieję, że ty mnie nie opuścisz.

– Dobrze mi tu – odmruknął chłopak.

– Aż za dobrze. – Przyszedł czas, by poruszyć ten temat. Od tego ma się przyjaciół. – Jak długo jeszcze będziesz zapijał smutki? Kiedy do ciebie dotrze, że popadasz w alkoholizm? Co, Nat? Nie patrz na mnie wilkiem! Tankujesz niemal noc w noc. Myślisz, że uszło to mojej uwadze?

– Jestem pełnoletni, sam zarabiam na utrzymanie. Co robię z pieniędzmi, to moja sprawa – uciął zimno Nataniel.

– Oczywiście, oczywiście – odparł drwiąco starszy mężczyzna. – Ty mogłeś mi głowę zmyć, gdy odzyskałem przytomność po ostrym picciu, a sam...

– To moja sprawa! – Nataniel poderwał się na równe nogi, gotów do wyjścia, ale Mateusz pchnął go z powrotem na fotel.

– Byłaby twoja i tylko twoja, chłopcze drogi, gdyby nie jeden szczegół, drobiazg taki... – zaczął Mateusz. – Kiedy komuś na tobie zależy, nie tylko ty, ale i ten ktoś płaci za twoje błędy i porażki. Nie śpi, gdy musi nad tobą czuwać, martwi się, gdy ty rozpaczasz, i nieba by ci przychylił, gdyby tylko mógł ci jakoś pomóc. Nie mów więc, że masz prawo pić, nie oglądając się na przyjaciół. Nie chciałem, żebyś o tym wiedział, ale może właśnie nadeszła pora: noc w noc jestem przy tobie, pilnując, byś przeżył tę i następną. Byś dożył do dnia, w którym zaśniesz spokojnie. Bez wódy w żyłach.

Chłopak... oniemiał. I spurpurowiał na twarzy z gniewu. I ze wstydu.

Przez dłuższą chwilę nie wiedział, co odrzec. Wreszcie, gdy nic mądrego nie przychodziło mu do głowy, wydusił:

– Dziękuję. I nie rób tego więcej. Jestem dorosły, nie potrzebuję...

– Ja też jestem dorosły i nie będziesz mi mówił, Nat, co mam robić, a czego nie. Zaryglujesz drzwi, wejdziesz oknem. Nie pozwolę ci zdechnąć w zarzyganej pościeli. Po moim trupie!

Zapadło ciężkie milczenie.

– Wrócił tamten ból – Nataniel odezwał się wreszcie. – Tak podły jak nigdy wcześniej. – Wskazał wzrokiem chorą nogę. – Tabletki, które dostałem od lekarza, nie działają.

– Więc popijasz je wodą? Leki przeciwbólowe? Życie ci niemiłe?

– Nie zdajesz sobie sprawy, jak strasznie boli. Błagam w takich chwilach o śmierć, więc...

– ...próbujesz się zabić na raty. Gdy będę w Dublinie, pogadam z Martą. Może znajdzie coś skutecznego. Ty postaraj się dożyć mojego powrotu, dobrze?

Chłopak wzruszył ramionami.

– Potrzebne ci auto, Nataniel. – Mateusz postanowił zmienić temat. – Gdy spadną większe śniegi, na skuterze daleko nie zajedziesz.

– Mam konia.

– Ano masz, dzielną Śnieżkę, lecz na niej do Olsztyna nie zajedziesz.

– A po co mi Olsztyn? Spożywczy jest na miejscu. Niczego więcej nie potrzebuję. W razie czego mam przyjaciół. – Spojrzał znacząco na Mateusza.

– Pewnie. Gdy wyjadę do Dublina, zostawię ci moją terenówkę, ale kiedy wrócę i będę akurat w terenie, a tobie się przypomni, że nie masz węgla...

Fakt, węgla ubywało w dramatycznym tempie. Trzeba było uzupełnić zapas, dopóki drogi były przejezdne, w przeciwnym wypadku Nataniel zamarznie na śmierć. Co, wzięwszy pod uwagę okoliczności, nie byłoby takie głupie.

Okej, Nataniel potrzebował i opału, i samochodu, jednak...

– Nie mam forsy – odezwał się, spuszczać wzrok. – Jestem kompletnie spłukany.

– Przecież zarabiasz – zdziwił się Mateusz. – Całymi dniami siedzisz przy komputerze. Myślałem, że masz zlecenia.

– Bo mam! Ale mam również długi.

– Długi? – Mężczyzna uniósł brwi ze zdumienia. – A na co ty się mogłeś w tak krótkim czasie zadłużyć? Chata nie kosztowała cię ani grosza, remont robiliśmy za gotówkę... Wódka jest droga, to fakt, ale na nią chyba cię stać?

– Nie przepijam wszystkich pieniędzy! Za kogo ty mnie uważasz?! – Chłopak ponownie się uniósł, gotów opuścić coraz bardziej męczące towarzystwo, ale mężczyzna pchnął go na krzesło po raz drugi.

– Wyrzuć to z siebie, Nat. Widzę, że coś cię dręczy. A kto cię wysłucha, nie potępiając, i zrozumie bez czynienia wyrzutów, jeśli nie ja?

W oczach mężczyzny było tyle troski i szczerzej sympatii...

Nataniel wziął głęboki oddech.

– Mam ponad trzydzieści tysięcy długów. Debet na koncie i karcie kredytowej, kilka chwilówek na wysoki procent. Gdy byłem jeszcze z Iwoną... utrzymywałem ją, żądała coraz więcej i więcej, chciała mieć drogie ciuchy, jeździć samochodem. Nabrałem pożyczek, ale nie zdążyła wszystkiego wydać, samochodu też nie kupiliśmy... – Urwał, bo doszedł do najgorszego w tym wszystkim.

– Skoro nie rozpirzyła całej kasy, to co się stało z tymi pieniędzmi? – Mateusz zawiesił głos, popatrzył na chłopaka, pokręcił głową z niedowierzaniem i wykrzyknął: – Nie mów, że cię okradła!

Nataniel rzucił mu spojrzenie zbitego psa.

– Wyjeżdżając, zabrała moje karty. Znała PIN-y, bo przed rozstaniem na zakupy jeździła sama. Sama, czyli z Siergiejem – dodał z goryczą. – Gdy odeszła, dopiero po jakimś czasie zorientowałem się, że nie mam obu kart.

Nim je zastrzegłem, wyjęła z konta wszystkie pieniądze. Zarabiam, Mateusz, na czas oddaję wszystkie projekty i biorę każdy, który dla mnie mają, ale trzeba spłacać odsetki. Nie mam pieniędzy na samochód. Tak po prostu.

– Zgłosiłeś kradzież kart na policję, oczywiście?

Chłopak pokręcił głową, uciekając spojrzeniem.

– Dlaczego?! Nie dość, że cię zdradziła, to jeszcze okradła! Łeb bym jej ukręcił! Dlaczego nie złożyłeś doniesienia? Nawet jeśli niczego jej nie udowodnią, to przynajmniej trochę ją poszarpią. Zasłużyła na to! Może taki właśnie ma sposób na życie? Naciągać naiwnych, zdradzać i okradać?! Jeśli nie ty, ja to zrobię! – Wstał, gotów jechać na posterunek, ale chłopak przytrzymał go za rękę.

– Powiem ci, dlaczego machnąłem na te pieniądze ręką. Wysłuchaj do końca i spróbuj zrozumieć, nie oceniając mnie, okej?

– Zamieniam się w słuch – mruknął mężczyzna i usiadł, nadal kręcąc głową. – Daj mi dobry powód, żebym nie doniósł na tę złodziejkę.

– Dam ci dwa powody: szybko rozniosłoby się to po okolicy. Chłopak znad jeziora, ten kuternoga...

– Nikt tak o tobie nie mówi!

– Mówią – uciął twardo. – Dobrze o tym wiesz. Więc ten kuternoga przygruchał sobie laskę, która zrobiła go w konia i uciekła z jego forszą. Tu zaczął łączyć wątki: Siergiej znika, Marta wyjeżdża, Iwona ucieka, ja zapijam się z rozpacz, ty trafiasz do szpitala... Jeśli komuś przyjedzie do głowy rzucić plotką... Wiesz, jaka jest prawda. Wiesz, kto ucierpiał najbardziej: doktor Kraszewska. Jeśli chciałem kogoś chronić przed ludzkimi językami, to przede wszystkim ją.

– Ale nie musisz już tego robić, bo pożegnała się z Senną na amen.

– Tak. To prawda, ale miałem jeszcze jeden powód, dla którego odpuściłem Iwonie kradzież. Widzisz, Mateusz, zraniła mnie, fakt, zdradziła

z facetem mojej przyjaciółki, drugi fakt, na koniec wyczyściła mi konta, zgadza się po raz trzeci, mimo to... jestem Iwonie wdzięczny za wszystko, co wydarzyło się przed tym. – Machnął ręką w kierunku, gdzie w jego wyobraźni znajdował się pomost. – Przez kilka miesięcy byłem najszcześniejszym z ludzi. Ona... sprawiała, że czułem się mężczyzną. Kochanym, pożądanym do szaleństwa, pełnowartościowym facetem. Dała mi tyle radości, takie spełnienie, że przebaczam jej moje krzywdy. Tylko cierpienia Marty przebaczyć nie mogę, bo nie mam do tego prawa. Ale nie doniosę na Iwonę. Wiem, wydam ci się głupi... Myślisz, że się nie domyślam, jakie pytanie zadawali sobie ludzie ze wsi i wy również: „Co taka piękna dziewczyna widzi w kalece? Co wyjątkowego jest w Natanielu Domoradzkim, że wybrała jego, a nie normalnego, zdrowego chłopaka?”.  
Odpowiedź znasz:

pieniądze.

Umilkł, odetchnął głęboko. Dobrze mu ta spowiedź zrobiła.

Mateusz siedział jeszcze przez chwilę bez słowa, z brodą wspartą na splecionych dłoniach.

– Skończyłeś? Mogę teraz ja? – odezwał się i nie czekając na odpowiedź, zaczął: – Po pierwsze, drogi chłopcze, nie wciskaj nam, twoim przyjaciółom, słów, których w życiu byśmy nie wypowiedzieli. W rozmowach z Martą nie zachodziliśmy w głowę, co Iwona widzi w tobie, a co ty widzisz w niej! Od pierwszej chwili wiedzieliśmy, że to wyrachowana, zimna... kobieta. – Miał rzucić „suka”, ale przez wzgląd na uczucia Nataniela ugryzł się w język. – Może ty nie widziałeś, jakim taksuje cię wzrokiem, my owszem. To nie była miłość. Ona patrzyła na ciebie tak, jak się ogląda konia na targu. Ile jest wart, czy przyniesie spodziewany zysk czy lepiej odpuścić i kupić innego? Nie wiem, jakim cudem trafiła pod twój dach, ale szybko oszacowała, że więcej wart jest Sodarow. Wzięła się więc za niego. Tak ja to widzę.

Urwał na chwilę, zbierając myśli.

– Teraz po drugie... Dla nas, tych, co cię kochają, dla twoich przyjaciół, dla nieżyjącej mamy i babci na pewno też, jesteś... doskonały. Niczego ci nie brakuje. Myślisz, że przyglądamy się twojej nodze? Patrzymy, jak utykasz i... No właśnie, i co? Wyśmiewamy się z ciebie za twoimi plecami? Jeśli miałeś takie podejrzenia, Nat, to nie zasługujesz na takich przyjaciół jak Marta i ja. Powtarzam: dla nas jesteś wspaniałym facetem i prawdę mówiąc, zupełnie twojego utykania nie zauważam. Po prostu przynależy do ciebie, twojej osobowości. Widzisz, ty oceniasz siebie rozumem, nie sercem, my odwrotnie. Myślisz, że twoja dusza patrzyłaby na twoje ciało z pogardą? Nie! Dla pięknej duszy będziesz piękny, dla duszy wstrętnej i złej – odrażający. Czy ty, patrząc na mnie, widzisz starszego, wielkiego, niedźwiedziowatego facia z łapami jak łopaty i twarzą okrągłą jak patelnia? Nie jestem piękny. Gdzie mi do Siergieja. Iwonka nawet by na mnie nie splunęła. Więc?

– Przestań! To nie ma żadnego znaczenia! Jesteś dobrym, szlachetnym człowiekiem, któremu ufam. Przyjacielem. Najlepszym.

– Sam widzisz. Mój wygląd cię nie odstręcza. Dlaczego więc uważasz, że we mnie budzi odrazę twoja noga? Czego jej właściwie brakuje oprócz tego, że połamałeś ją w wypadku i źle się zrosła? Dobrze, że jest, no nie?

Rozumowaniu Mateusza nie można było odmówić logiki.

„Pewnie. Dobrze, że w ogóle mam jakąś nogę, a nawet dwie...” – pomyślał Nataniel z ironią.

– Nat, wierz mi, znajdziesz dziewczynę, która jest ci przeznaczona, a pokocha ciebie takiego, jakim jesteś: z piękną duszą i ułomnym ciałem. Bo w miłości nie ma miejsca na żadne „ale”. Albo jest bezwarunkowa, albo to nie miłość.

Skończył, opadł na oparcie krzesła.

Nataniel zapatrzył się w zimowy krajobraz za oknem. Na sosny, chylące

ku ziemi gałęzie pod ciężarem śnieżnych czap, biały pył, który sypał się skrzącym wodospadem przy każdym podmuchu wiatru, sikorki dokazujące w karmniku. Było tu tak pięknie...

O miłości myślał tak samo jak Mateusz. Iwona odurzyła go pięknym ciałem, ale czar kiedyś musiałby prysnąć. Nataniel ujrzałby dziewczynę taką, jaka była naprawdę: chciwa, roszczeniowa, wulgarna i wyrachowana. Taką, jak widział ją teraz, oczami przyjaciół. Czy przez te kilka miesięcy, gdy byli razem, zrobiła coś dla Nataniela ot tak, bezinteresownie? Oddawała mu swoje ciało, tak, to prawda. Jednak serce miała dlań zamknięte. O ile w ogóle posiadała coś takiego jak serce...

– Powiem ci coś jeszcze, Natuś, skoro tak dobrze zniosłeś moje wywody – odezwał się Mateusz. – Jeśli chcesz znaleźć prawdziwą miłość, nie możesz siedzieć w swojej chacie i pić. Nie zgadzam się, żeby mój przyjaciel, dwudziestosiedmioletni mądry facet stoczył się na dno. Po prostu się na to nie zgadzam! Wybacz szczerze, stary, ale wyglądasz strasznie. I nie, nie mówię tu o twojej nodze! Ona pozostała w porządku! Kiedy przeglądałeś się w lustrze? Tak szczerze?

Tak szczerze to od odejścia Iwony Nataniel nie mógł patrzeć na swoje odbicie. Jedno lustro, w łazience, zbił uderzeniem pięści. Drugie, to w kuchni, chyba się ostało.

– Jesteś zarośnięty jak pustelnik – ciągnął Mateusz. – Masz chorobliwie szarą twarz, podkrążone oczy i schudłeś tak, że ubranie na tobie wisi, jak na jakimś anorektycznym, zniewieściałym modelu, co tyłkiem kręci na wybiegu. Latem wyglądałeś na kawał dobrze zbudowanego faceta, prawdziwego twardziela, teraz zaś... Ogarnij się chłopie, bo miłość przejdzie ci koło nosa! Ach, jeszcze jedno: wódka ma ponoć sporo kalorii, ale nią się nie wyżywisz. Ona wysysa człowieka jak pijawka. Jak tasiemiec. Niciem jakiś. Odstaw alkohol, zabierz się do rąbania drewna na opał. Zaoszczędzisz na węglu

i muskulatury nabierzesz. Panna sama cię odnajdzie, gdy zaczniesz wyglądać i zachowywać się jak człowiek. Ufff, teraz naprawdę skończyłem. Zrobię nam nowej herbaty, bo ta wystygła. Ogarniesz się? Jeśli nie dla dziewczyny, która gdzieś tam na ciebie tęsknie czeka, to dla starego druha, Mateusza? Wystarczy, że swoją nie za piękną gębę co dzień w lustrze oglądam...

Nataniel uśmiechnął się.

– Przed chwilą mówiłeś, że piękno zewnętrzne nie ma znaczenia – zauważył.

– Dla przyjaciół – nie! Dla mnie moje własne piękno – owszem!

Zaśmiali się obydwaj. Na stół wjechały kubki ze świeżo zaparzoną, pachnącą leśnymi jagodami herbatą. Mateusz wyczarował dwa kawałki szarlotki. W kuchni zapachniało domowym ciastem i jabłkami. Chłopak po raz pierwszy od tamtego dnia, dnia, w którym źli ludzie rozbili piękny witraż jego życia na nic niewarte szklane odłamki, poczuł... spokój. Jeszcze nie szczęście, ale głęboką ciszę gdzieś w głębi duszy.

Uniósł kubek z herbatą do ust, upił łyk mocnego, kojącego naparu i przymknął z rozkoszą oczy.

Po burzy, która niszczy cały świat, tak niewiele do szczęścia potrzeba...



## ROZDZIAŁ XXVII

**N**a pewno mogę jechać? – To pytanie Mateusz zadał po raz dziesiąty co najmniej.

I usłyszał taką samą odpowiedź:

– Na pewno. Dam sobie radę. – Nataniel uśmiechnął się do przyjaciela, jakby ten nikły uśmiech na wychudzonej twarzy mógł mężczyznę przekonać.

Chłopak wyglądał nieco lepiej niż dwa dni wcześniej, to trzeba było mu przyznać. Ogolił się, przystrzygł za długie włosy, ubrał się w czyste ciuchy, a przede wszystkim nie cuchnął wódą. Jednak w oczach brakowało blasku i radości życia, z jakimi – mimo trudnych przejść – przybył do Sennej pod koniec wiosny.

Miał na sobie skórzaną kurtkę z ciuchlandu, czarną z kapturem obszytym futrem, czarne dzinsy i oficerki. Mógł się podobać dziewczynom, gdyby sam w siebie uwierzył. Coś ze słów Mateusza doń dotarło, jednak słowa to nie wszystko...

Wysiedli z samochodu. Mateusz zapatrzył się na startujący właśnie samolot.

– I ja mam do czegoś takiego wsiąść? To mnie w ogóle uniesie? Może jednak zostanę? – Spojrzał na chłopaka błagalnie, ale ten pokręcił głową i rzekł stanowczo:

– Bądź mężczyzną, Mateuszu Józwik, odwagi!

Weszli do hali odlotów, gdzie trwało przedświąteczne szaleństwo. Odprawiano tego dnia ogromną liczbę pasażerów. Kolejki ustawiały się do wszystkich stanowisk. Odnaleźli właściwe.

– Nie zrobisz niczego głupiego, gdy zostaniesz sam?

Nataniel wzniosł oczy do nieba i westchnął.

– Człowieku, zaufania nieco!

Mateusz wymamrotał coś w odpowiedzi.

– Świeczką z choinki chałupy nie spalisz? – zaniepokoił się ponownie.

Chłopak parsknął śmiechem. Stojąca obok dziewczyna posłała mu porozumiewawcze spojrzenie: „Ach, ci rodzice!”, i również się uśmiechnęła. Nataniel poczuł radość w sercu. Gdy podchodzili do odprawy, widziała, że on utyka, a mimo to...

Pochylił się do Mateusza:

– Na choinkach wieszka się lampki, a nie świeczki, od ładnych kilkudziesięciu lat – rzekł teatralnym szeptem. – Poza tym nie będzie żadnej choinki – uciał normalnym tonem.

– Jak to nie będzie choinki?! – przeraził się Mateusz. – Przecież to Boże Narodzenie! Musi być choinka!

– Nie będę tylko dla siebie drzewka wycinał. Las płonie szybko, rośnie wolno.

– Nie chcę, żebyś podpalał las, chcę żebyś miał choinkę! Może być sztuczna, chociaż jedna gałązka z bombkami, stroik, cokolwiek, byle pachniało w domu Wigilią!

– Nie zależy mi na świątecznym klimacie – rzekł chłopak, odwracając wzrok. – Cieszę się, że lecisz, bo dzięki temu ten dzień będzie taki jak zwykle. Żadnych choinek, klimatów, łamania się opłatkiem. Rok temu w Wigilię życzyłem mamie spokoju. Po tym wszystkim, co przechodziła z bandytami, tego jej właśnie życzyłem. I ma spokój. Wieczny – dokończył z goryczą.

Mateusz wreszcie zrozumiał. To będą dla Nataniela pierwsze święta bez matki...

– Może jednak zostanę? Tym bardziej nie powinieneś być sam.

– Marcie jest trudniej, bo nie dość, że sama, to jeszcze na obczyźnie. To z nią musisz spędzić ten czas. Ja sobie poradzę. Może pójdę o północy na pasterkę i już nie będę sam. No, czas na ciebie. Leć i wracaj szczęśliwie, pamiętaj, że czeka na ciebie w Sennej nie tylko Reksio, ale i pewien nieznośny chłopak, którym trzeba od czasu do czasu potrząsnąć, a nawet mu przylać, jeśli zasłuży.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się i uściskał Nataniela serdecznie. Oglądając się raz po raz, do ostatniej chwili nieprzekonany, czy na pewno chce wsiąść do samolotu i dać się unieść daleko, za morze, w końcu zniknął za stanowiskiem kontroli.

Nataniel zawrócił do samochodu, wsiadł, włączył radio – leciały oczywiście kolędy – i skierował się trasą na północ. Wracał na Mazury...

Jeżeli myślał, że od teraz aż do powrotu Mateusza będzie miał spokój, to się mylił. Jeszcze tego samego dnia do drzwi chaty zapukał Kazimierz Jarząbek.

– Nie dasz się namówić, chłopcze, na wspólną Wilię? – pytał chwilę później, stawiając na stole słój kompotu z suszu i kładąc ładnie opakowany makowiec.

Może i Nataniel nie chciał świątecznego klimatu, ale świąteczny klimat nic sobie nie robił z jego „chcę czy nie chcę”.

– Asia piekła. Ma talent dziewczyna. Będzie rybka, szczupak w sosie śmietanowym. Sam złowiłem – kusił, ale chłopak pokręcił głową.

– To będą moje pierwsze święta bez mamy. Chcę wspomnieć ją w samotności – odparł, wiedząc, że tym ukróci dalsze nalegania.

Nie mylił się. Tutaj ludzie szanowali pamięć zmarłych.

– Tak to tak. Nie będziemy zakłócać ci spokoju w Wilię. – Jarząbek pokiwał głową. – Ale zajdziemy do ciebie w Boże Narodzenie. Przyniesie

szczupaczka, Asia zostawi dla ciebie dzwonek, zapakujemy wędlinkę u nas wędzoną, podkarmimy cię troszku, Natuś, bo sam szczupak jesteś.

– Będzie mi bardzo miło – odparł grzecznie.

Od sąsiedzkich wizyt się, widać, nie wymiga. Chyba że wyjechałby po kryjomu. Tylko dokąd? Na hotele go nie stać.

Kazimierz zaczął zbierać się do wyjścia, niezatrzymywany przez młodego gospodarza. Stojąc w progu, rozejrzał się jeszcze po kuchni i zaczął przepraszającym tonem:

– Może przyślę Aśkę, to ogarnie ci chałupę? Ręka kobity to ręka kobity. Ty kawaler jesteś, bałagan lubisz, ale na Wilię tak... Wiesz, chłopcze, z jakim porządkiem wejdiesz w nowy rok, taki będziesz miał. Wejdiesz z chlewem, będzie chlew.

– Do Nowego Roku posprzątam. – Nataniel uśmiechnął się mimowolnie. Już wiedział, po kim Asia Jarząbek ma kłopoty z delikatnym wyrażaniem swoich myśli.

Złożyli sobie życzenia, po czym odprowadził gościa do drzwi. Znów miał spokój.

Potoczył wzrokiem dookoła i westchnął ciężko. Sąsiad miał rację. To był chlew, nie dom. Nataniela ciągnęło, by machnąć na wszystko ręką, wyjąć z kredensu butelkę i zapomnieć się, jak jeszcze niedawno robił to dzień w dzień, noc w noc, ale... Coś kazało mu zakasać rękawy i po prostu wziąć się do roboty. Może był to podszept pięknej duszy, a może nieodległa przyszłość zapukała delikatnie do serca chłopaka.

Późnym wieczorem miał jeszcze jednego gościa. Wyjątkowo niemile widzianego. Akurat mył okna, tak tak!, rozpędził się w porządkach do tego stopnia, że po zmroku okna zaczął pucować. W samej koszuli, zgrzany od wysiłku, czując szczypanie lekkiego mrozu na policzkach i głęboko

oddychając krystalicznie czystym mazurskim powietrzem, po raz pierwszy od długiego czasu poczuł się wolny i szczęśliwy. Jeszcze niezupełnie, nie do końca, ale... trochę. W porównaniu z czarną dziurą, w jakiej tkwił od miesięcy, było to naprawdę coś.

Nadjeżdżający od strony lasu samochód omiótł światłami reflektorów sylwetkę Nataniela. Chłopak, poznając auto, znieruchomiał.

Ostatni raz widział Siergieja tu, przed chatą, jak ten próbował błagać Martę o wybaczenie, po czym odjechał z Iwoną. Wcześniej widział go z tą samą Iwoną nago, na pomoście. Zajmowali się – jak to Siergiej określił? – nic nieznaczącym numerkiem.

Dobry nastrój diabli wzięli.

– Czego chcesz? – warknął, gdy mężczyzna zatrzasnął drzwiczki i zbliżył się do otwartego okna.

– Złożyć ci świąteczne życzenia. Wpuścisz mnie do środka?

– Nie. I pieprz się ze swoimi życzeniami, tak jak pieprzyłeś się z moją dziewczyną na moim pomoście – syczał Nataniel, po raz pierwszy od tamtego dnia mając przed sobą sprawcę wszystkich nieszczęść.

– Kiedyś mi za to podziękujesz – mruknął Sodarow.

– Och, już jestem ci niewymownie wdzięczny! – W głosie chłopaka zabrzmiała, oprócz wściekłości, paląca ironia.

– Ta dziewczyna zraniłaby cię jeszcze bardziej. Oszczędziłem ci tego.

– Prosiłem o to? Pytam, czy prosiłem, żebyś się wpięprzał w moje życie?! – Nataniel jednym skokiem był na zewnątrz. Stawał przed Siergiejem z zaciśniętymi pięściami. Już raz przywalił mu w twarz. Dziś nabrał ochoty na powtórkę.

– Nie będę się z tobą tłukł. – Mężczyzna pokręcił ze znużeniem głową. – Nie po to przyjechałem. Zajmiesz się moim ranczem?

– Masz tupet, człowieku! – Nataniel spojrzał na niego z mimowolnym

podziwem. – Niszczysz życie mnie i moim przyjaciółom, po czym prosisz o przysługę.

– Wyjeżdżam. Nie chcę powierzać koni byle komu. Ty... jesteś dobrym człowiekiem. Nie krzywdzisz.

– Ciebie chętnie bym skrzywdził. Masz jednak tak podłe serce, że nie wiem, jak cię ugodzić. Na zwierzętach mścić się nie będę. Nie są niczemu winne.

– Właśnie dlatego chcę, żebyś się nimi zajął – powtórzył z uporem Sodarow.

– A ja twoje „chcę” mam głęboko gdzieś – skwitował Nataniel i odwrócił się, żeby wejść do domu.

Zatrzymała go dłoń Siergieja zaciskająca się na ramieniu.

– Poczekaj chwilę. Mam coś dla ciebie. Uznaj to za świąteczny prezent. – Z tymi słowami wyciągnął z wewnętrznej kieszeni kurtki kopertę i podał ją chłopakowi.

Nataniel nie musiał zaglądać do środka, by wiedzieć, co w niej jest.

– Nie chcę twoich pieniędzy i nie zajmę się twoimi końmi! Czy ty rozumiesz słowo „NIE”?!

– Ta forsa nie jest ode mnie – odrzekł Sodarow. – Jutro dowiesz się od kogo i na co. Radzę ci: weź ją. A moimi końmi i tak się zajmiesz, bo nie pozwolisz, by zbliżył się do nich Marek Sidło. Tłucze swoją dziewczynę, tym bardziej będzie tłukł zwierzęta, które nie oddadzą i nie rozpowiedzą, jakim jest skurwielem.

Siergiej miał rację. Nataniel na samą myśl, że to okrutne bydlę mogłoby zbliżyć się do jego Śnieżki czy Trusi, zacisnął pięści.

Przez twarz mężczyzny przemknął uśmiech, chociaż czarne oczy, błyszczące w mroku jak u wilka, pozostały poważne.

– To jest w tobie niezwykle, Nat. Gdy idzie o dobro niewinnych, potrafisz

odłożyć nienawiść na bok i pomóc najgorszemu wrogowi. Dobrze byłoby mieć w tobie przyjaciela.

– Poprzestańmy na pomocy wrogowi – mruknął Nataniel, niespecjalnie zachwycony dobrym słowem od Sodarowa.

– Czas na mnie. Gdybym nie wrócił, ktoś zgłosi się do ciebie z pełnomocnictwem. Wtedy przekażesz mu klucze do domu i stajni. – Klepnął go w ramię, bo Nataniel raczej nie uściskałby mu dłoni, po czym ruszył do samochodu.

– Zaraz, zaraz. – Tym razem chłopak zatrzymał jego. – Co ma znaczyć to „gdybym nie wrócił”?

– Nie wiesz, czym się zajmuję, nigdy nie pytałeś. Wyjeżdżam tam, skąd można nie wrócić. – Wzruszył nonszalancko ramionami. – Dokąd i na jak długo, nie mogę powiedzieć. Gdybyś spotkał Martę... raz jeszcze poproś ją w moim imieniu o wybaczenie. Ona też będzie mi kiedyś wdzięczna, że w taki sposób uwolniłem ją od siebie. Jestem złym człowiekiem, Nat. Nie wolno mnie kochać. Można tylko nienawidzić. I jeszcze trzymać się ode mnie z daleka.

– Nie dajesz nam wyboru – odezwał się cicho Nataniel. – Decydujesz sam jeden, czy mamy cię kochać czy nienawidzić. Masz rację. Od takich jak ty, nieliczących się z nikim i niczym, należy trzymać się z daleka.

Siergiej uniósł kącik ust w tak charakterystycznym dla siebie uśmiešku, ale nie było w nim szyderstwa.

– Żegnaj, Nat.

– Do zobaczenia, Siergiej. Przekażę Marcie twoje słowa.

Odprowadził samochód spojrzeniem i wrócił do domu. Świąteczny nastrój, z którym pucował chatę, przeminął bezpowrotnie.

Koperta zaciążyła mu w dłoni. Zajrzał do środka i dech mu zapało. Trzy

paczki stułotowych banknotów. Tyle, ile za sprawą Iwony zniknęło z jego konta. Jutro, jeśli wierzyć słowom Sodarowa, dowie się, od kogo są te pieniądze i na co.

Pozostało więc czekać na nowy dzień.



## ROZDZIAŁ XXVIII

**W**igilijny ranek przywitał Nataniela jasnymi promieniami słońca. Chłopak uśmiechnął się lekko, nie otwierając oczu. Jego dłoń napotkała łepkę Trusi. Potarł ją o swoje ucho. Liznęła tę dłoń i próbowała polizać ukochanego pana w policzek, ale Nataniel podniósł się. Potarł oczy.

– Chodź, Trusia, wypuścimy cię na zewnątrz, wykąpię się, znajdę jakieś czyste ciuchy, uporządkuję naszą Królową i zajrzę na ranczo Sodarowa. Że też musiał uszczęśliwić mnie tą robotą... – sarknął na koniec, ale bez złości.

Prawdę mówiąc, dodatkowa praca, i dodatkowe pieniądze!, bardzo mu się przydadzą. Zmęczony fizyczną harówką, będzie wieczorem padał na łóżko i zasypiał bez wspomagania wódką, zaś pieniądze... jego wzrok spoczął na rąbku koperty wystającym spod rzuconych na krzesło spodni. Skoro nie wiedział, za co mu zapłacono, na pewno ich nie ruszy. Forsa za prowadzenie rancza spada więc jak z nieba.

– Jesteś draniem, Siergiej, ale mimo to nie życzę ci źle – powiedział półgłosem ni to do siebie, ni do mężczyzny, chociaż ten nie mógł go przecież słyszeć.

Takie życzenia, dobre, z serca, bez złości, gdzieś przecież docierają...

Ranek minął Natanielowi na sprzątaniu końskich boksów, sypaniu owsa do żłobów, podrzucaniu słomy pod końskie kopyta, czyli na tym wszystkim, czego od niego oczekiwano. W południe podjechał listonosz i, z życzeniami wesołych świąt, przekazał chłopakowi pieniądze za pierwsze dwa tygodnie

opieki nad ranczem. Był to fajny prezent bożonarodzeniowy. Nataniel z przyjemnością pojechał do Olsztyna samochodem pożyczonym od Mateusza, kupił trochę ciuchów, bo stare miał jeszcze z Warszawy, książek, bo uwielbiał czytać, i już miał zafundować sobie również choinkę, prawdziwą, pachnącą lasem i Wigilią, jednak w ostatniej chwili zrezygnował z nedorzecznego pomysłu. Świąt w tym roku obchodzić nie będzie. Koniec kropka.

Jednak święta miały co do niego inne plany...

Było dobrze po południu, gdy wrócił do domu. Trusia wybiegła mu naprzeciw, podskakując radośnie wokoło i szczekając na cały głos. Śnieg, dziewiczo czysty, skrzył się niczym diamenty. Nataniel po raz pierwszy od tamtego dnia wszedł na pomost, oparł się o barierkę i zapatrzył na biały bezkres. W tym momencie poczuł tak nieprawdopodobną tęsknotę i żal, że aż wstrzymał oddech z bólu. Łzy zapiekły w oczy. Zaciśnięte rozpaczą gardło z trudem wciągnęło lodowate powietrze.

Nie wiedział, czy bardziej tęskni za mamą czy za dziewczyną, którą w te same wakacje zdążył pokochać i stracić, ale ból był niemożliwy do zniesienia.

„To przez ten pomost” – przemknęło mu przez myśl. „Nie powinienem był tu przychodzić”.

Zawrócił do domu, odnalazł między bierwionami do kominka siekiere i po chwili znów był nad jeziorem. Ile godzin rąbał drewniane deski, zamarzniete na kamień, zanim rozebrał pomost do ostatniego gwoździa? Trudno powiedzieć. Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, gdy skończył i spojrzał z niedowierzaniem na dzieło zniszczenia.

No super. Był pomost, nie ma pomostu.

Mateusz z Kazimierzem nie będą Natanielowi za to wdzięczni...

Teraz trzeba się rozejrzeć za następną robotą, bo Wigilii w pustym domu

to on nie wytrzyma. Wzrok chłopaka padł na oborę, w której jedno pomieszczenie zajmowały Śnieżka z Kacperkiem. Kucyk, gruby i włochaty, wyglądał zza uchylonych drzwi.

Może tak wysprzątać drugi boks i sprawić sobie czarnego ogiera do pary? Nie namyślając się dłużej, sięgnął po widły.

Kurtkę zrzucił już dawno, koszula lepiała mu się do grzbietu, gdy pracował bez chwili odpoczynku od dobrej godziny. Narastający dźwięk samochodowego silnika sprawił, że chłopak odłożył widły, wyszedł z obory i osłonił oczy od ostatnich promieni słońca.

„Następni goście...” – pomyślał, widząc wyjeżdżające z lasu terenowe auto. „Sąsiedzi z życzeniami?”

Nie znał tego samochodu. Miał warszawską rejestrację, a prowadziła go... Nataniel przechylił lekko głowę, jak zawsze, gdy przyglądał się czemuś albo komuś mocno zaintrygowany. Mama mówiła w takich chwilach, że wygląda jak ciekawski wróbel. Albo dzięcioł. Nataniel wołał wróbla.

Ciemnowłosa dziewczyna, nieco od niego starsza, zatrzymała auto przed domem i wyskoczyła na zewnątrz, od razu kierując się ku chłopakowi. Powoli narzucił na spocone plecy bezrękawnik i podszedł do nieznajomej.

– Cześć, to jest... – Dziewczyna zerknęła na trzymany w dłoni karteluszek – ...Kolonia Senna numer 2? – Spojrzała na dom, na którym na niebieskiej tabliczce widniał taki właśnie napis, i odpowiedziała sobie: – Tak, to tu. Ty musisz być więc Nataniel Domoradzki. Olga Bugaj, miło mi ciebie poznać. – Ujęła bezwładną dłoń osłupiałego ze zdumienia chłopaka i potrząsnęła nią. – Tam – wskazała na samochód – jest przesyłka. Tutaj – wyjęła z kieszeni kożuszkę kopertę i wcisnęła ją Natanielowi w dłoń – list, który wszystko wyjaśni. No, tatusiu – w tym momencie klepnęła go w ramię – wiem, że najprzyjemniejszą czynnością jest zmaistrowanie kobiecie dzieciaka i zostawienie jej z tym słodkim ciężarem, ale kiedyś

przychodzi taki czas, że trzeba się wywiązać z ojcowskich obowiązków. Dla ciebie jest to właśnie ten czas. Taka świąteczna niespodzianka. Odbieraj przesyłkę, Natanielu niemowo, bo na mnie czas. Chcę do domu przed pierwszą gwiazdką dojechać. I tak wyświadczam Iwonie przysługę, podrzucając na koniec świata tę jej małą.

Zrobiła w tył zwrot i – zostawiając chłopaka tam, gdzie stał, wpatzonego z głupim wyrazem twarzy w kopertę – podeszła do samochodu, otworzyła tylne drzwiczki i cały czas coś do kogoś mówiąc, zniknęła na tylnym siedzeniu. Tylko jej krągły tyłeczek wystawał na zewnątrz. Nataniela nie interesowały jednak tyłeczki. Coś zaczęło mu się bardzo, ale to bardzo nie podobać.

– Słuchaj, Olga – podszedł do samochodu w chwili, gdy dziewczyna się z niego wynurzała. – Chyba pomyliłaś adresy. Nawet gdybym zmajstrował, jak to się wyraziłaś, Iwonie dziecko, nie zdążyłaby go urodzić. Nie wiem, co tu jest grane, ale...

– Ale zdążyła. Nawet odchowala ją dla ciebie. Dostajesz pod opiekę śliczną, grzeczną, mądrą dziewczuszkę, no nie, Emilko?

I oto z samochodu wyskoczyła, od razu zapadając się po kolanka w śnieżny puch, odziana w biały kożuszek z kapturkiem okalającym śliczną buzię, czarnowłosa dziewczynka. Pięcio-, może sześćioletnia, spoglądała na chłopaka poważnymi, ciemnobrązowymi oczami.

– No, to bawcie się dobrze. – Olga zatrasnęła tylne drzwi i już miała siadać za kierownicę, gdy Nataniel, który w końcu ocknął się ze stuporu, szarpnął drzwi ku sobie.

– Co to za wygłupy? – warknął, wskazując na dziecko.

Ono, widząc złość na twarzy młodego mężczyzny, spojrzało przerażone w stronę Olgi. Ta westchnęła.

– Tak myślałam. Za łatwe się to wydawało, za proste. Mówiłam Iwonie:

„Myślisz, że facet ot tak przyjmie dzieciaka z otwartymi ramionami?”. „Ten przyjmie” – odpowiedziała. „Przeczyta list i zaopiekuje się Emilką. Nie pozwoli oddać jej do...” – dziewczyna urwała, spoglądając na małą, której oczy zdążyły się wypełnić łzami. – Emilciu, kochanie, zobacz, jaki śliczny kucyk ci się przygląda! Idź się z nim przywitaj, a ja dokończę rozmowę z twoim tatusiem. Idź już.

Dziewczynka ruszyła tam, gdzie jej kazano, a Nataniel wykrzyknął przyciszonym głosem:

– W co próbujesz mnie zrobić?! Nie jestem ojcem tego dziecka! Żadnego innego także nie! Rozumiem, gdyby przysłała cię któraś z moich licealnych miłości, wtedy bym się zastanowił, bo trochę szalałem, ale Iwona?! Poznałem ją w połowie lipca! Jak mógłbym przez kilka miesięcy dochować się takiego dziecka?!

Olga oparła mu dłoń na ramieniu, uścisnęła lekko i rzekła:

– Nie wiem, Natanielu Domoradzki. Wiem, że poproszono mnie o przywiezienie dziewczynki do ciebie i wręczenie listu, do którego nie raczyłeś zajrzeć. Pieniądze na dziecko miał ci wczoraj przywieźć kto inny.

Nataniel zachłysnął się własnym oddechem.

Siergiej! On wręczył mu jak gdyby nigdy nic kopertę wypchaną forszą. „Od kogo i na co, dowiesz się jutro” – to były jego słowa! Może i dziecko było jego? Czy to Sodarow mógł w tamten lipcowy dzień podesłać Natanielowi swoją znajomą? Piękną Iwonę? Jeśli tak... to tych dwoje znało się znacznie dłużej. I dziewczynka mogła być córką Sodarowa.

Ty pieprzony draniu! Podrzucasz mi nie tylko konie, ale i dziecko! Bo wiesz, że nie skrzywdzę ani zwierząt, ani tej dziewczynki! Niech się szlag, Sodarow! A ja jeszcze rano tak dobrze ci życzyłem... Niech cię jasny szlag!!!

Olga czekała coraz mniej cierpliwie, aż Nataniel skończy wewnętrzny monolog. Wreszcie przeniósł spojrzenie z nadal zaklejonej koperty na

dziecko – stało pośrodku podwórza i patrzyło nieruchomym wzrokiem przed siebie – potem spojrzał na Olgę i rzekł stłumionym z wściekłości głosem:

– Zaopiekuję się dzieckiem. Mam rozumieć...

– To super! Może jednak zdążę na Wigilię! – nie dała mu dokończyć. – Wesołych Świąt, mimo wszystko!

Zatrzasnęła drzwi, włączyła silnik, zawróciła niemal w miejscu i odjechała, jakby ścigało ją stado dzikich barbarzyńców, gotowych wrzucić dziecko w biegu z powrotem do samochodu.

Zapadła cisza. Tak głęboka, że chłopak usłyszał bicie własnego serca. I cichutki, przejmujący płacz dziewczynki. Ruszył ku niej biegiem. Ukląkł przed dzieckiem, chwycił małą za drżące rączki i przemówił łagodnie:

– Dziewczynko... Emilko, znaczy się, bo tak masz na imię, prawda? Nie płacz, malutka! Zobacz, Kacperek się martwi. Nie lubi smutnych dzieci... – Nataniel nie miał pojęcia, czy kucyk lubi jakiegokolwiek dzieci, ale tego małej przecież nie powie. – Może chodźmy do domu, zdejmujemy kubraczek, zrobię ci... – Co jedzą kilkulatki?! Kakao, na pewno mała chętnie wypije ciepłe, słodkie kakao! O ile pojedzie do sklepu i sama je sobie kupi... – Jesteś głodna? Na co miałabyś ochotę?

Dziewczynka w białym, długim do kolan kożuszk, z kapturkiem obszytym białym futerkiem wyglądała jak miniaturowa Królowa Śnieżka. Prawdziwa Śnieżka.

Teraz otarła obiema łapkami oczy i odezwała się po raz pierwszy, odkąd się tu znalazła:

– Czy pan jest moim tatusiem?

Nataniel uniósł brwi. Rany boskie, jak brzmi poprawna odpowiedź?! Jeśli powie prawdę, dziecko dostanie pewnie hysterii, jeśli skłamie i zapewni, że tak, owszem, począł ją pięć miesięcy temu, a ona urodziła się nieco wcześniej

niż inne dzieci i urosła w przyspieszonym tempie, zrobi z siebie kretyna, zwłaszcza gdy któregoś dnia wróci prawdziwy tatuś dziewczynki, Siergiej Sodarow.

W takich wypadkach najlepszą odpowiedzią jest... pytanie.

– A chciałabyś, żebym nim był?

– Chciałabym się nie bać – odpowiedziała.

Nataniela wcięło po raz nie wiadomo który tego dnia. Co teraz? Co ma odrzec temu dziecku?

– Tutaj nie ma się czego obawiać. To spokojne, bezpieczne miejsce.

– Pewnie dlatego mama mnie tu przysłała. – Dziewczynka potoczyła dookoła wzrokiem, zatrzymując spojrzenie na domu. – To chata Baby Jagi?

– Nie. To moja chata. Tu nie ma czarownic – odparł stanowczo Nataniel.

– Szkoda – westchnęła dziewczynka, unosząc przy tym ramionka gestem podpatrzonym u dorosłych. – Ale jak nie ma, to nie ma! Cóż począć! Mogę mówić do pana „tatusiu”?

– Może na razie „wujku”? „Wujku Natanielu”?

– Ładnie. Niech będzie – pochwaliła go, poklepała po dłoni, po czym dodała: – Prowadź do domu, wujku Natanielu. Jestem tak głodna, że zjadłabym twojego kucyka z kopyściami.

– Z kopytami – poprawił ją odruchowo.

Posłała mu z wysokości swoich stu paru centymetrów poważne spojrzenie:

– Kopyście brzmią lepiej.

Z trudem powstrzymał się, by nie parsknąć śmiechem. Czy to możliwe, że jeszcze godzinę temu demolował z samotności i rozpaczony własny pomost?

Emilka rozglądała się po kuchni oczami okrągłymi ze zdumienia, podczas gdy on zdejmował z jej ramion kożuszek, z nóg białe botki, a z główki

czapeczkę. Też białą, rzecz jasna. Pod spodem miała różową sukienkę z mnóstwem falbanek. Wyglądała jak miniatura Cukrowej Wróżki.

„Chyba tak ubierają się dzisiejsze dziewczynki” – pomyślał Nataniel, przyglądając się małej. „Jeśli ma ze mną zostać, będę musiał nakupować takich sukienek. Rajstopek. Skarpetek. Bluzeczek. Rany boskie! Iwona, mam nadzieję, że to durny żart. Podły, okrutny żart. Mam nadzieję, że za chwilę wpadniesz do chaty i krzykniesz, zaśmiewając się z mojej miny: »Jesteś w ukrytej kamerze!« Jeśli nie... Jeżeli rzeczywiście podrzuciłaś mi córkę...”

Rozerwał kopertę, przeleciał wzrokiem pierwsze zdania i ręka opadła mu bezwładnie. To nie był żart.

*Kochany Natanielu,*

*wiem, że bardzo Cię skrzywdziłam, wiem, że nie wybaczyłeś mi do dziś, ale wierzę w Twoje dobre serce. I w to, że nie wyrzucisz Emilki za drzwi tylko dlatego, że jest moją córką. Córką kobiety, która złamała Ci serce.*

*Niewiele o mnie wiesz, bo niewiele Ci o sobie mówiłam. Tak było lepiej. Dla Ciebie, bo w moim przypadku niczego to nie zmieniło.*

*Jestem złym człowiekiem, Natanielu, to, co zrobiłam z Tobą, robiłam wielokrotnie z innymi facetami. Uwodziłam ich, wykorzystywałam i porzucałam, gdy tylko mi się znudzili. Ty jeszcze długo byś mi się nie znudził, ale... cóż... zakochałam się w innym. Pewnie wiesz w kim. Mam nadzieję, że przywiózł wszystkie pieniądze, jakie wyciągnęłam z Twojego konta, i oddał do twoich rąk. On też jest złym człowiekiem, ale w przeciwieństwie do mnie nie okrada przyjaciół. A Ciebie tak nazywał: przyjaciel. I mówił to bez drwiny. Naprawdę tak o Tobie myślał. Nie bronię go, po prostu chcę, żebyś wiedział.*

*Jesteś dobrym, poczciwym człowiekiem o wielkim sercu, Natanielu, i wiem, że nie odmówisz mojej prośbie. Zaopiekuj się Emilką, dopóki nie*



wyjść z więzienia. Dostałam wyrok za oszustwa i kradzieże. Najpierw w zawiasach, ale kiedy się u Ciebie pojawiłam, już odwieszono mi go. Uciekałam przed policją, lecz w końcu wpadłam. Wczoraj zapadł wyrok, więc kazałam mojej siostrze zawieźć dziecko do ciebie. Moja siostra nie jest złym człowiekiem, ale powiedziała, że nie ma zamiaru wychowywać mojego bękarta. Ty pewnie też nie masz takiego zamiaru, jednak w przeciwieństwie do niej go wychowasz. Przynajmniej do czasu, gdy będę mogła sama zająć się Emilką.

To grzeczne dziecko, dobrze ułożone. Miała porządne niańki, gdy ja pracowałam. Nie chcesz wiedzieć, czym się zajmowałam, chociaż pewnie się domyślasz.

Lubi to, co lubią dziewczynki w jej wieku: księżniczki, bajki, różowe sukienki... Pomyślałam, że Twój kucyk spodoba się Emilce i nie będzie dziecina tak bardzo za mną tęskniła. Właściwie mnie nie zna. Nie chciałam, żeby za wiele przy mnie była. Mogłaby nabrać nawyków. Wiesz jakich.

Na koniec chcę ci powiedzieć, drogi Natanielu, że między mną a Siergiejem nic nie było. Naprawdę. Łączył nas tylko seks, nic więcej. Szkoda, że nie mogłam Ci tego wytłumaczyć i wynagrodzić. Może kiedyś, gdy się spotkamy... Może spróbuję być innym, lepszym człowiekiem...

Tego chciałabym dla mojej córeczki: żeby miała normalną mamę, normalną rodzinę i tatę. Może mówić do ciebie „tato”, jeśli się zgodzisz. Prawdziwego ojca nie zna. Może kiedyś jej powiem, kim jest, ale na razie Ty możesz nim być, jeśli chcesz.

To chyba tyle.

Jeśli chciałbyś mnie odwiedzić, zapytać o sprawy związane z Emilką, jutro przewożą mnie do więzienia dla kobiet w Czersku. Musisz dowiedzieć się, kiedy są odwiedziny i czy mi przysługują. Będę siedzieć po raz pierwszy,

*więc wiem tyle, co Ty.*

*Módl się za mnie, Natanielu, bo boję się tej odsiadki. Bardzo się boję.*

*Ucałuj ode mnie Emilkę.*

*To dobre dziecko.*

*Do zobaczenia i pozostaję z szacunkiem.*

*Iwona*

Ręka z listem opadła.

Nataniel patrzył na pisane odręcznie, w pośpiechu, krzywe litery i... miał w umyśle zupełną pustkę. Za to w duszy burzę sprzecznych uczuć. Gniew i współczucie, żal i litość, wściekłość, pogardę, strach i odrobinę zrozumienia. Cień zaledwie, lecz jednak.

Iwona miała rację: nie wiedział o niej nic, to on mówił, opowiadał o całym swoim życiu, ona jedynie słuchała. Raz mniej uważnie, raz bardziej, jednak swoją historią nie podzieliła się z Natanielem ani razu.

Była prostytutką...! Boże jedyny, zakochał się w prostytutce! Dopiero w tej chwili dotarła do niego głębia słów Sodarowa: „Jeszcze będziesz mi wdzięczny za to, co dla ciebie zrobiłem”. Gdyby nie Siergiej i to straszne przeżycie w tamten letni dzień... Do czego ona by się posunęła? Jakie miała plany co do niego, Nataniela? A gdyby go czymś zaraziła? Marta, gdy oboje nieco doszli do siebie, zrobiła im test na HIV. Wyszedł ujemnie, teraz Nataniel czuł na grzbiecie zimny dreszcz, bo mogło się to skończyć zupełnie inaczej...

Skończyć?!

Jego wzrok padł na grzejącą sobie rączki przy kominku dziewczynkę. Wygląda na to, że wszystko się dopiero zaczyna...

Sodarow, niech ja cię dorwę... Iwona... Zabrakło Natanielowi słów.

Wiedział jedno: dobro dziecka jest najważniejsze. Tata dla Emilki nie będzie, co to, to nie, ale zajmie się dziewczynką najlepiej, jak potrafi. Jednak trzeba sprawić jej jakieś ciuszki. Tylko skąd on w Wigilię...

Rany boskie, jest Wigilia!

Dziecko powinno teraz właśnie wypatrywać pierwszej gwiazdki, czekać na prezenty, które za sprawą świętego Mikołaja pojawią się lada moment pod choinką, a on nie ma ani choinki, ani prezentów, ani nawet głupiego radia, które grałoby kolędy, że o opłatku nie wspomnieć. Co robić, do cholery?!

Już miał wpaść w panikę – zrozumiałą w tych okolicznościach – gdy oto los postanowił zesłać Natanielowi w podzięcie za dobre serce... odsiecz.

Pukanie do drzwi i tubalny głos: „Pochwalony! Czy są tutaj grzeczne dzieci?!”, sprawiło, że krzyknęli oboje: Nataniel ze zdumienia, dziewczynka z radości.

Drzwi otwały się na oścież i nagle... święta stały się świętami. Do środka z tupaniem i śmiechem weszli... Mateusz z Martą. Oboje w mikołajowych czapkach.

– Przybieżeli do Betlejem pasterze! – zaczęła Marta i urwała na widok dziewczynki wpatrującej się ogromnymi, zachwyconymi oczami w Mateusza. – Ktoś chyba te „grzeczne dzieci” zrozumiał dosłownie! – odezwała się, zwracając oszołomione spojrzenie na chłopaka.

– To Emilka, od dziś jestem jej opiekunem – tyle wyjaśnienia musiało im na razie wystarczyć.

– Czy panna Emilka była grzeczna? – zahuczał Mateusz, przyjmując obecność dziecka w domu Nataniela, tego samego Nataniela, który jeszcze niedawno o tej porze leżał nieprzytomny w cuchnącym wódką barłogu, jako coś zupełnie oczywistego. Może nie podejrzewał chłopaka, iż to jego dziecko, ale...

– Byłam, Mikołaju! Byłam bardzo grzeczna!

– Zobaczymy więc, co ciocia Śnieżynka dla ciebie przywiozła z dalekiego Dublina... – Mateusz spojrział z lekkim popłochem na Martę.

Dla Nataniela prezenty mieli, a jakże, nikt ich jednak nie uprzedził, że w jego domu znajdują kilkuletnie dziecko!

– Ciocia Śnieżynka tego nie wie, ale prezent czeka na dworze – pospieszył im na ratunek Nataniel. Jeszcze parę minut temu przerażony, wściekły, wstrząśnięty, teraz czuł... że znów żyje. Że znów potrafi, i chce!, się śmiać. – Wujek Mat... Święty Mikołaj pójdzie do stajenki i go przyprowadzi tutaj, do kuchni. No już, święty Mikołaju! Grzeczne dzieci muszą dostać prezent! – Wypchnął Mateusza za drzwi, po czym zmarkotniał: – Prezent się znajdzie, tylko choinki nie ma.

– Jest – rzekła stanowczo Marta. – Przygotowaliśmy się na to, że świąt w tym roku obchodzić nie będziesz, więc w bagażniku gruchota, pożyczonego od Kazia Jarząbka, jest i choinka, i dwanaście potraw, ja przy sobie mam opłatek z życzeniami od proboszcza, a Mateusz, jak już przyprowadzi prezent dla Emilki, przyniesie podarunki dla ciebie.

Nataniel poczuł łzy pod powiekami. Czym zasłużył na tak wspaniałych, niezawodnych przyjaciół? Marta przytuliła go serdecznie i wyszeptła:

– W ten dzień nikt nie powinien być sam, a na pewno nie ktoś o złotym sercu, jak ty. Nie mogliśmy pozwolić, byś rozpaczał w pustym domu. Mateusz jeszcze z Warszawy zadzwonił do mnie i powiedział, że przylatuje, owszem, ale wracamy razem. I to nazajutrz. Jesteśmy więc. Powiesz mi w dwóch słowach, dopóki mała zajęta jest wypatrywaniem Mateusza przez okno, skąd ona się wzięła? Czyje to dziecko?

– Iwony i... – chciał dodać „Siergieja”, ale ugryzł się w język. Nie będzie psuł Marcie humoru. Nie dziś. – Przez jakiś czas nie będzie mogła zajmować się małą, więc poprosiła mnie. Co miałem zrobić... W Wigilię...

Przygarnąłem zbłąkanego wędrowca.

Oboje spojrzeli na dziewczynkę, która oderwała buzię od szyby, zeskokczyła na podłogę i pognąła do drzwi. Mateusz wprowadzał właśnie do kuchni kucyka, przystrojonego na głowie czerwoną kokardą.

– To mój?! – pisnęła Emilka, przyciskając rączki do policzków. – To mój prezent dla grzecznych dzieci?! Wujku? – Obróciła się na pięcie, dopadła Nataniela, objęła go za nogi i wpatrzyła się błyszczącymi oczami w jego twarz.

Musiał się uśmiechnąć i odrzec:

– Tak, Kacperek przybył tu specjalnie dla ciebie.

I być może wcale nie skłamał.

Może taki był od początku Boski zamysł? Od skierowania Nataniela do domu nad jeziorem aż po przysłanie tutaj, w wigilijny wieczór, samotnego dziecka, które potrzebowało spokojnej przystani tak samo jak on?

Z głośników samochodu, zostawionego na podwórzu, popłynęło „Gdy śliczna panna...”. W rogu kuchni stanęła niewielka, śliczna jak z obrazka choinka.

Podczas gdy Emilka z Mateuszem przybierali ją bombkami, zakupionymi pospiesznie w drodze z lotniska, Marta z Natanielem w milczeniu, pięknym milczeniu, które przyjaciołom nie ciąży nigdy, zdobili wigilijny stół gałązkami jodły, wkładali pod obrus sianko, podkradzione Śnieżce, wykładali na półmiski dwanaście postnych potraw. A to wszystko przy dźwiękach polskich kolęd, najpiękniejszych na świecie.

Dzieląc się opłatkiem i płynącymi prosto z serca życzeniami, wzruszyli się wszyscy troje. Ocierając łzy, zasiedli do wigilijnej wieczerzy...

Noc otuliła dom nad jeziorem ciszą i spokojem. Hojną ręką sypnęła na czyste, bezchmurne niebo miriady gwiazd.

Marta zaszyła się z Emilką w sypialni Nataniela, by ukołysać dziecko do snu. Zza przymkniętych drzwi dobiegał jej cichy głos, śpiewający „Lulajże, Jezuniu”. Nataniel, oddawszy swój pokój dziewczynce, musiał przenieść się do kuchnio-salonu. Dopóki nie wyremontuje dwóch pokoików na poddaszu, będzie spał na wersalce.

Mateusz przepasał się fartuszkim, który parę godzin wcześniej podarował Marcie, i podśpiewując: „Gloria, glooria, gloooria, in excelsis Deo!”, zmywał naczynia.

Nataniel przyklęknął przed kominkiem z naręczem przyniesionych z drewni polan. Emilka za chwilę zaśnie, ale troje przyjaciół chciało jeszcze pobyc z sobą, nacieszyć się tym, że znów są razem, w komplecie.

Nikt, absolutnie nikt nie spodziewał się gościa, który właśnie brnął przez śnieg drogą od strony dworu. Nikt nie przypuszczał, kim ten gość jest i jakie trzęsienie ziemi spowoduje jego pojawienie się w domu nad jeziorem...

...a gość jest coraz bliżej. Trusia zaczyna poszczekiwać, ale nikt na jej szczekanie nie zwraca uwagi. Gość pochyła się ku suczce, przemawia do niej łagodnie, piesek, merdając ogonem, idzie razem z nim przez podwórze.

Gość puka do drzwi, a słysząc tubalne: „Gość w dom, Bóg w dom!”, naciska klamkę i staje w sieni.

Mateusz, spodziewając się kolędników ze wsi, wychodzi temu, kto przyszedł, na spotkanie, zatrzymuje się, marszczy brwi, mówi: „O, dobry wieczór, my się chyba nie znamy”, po czym woła przez ramię:

– Nataniel, chyba ktoś do ciebie.

Gość wchodzi do kuchni. Nataniel podnosi się od kominka i... polano wypada mu z ręki. Dziewczyna, bo pośrodku kuchni stoi rudowłosa, złotooka dziewczyna, wydaje krótki okrzyk.

Stoją naprzeciw siebie, nie wierząc w to, co widzą. Kogo widzą.

– Boże mój... O Boże... To ty...! – Dziewczyna podnosi do ust obie dłonie, łzy napływają jej do oczu.

Mateusz patrzy to na jedno, to na drugie, zupełnie pogubiony. Ma się cieszyć, że wpuścił nieznajomą do domu, czy wręcz przeciwnie?!

Nagle ona biegnie przez kuchnię, rzuca się Natanielowi na szyję, a ten obejmuje ją mocno, z całych sił.

– Myślałam, że nie żyjesz! – słyszy Mateusz zaskakujące słowa.

Dziewczyna szlocha z twarzą ukrytą na ramieniu Nataniela. On gładzi ją po włosach i kręci głową, nie dowierzając, że ma ją tak blisko. Żywą.

Ona cofa się odrobinę, by móc patrzeć mu w oczy. Bierze jego twarz w dłonie.

– Myślałam, że poszedłeś na śmierć! Obwinałam się o to!

– Bałem się, że nie przeżyłaś – odpowiada Nataniel, dotykając wierzchem dłoni w najpiękniejszej, najbardziej niewinnej pieszczocie policzków dziewczyny. – Prosiłem los, by dał mi jakiś znak, że... Nie wierzę, nie wierzę, że jesteś tutaj. Jak masz na imię?

Brwi Mateusza podlatują w górę jeszcze wyżej, o ile to możliwe. Pada imię. Znajome imię. A potem pytanie:

– A ty?

To ona też go nie zna?!

– Nataniel.

– Nataniel... – powtarza dziewczyna, a tych kilka zgłosek brzmi w jej ustach jak melodia. – To najszczęśliwszy dzień w moim życiu, Natanielu. Dziękuję, że jesteś.

Znów przytula się do chłopaka, który kiedyś, dawno temu, tak samo jak teraz, mocno, z całych sił, obejmował ją i nie pozwalał umrzeć.

On, nadal nie dowierzając, że ta, którą trzyma w ramionach, jest

prawdziwa, że nie jest li tylko powracającym od wielu lat snem, przycisnął usta do włosów dziewczyny. W duszy poczuł spokój, jakiego nie zaznał od dawna. Spokój i wdzięczność.

Spojrzał błyszczącymi ze wzruszenia oczami w okno.

Nieboskłon przecięła spadająca gwiazda.

Wyszeptał marzenie...

Koniec tomu I

Kim jest nieznajoma dziewczyna?

Co łączy ją z Natanielem?

Gdzie się poznali?

O tym wszystkim i jeszcze o wielu innych tajemnicach w tomie II, pod tytułem „Promyk słońca”.



Copyright © by Katarzyna Michalak

Koncepcja okładki  
Katarzyna Michalak

Opracowanie graficzne okładki  
Magdalena Zawadzka

Fotografie na okładce  
Copyright © Vjom / Shutterstock.com  
Copyright © aleksandrsb / Shutterstock.com  
Copyright © Kind/Moment / Getty Images

Opracowanie tekstu  
DreamTeam

ISBN 978-83-240-4773-4

**znak**

Książki z dobrej strony: [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Więcej o naszych autorach i książkach: [www.wydawnictwoznak.pl](http://www.wydawnictwoznak.pl)

Spółeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków

Dział sprzedaży: tel. [12 61 99 569](tel:126199569), e-mail: [czytelnicy@znak.com.pl](mailto:czytelnicy@znak.com.pl)

Plik opracował i przygotował Woblink

**woblink**  
[woblink.com](http://woblink.com)